

PELLUCIDAR IV

Edgar Rice Burroughs

TARZAN W PELLUCIDARZE



# Spis treści

Karta tytułowa

PROLOG

.. 1 ..

.. 2 ..

.. 3 ..

.. 4 ..

.. 5 ..

.. 6 ..

.. 7 ..

.. 8 ..

.. 9 ..

.. 10 ..

.. 11 ..

.. 12 ..

.. 13 ..

.. 14 ..

.. 15 ..

.. 16 ..

.. 17 ..

**EDGAR RICE  
BURROUGHS**

**TARZAN W  
PELLUCIDARZE**

Tłumaczył: Robert Lipski



# PROLOG

Pellucidar, jak powszechnie wiadomo, jest światem we wnętrzu świata, leżącym na wewnętrznej powierzchni wydrążonej sfery jaką jest Ziemia.

Został odkryty przez Davida Innesa i Abnera Perry'ego podczas próbnej podróży na pokładzie mechanicznego pojazdu wydobywczego – żelaznego kreta zaprojektowanego przez Perry'ego, który zamierzał tym sposobem zlokalizować nowe złoża antracytu. Nie będąc jednakże w stanie odwrócić dziobu kreta kiedy zaczął wwiercać się w skorupę ziemską, przewiercili się w głąb planety na głębokość pięciuset mil, i na trzeci dzień, kiedy Perry stracił przytomność wskutek zużycia niemal całego zapasu tlenu, a i David także był bliski omdlenia, dziób kreta przebił się przez skorupę wewnętrznego świata, i kabinę wypełniło świeże powietrze.

W kolejnych latach dwóch badaczy przeżyło wiele niezwykłych przygód. Perry nigdy nie wrócił na zewnętrzną skorupę, a Innes tylko raz, kiedy wybrał się w trudną i niebezpieczną podróż powrotną, pojazdem badawczym, aby sprowadzić do założonego przez siebie imperium w wewnętrznym świecie rzeczy mające zaznajomić prymitywny lud rodem z epoki kamiennej, z osiągnięciami cywilizacji dwudziestego wieku.

Pomijając bitwy z prymitywnymi ludami i jeszcze bardziej prymitywnymi zwierzętami i gadami, postęp jaki poczyniło imperium Pellucidaru w dążeniu do cywilizacji był niewielki, a biorąc pod uwagę ogrom wewnętrznego świata i niezliczone

miliony jego mieszkańców wywodzących się z innej epoki niż nasza, David Innes i Abner Perry mogliby w ogóle nie istnieć.

Przyjmując, że obszary wodne i lądowe na powierzchni Pellucidaru, są odwrotnie proporcjonalne niż te same obszary na zewnętrznej skorupie, gdyby ktoś potrafił to sobie wyobrazić, zyskałby pewne pojęcie na temat rozmiarów tego ogromnego świata.

Obszary lądowe zewnętrznego świata zajmują jakieś pięćdziesiąt trzy miliony mil kwadratowych, albo jedną czwartą całej powierzchni Ziemi: tymczasem wewnątrz Pellucidaru, trzy czwarte powierzchni stanowi ląd – czyli dżungla, góry, lasy i równiny zajmujące ponad 124.110.000 mil kwadratowych, gdy w porównaniu z nimi, powierzchnia oceanów to tylko i aż 41.370.000 mil kwadratowych.

Tym samym, biorąc pod uwagę jedynie obszary lądowe mamy do czynienia z osobliwą anomalią, w której większy świat znajduje się wewnątrz mniejszego, jednakże Pellucidar diametralnie różni się od świata na zewnętrznej skorupie i tego, co nauczyliśmy się przyjmować jako niezmiennie prawa natury.

Dokładnie w samym środku ziemi znajduje się słońce Pellucidaru, niewielka kula w porównaniu z naszym słońcem, ale wystarczające by oświetlać Pellucidar i skąpywać jego tętniące życiem dżungle ciepłymi, życiodajnymi promieniami. Tamtejsze słońce znajduje się stale w zenicie, toteż w Pellucidarze nie ma nocy, lecz panuje wieczny dzień, a konkretnie nieprzemijające południe.

Jako że nie ma tam gwiazd i słońce nie przemieszcza się po niebie, w Pellucidarze nie ma stron świata, takich jakie można określać na podstawie wskazań kompasu. Nie ma też horyzontu, gdyż powierzchnia Pellucidaru zawsze unosi się

ku górze, we wszystkich kierunkach, od strony patrzącego, i niezależnie czy znajdowałyby się on na równinie, morzu, czy w górach, krzywizna wewnętrznej skorupy pnie się ku górze, niknąc z oczu i rozplywając się w oddali. Co więcej, w świecie gdzie nie ma słońca, gwiazd, ani księżyca, takich jakie znamy, nie istnieje też czas, w naszym jego rozumieniu. Dlatego też Pellucidar jest światem poza czasem, gdzie nie obowiązują takie prawa jak u nas, ani powiedzenie że „czas to pieniądz”. Nikt też nie spieszy się, uganając się żeby ze wszystkim zdążyć, jak mała pszczołka. Czas może być „duszą tego świata” i „esencją kontraktów”, lecz w sielskiej egzystencji Pellucidaru jest on niczym, albo nawet mniej niż niczym.

Trzykrotnie w przeszłości nam, ludziom z zewnętrznego świata udało się odebrać wiadomość z Pellucidaru. Wiemy, że pierwszym wielkim darem cywilizacji, jaką Perry dał temu światu z epoki kamiennej był proch strzelniczy. Wiemy, że kolejnymi były karabiny powtarzalne, oraz niewielkie statki wojenne, na których zamontowano działa niewielkiego kalibru, wiemy także, że Perry’emu udało się udoskonalić radio.

Wiedząc że Perry jest kimś w rodzaju empiryka, nie zdziwiliśmy się, gdy dowiedzieliśmy się, że jego radio nie mogło zostać zestrojone z każdą znaną falą, lub długością fali w świecie zewnętrznym. Połączyło się jednak z młodym Jasonem Gridleyem z Tarzany, prowadzącym eksperymenty z nowo odkrytą Falą Gridleya, by mógł on odebrać pierwszą wiadomość z Pellucidaru.

Ostatnie wieści jakie otrzymaliśmy od Perry’ego, zanim jego komunikaty zaczęły zanikać, aż w końcu ustały zupełnie, mówiły, że David Innes, pierwszy imperator Pellucidaru trafił do ciemnego lochu w krainie Korsar, na drugim końcu

kontynentu, za oceanem, dzielącym go od ukochanej krainy Sari, leżącej na wielkim płaskowyżu, na stałym lądzie u brzegów Lural Az.

# .. 1 ..

0-220

Tarzan z Małp, przystanął nasłuchując i węsząc przez chwilę. Gdybyś też tam był, nie zdołałbyś usłyszeć tego co on, nie usłyszałbyś tego co on, ani nie potrafiłbyś tego zinterpretować.

Odgłosy, które usłyszał Tarzan dochodziły z daleka i nawet dla niego były bardzo ciche, toteż w pierwszej chwili nie był w stanie przypisać ich do konkretnego źródła, choć odniósł wrażenie, iż zwiastowały nadejście większej grupy ludzi.

Nosorożec – Buto, słoń – Tantor, albo lew – Numa mogły pojawiać się i znikać w puszczy, nie wzbudzając większego zainteresowania władcy Dżungli, kiedy jednak zjawiali się ludzie, Tarzan natychmiast to badał, człowiek bowiem to jedyne spośród wszystkich stworzeń, który wszędzie tam, gdzie docierał, przynosił zmianę, zamęt i konflikty.

Wychowywany do czasu osiągnięcia dojrzałości wśród Wielkich Małp, i nieświadomy istnienia innych stworzeń takich jak on, Tarzan od tej pory nauczył się przewidywać z pewnym niepokojem kolejne najazdy tych dwunożnych siewców zamętu, w jego rodzimej dżungli. Odnalazł przyjaciół wśród wielu ras ludzkich, ale to nie uchroniło go przed kwestionowaniem celów i motywów wszystkich, którzy nawiedzali jego domenę. Dlatego też dziś przemieszczał się bezszelestnie pośród środkowej warstwy konarów, w koronach drzew, zmierzając w stronę skąd dobiegały obce odgłosy.



W miarę jak odległość pomiędzy nim a tymi, których zamierzał sprawdzić zmniejszała się, jego czujne uszy wychwyciły dźwięki rozpoznane przez niego jako stąpanie bosych stóp i pieśni rdzennych tragarzy, uginających się pod ciężarem niesionych pakunków. Wreszcie do jego nozdrzy napłynął zapach czarnych mężczyzn, a wraz z nim inny, słabszy, ledwie sugestia kolejnej woni, a Tarzan zdał sobie sprawę, że biały człowiek wyruszył na safari, zanim jeszcze czoło kolumny pojawiło się w jego polu widzenia, zmierzając wzdłuż szerokiego, dobrze oznakowanego szlaku dzikiej zwierzyny, nad którym czekał Władca Dżungli.

Blisko czoła kolumny szedł młody biały mężczyzna, a kiedy Tarzan przez chwilę zatrzymał na nim wzrok, przemieszczając się wzdłuż szlaku, w myślach błyskawicznie ocenił nieznanego, Władca Dżungli bowiem, jak wiele dzikich zwierząt i prymitywnych ludów posiadał niezwykły instynkt spontanicznego oszacowywania charakteru nieznanych mu osób, z którymi się stykał.

Zawróciwszy, Tarzan szybko i bezszelestnie przemieszczał się wśród drzew, wysforowując się nieco do przodu, przed czoło maszerującego safari, po czym zeskoczył na leśną ścieżkę i tam oczekiwał nadejścia kolumny.

Pokonawszy zakręt na szlaku, idący na czele Askarysi spostrzegli go i na jego widok natychmiast się zatrzymali, by zacząć nerwowo trajkotać między sobą z ożywieniem, zostali bowiem zwerbowani w innym okręgu – i nie znali Tarzana z Małą, z widzenia.

— Jestem Tarzan – oznajmił człowiek-mała. – Czego szukacie w krainie Tarzana?

Młody mężczyzna, który zatrzymał się na równi z Askarysami natychmiast zrobił krok w jego stronę. Na jego twarzy pojawił się przyjazny uśmiech.

— Ty jesteś Lord Greystoke? – zapytał.

— Tutaj jestem Tarzanem z Małp – odparł przybrany syn Kali.

— Wobec tego szczęście mi dopisuje – odrzekł młodzieniec. – Przybyłem tu bowiem aż z Południowej Kalifornii, by cię odnaleźć.

— Kim jesteś – zapytał człowiek-małpa – i czego chcesz od Tarzana z Małp?

— Nazywam się Jason Gridley – odrzekł tamten. – A to, o czym chciałem z tobą pomówić, to długa historia. Mam nadzieję, że znajdziesz czas, by towarzyszyć mi do naszego następnego obozu i będziesz na tyle cierpliwy, aby mnie tam wysłuchać, dopóki nie wyjawię szczegółów mojej misji.

Tarzan pokiwał głową.

— W dżungli czas nie ma dla nas większego znaczenia – stwierdził. – Gdzie zamierzasz rozbić obóz?

— Przewodnik, którego wynająłem w ostatniej wiosce skarżył się, że jest chory i godzinę temu zawrócił, a ponieważ żaden z moich ludzi nie zna dobrze tej krainy, nie wiemy czy dogodne miejsce na obóz jest o milę czy o dziesięć mil stąd.

— Jest jedno, o niecałe pół mili stąd – odparł Tarzan – i znajdziecie tam również wodę.

— Świetnie – mruknął Gridley, i safari ruszyło w dalszą drogę, tragarze zaś zaczęli śmiać się i śpiewać, uradowani, że już wkrótce będą mogli odpocząć w obozie.

Dopiero gdy Jason i Tarzan usiedli tego wieczora przy kawie, człowiek-małpa powrócił do tematu wizyty Amerykanina.

— A teraz – spytał – co sprowadza cię taki szmat drogi z Południowej Kalifornii, do serca Afryki?

Gridley uśmiechnął się.

— Teraz, kiedy już tu jestem – powiedział – i rozmawiamy twarzą w twarz, zaczynam się obawiać czy wysłuchawszy mojej historii, nie uznasz mnie za wariata. Jednak w głębi duszy jestem do tego stopnia przekonany o prawdziwości tego co chcę ci przekazać, że zainwestowałem już sporą sumę pieniędzy, oraz własnego czasu, by podzielić się z tobą moim planem, w nadziei, iż zechcesz się weń zaangażować, osobiście jak i finansowo. Wiedz przy tym, że ja sam gotów jestem wyłożyć jeszcze więcej pieniędzy i poświęcić cały mój czas na realizację tego planu. Niestety, nie mogę w pełni sfinansować ekspedycji, którą mam na myśli, z własnych funduszy i to jest podstawowy powód, dlaczego do ciebie przybyłem. Bez wątpienia mógłbym zebrać potrzebne pieniądze gdzie indziej, ale wierzę że posiadasz pewne szczególne przymioty, by wziąć udział w przygodzie, którą planuję.

— Jakąkolwiek ekspedycję możesz rozważać – odparł Tarzan – potencjalne profity muszą być doprawdy olbrzymie, skoro jesteś skłonny zaryzykować tak wielki wkład finansowy ze swojej strony.

— Wręcz przeciwnie – odrzekł Gridley – o ile mi wiadomo ta ekspedycja nie przyniesie nikomu żadnych korzyści finansowych.

— I ty jesteś Amerykaninem? – spytał z uśmiechem Tarzan.

— Nie wszyscy gonimy za pieniędzmi – odparł Gridley.

— Co zatem stanowi główną motywację? Wyjaśnij mi cały plan.

— Słyszałeś może o teorii, zgodnie z którą Ziemia miałyby być pustą sferą, zawierającą w środku nadający się do zamieszkania świat?

— Ta teoria została definitywnie obalona przez naukowców – odparł człowiek-małpa.

— Czy jednak obalono ją w oparciu o przekonujące dowody? – spytał Gridley.

— Naukowcy uważają, że tak – odparł Tarzan.

— Też tak sądziłem – mruknął Amerykanin – dopóki całkiem niedawno nie odebrałem wiadomości płynącej wprost z wnętrza Ziemi.

— Zaskoczyłeś mnie – wtrącił człowiek-małpa.

— Ja także byłem tym zaskoczony, ale fakt jest faktem, że nawiązałem kontakt radiowy z Abnerem Perrym w podziemnym świecie Pellucidaru i przywiozłem ze sobą kopię tej wiadomości, której autentyczność poświadczył pod przysięgą pewien człowiek, którego nazwisko powinno być panu znane – był on ze mną tego dnia, gdy odebrałem ów przekaz, prawdę mówiąc wysłuchał go wraz ze mną. Oto ona.

Ze skórzanej teczki wyjął list, który podał Tarzanowi, oraz opasły manuskrypt w kartonowej teczce.

— Nie zamierzam marnować czasu, aby zapoznawać cię z całą historią Tanara z Pellucidaru – rzucił Gridley – ponieważ w większości nie ma ona ściślejszego związku z moim planem.

— Jak sobie chcesz – powiedział Tarzan. – Ja słucham.

— Przez pół godziny, Jason Gridley czytał mu fragmenty ze swego manuskryptu.

— – Właśnie to – stwierdził, kiedy skończył czytać – przekonało mnie o istnieniu Pellucidaru, a niefortunne położenie Davida Innesa skłoniło mnie abym zwrócił się

do ciebie z propozycją wzięcia udziału w ekspedycji, której głównym i podstawowym celem będzie uwolnienie go z lochów w krainie Korsar.

— A jak zamierzasz to uczynić? – zapytał człowiek-małpa. – Jesteś przekonany o słuszności teorii Davida Innesa, jakoby przy każdym z biegunów znajdowało się wejście do wewnętrznego świata?

— Przyznam szczerze, że nie wiem, w co wierzę – odparł Amerykanin. – Ale po tym jak otrzymałem wiadomość od Perry’ego, postanowiłem to zbadać i odkryłem, że teoria o nadającym się do zamieszkania świecie we wnętrzu Ziemi, z wejściami prowadzącymi doń, w pobliżu północnego i południowego bieguna nie jest nowa i istnieją dowody mające potwierdzić jej słuszność. Odkryłem pełne przedstawienie tej teorii w książce napisanej w roku 1830, i w innym znacznie bardziej współczesnym dziele. Tym samym odkryłem coś, co wydawało się być zgoła racjonalnym wyjaśnieniem wielu dobrze znanych zjawisk, które nie były przekonująco wytłumaczone w oparciu o hipotezy lansowane przez naukowców.

— Na przykład? – wtrącił Tarzan.

— Cóż, dajmy na to, ciepłe wiatry i ciepłe prądy oceaniczne, napływające z północy i napotykanie, oraz opisywane przez niemalże wszystkich badaczy Arktyki i obecność konarów i gałęzi drzew, pełnych zielonych liści, płynących na południe, z dalekiej północy, znacznie powyżej szerokości geograficznych, na których tego rodzaju drzewa występują na zewnętrznej skorupie; no i jest jeszcze zjawisko zorzy polarnej, które w świetle teorii Davida Innesa można łatwo wyjaśnić jako promienie światła z centralnego słońca wewnętrznego świata,

przenikające od czasu do czasu przez opar mgieł i pokrywą chmur ponad otworem polarnym. Wspomnieć też można o pyłku kwiatowym, który często pokrywa grubą warstwą śnieg i lód w okolicach podbiegunowych. Pyłek ten nie może pochodzić z innego miejsca, jak tylko z wnętrza Ziemi. A jakby tego było mało, można dorzucić twierdzenia północnych plemion Eskimosów, jakoby ich przodkowie przybyli z krainy na północy.

— Czy Amundsen i Ellsworth podczas ekspedycji Norwegów nie obalili ostatecznie teorii o otworze w skorupie ziemskiej, w okolicy bieguna północnego, i czy nie przeprowadzono licznych lotów nad sporą połącią niezbadanych dotąd obszarów podbiegunowych? – dopytywał się człowiek-małpa.

— W odpowiedzi na to powiem tylko, że otwór polarny jest tak duży, iż mógłby przedostać się przezeń statek, sterowiec lub aeroplan, zapuszczając się poza krawędź, i pokonując niewielką odległość w głąb szczeliny powrócić na powierzchnię, nie zdając sobie nawet sprawy z tego co się stało, jednakże najbardziej nadającą się do obrony teorią jest to, że w większości przypadków badacze podążali jedynie wzdłuż zewnętrznej krawędzi otworu, co w dużej mierze wyjaśniałoby osobliwe i zastanawiające zachowania kompasów oraz innych instrumentów naukowych, w miejscach położonych w pobliżu tzw. bieguna północnego – które to zjawiska wielce intrygowały wszystkich badaczy Arktyki.

— Zatem jesteś przekonany nie tylko w kwestii istnienia wewnętrznego świata, lecz również tego, że można się do niego przedostać przez szczelinę w okolicy bieguna północnego? – zapytał Tarzan.

— Jestem przekonany, że wewnętrzny świat istnieje, nie mam natomiast pewności co do istnienia otworu pod biegunem – odrzekł Gridley. – Mogę jedynie powiedzieć, że wierzę, iż istnieje wiele przekonujących dowodów uzasadniających organizację ekspedycji, o której wspomniałem.

— Zakładając, że ów polarny otwór wiodący do wewnętrznego świata istnieje, jakimi środkami zamierzałbyś dokonać jego odkrycia a następnie eksploracji?

— Najbardziej praktycznym środkiem transportu, jaki obecnie istnieje i który może posłużyć w realizacji mojego planu byłby specjalnie skonstruowany statek powietrzny o sztywnej konstrukcji, zbudowany na bazie współczesnego Zeppelina. Taki statek, używający helu, byłby o wiele bezpieczniejszy niż inne środki transportu będące do naszej dyspozycji. Dobrze się nad tym zastanowiłem i mam wrażenie, że jeśli faktycznie istnieje otwór w okolicy bieguna północnego, przeszkody, z jakimi musielibyśmy się zmierzyć podejmując próbę wkroczenia do wewnętrznego świata byłyby mniejsze niż te, które napotkali Norwegowie podczas swojej słynnej wyprawy przez biegun na Alaskę, nie ulega bowiem wątpliwości, że nie musielibyśmy w ten sposób robić specjalnego objazdu nadkładając drogi wzdłuż krawędzi otworu polarnego i pokonalibyśmy o wiele większy dystans, by dotrzeć do względnie bezpiecznego miejsca zakotwiczenia, poniżej zimnego, polarnego morza, które David Innes odkrył na północ od krainy Korsar, gdzie w końcu trafił do niewoli.

Największym ryzykiem, z jakim przyszłoby się nam zmierzyć to potencjalna niemożliwość powrotu na zewnętrzną skorupę, wskutek zużycia helu, wykorzystanego z konieczności podczas manewrowania statkiem. Ale to takie samo ryzyko jakie musi

podjąć każdy badacz i uczoney, podczas realizacji swego przedsięwzięcia. Gdyby istniała możliwość zbudowania kadłuba dostatecznie lekkiego a zarazem wystarczająco mocnego, aby wytrzymał napór ciśnienia atmosferycznego moglibyśmy rozdzielić zarówno niebezpieczny wodór, jak rzadki i drogi hel, zyskując zarazem pewność zachowania maksymalnego bezpieczeństwa i najwyższej wyporności w statku powietrznym obsługiwany wyłącznie przez zbiorniki próżniowe.

— Być może nawet jest to możliwe – rzekł Tarzan, przejawiając coraz większe zainteresowanie propozycją Gridleya.

Amerykanin pokręcił głową.

— Któregoś dnia może będzie to możliwe – powiedział – na razie jednak nie dysponujemy odpowiednimi materiałami. Każdy pojemnik mający odpowiednią siłę, by wytrzymać próżnię pod ciśnieniem byłby zbyt ciężki, aby owa próżnia mogła go unieść w powietrze.

— Może tak, może nie – wtrącił Tarzan.

— Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Gridley.

— To co właśnie powiedziałeś – odparł Tarzan – przypomina mi coś o czym niedawno wspomniał jeden z moich młodych przyjaciół. Erich von Harben sam jest kimś w rodzaju uczonego i badacza i kiedy widziałem go ostatni raz, wrócił właśnie z drugiej wyprawy w góry Wiramwezi, gdzie, jak stwierdził, odkrył plemię zamieszkujące nad jeziorem i korzystające z członów, wykonanych z metalu, który jednocześnie był lekki jak korek i silniejszy niż stal. Przywiózł ze sobą próbki tego metalu i gdy widziałem go ostatnio, zamierzał przeprowadzić przy ich



użyciu serię eksperymentów w swoim małym laboratorium, urządzonym w rezydencji ojca.

— Gdzie znajdę tego człowieka? – spytał bez ogródek Gridley.

— Misja doktora von Harbena znajduje się w krainie Urambi – odparł człowiek-mała – o jakieś cztery dni marszu na zachód od miejsca, w którym przebywamy obecnie.

Dwaj mężczyźni do późnej nocy dyskutowali o planowanym projekcie, Tarzan bowiem był już nim gorąco zainteresowany i następnego dnia zawrócili w stronę krainy Urambi oraz misji von Harbena, do której dotarli na czwarty dzień. Powitał ich tam doktor von Harben, wraz z synem, Erichem i żoną tego drugiego, piękną Favonią z Costrum Mare.

Nie zamierzam tu wymieniać wszystkich szczegółów i etapów organizacji wyprawy do Pellucidaru, choć ta część, która wiąże się z poszukiwaniem i odkryciem miejscowej kopalni, gdzie wydobywany był rzadki metal, znany obecnie jako Harbenit, i podczas której nie brakowało zarówno przygód jak i emocji, zasługuje przynajmniej na drobną wzmiankę.

Podczas gdy Tarzan i Erich von Harben zlokalizowali kopalnię i zajęli się przetransportowaniem metalu na wybrzeże, Jason Gridley był w Friedrichshafen, gdzie odbył konsultacje z inżynierami z wybranej przezeń firmy, mającej skonstruować specjalnie zaprojektowany statek powietrzny, który podejmie próbę dotarcia do świata we wnętrzu Ziemi.

Przeprowadzono wyczerpujące testy próbek Harbenitu przywiezionych przez Jasona Gridleya. Sporządzono projekty i zanim przybył pierwszy ładunek rudy, wszystko było już gotowe do rozpoczęcia budowy, które to zadanie przeprowadzono w ścisłej tajemnicy. I tak, w pół roku później, kiedy O-220, jak go oficjalnie nazywano, był gotowy aby wzbić

się w powietrze, według powszechnej opinii miał on być jedynie nowym modelem sterowca szkieletowego z przeznaczeniem do lotów komercyjnych i transportowych, po jednej z licznych tras powietrznych Europy.

Wielki, przypominający kształtem cygaro kadłub O-220 miał 997 stóp długości i sto pięćdziesiąt stóp średnicy. Wnętrze kadłuba podzielono na sześć dużych, hermetycznych przedziałów, z których trzy, biegnące wzdłuż całej długości statku, znajdowały się powyżej linii środkowej, a trzy poniżej. Wewnątrz kadłuba, po obu stronach statku, pomiędzy górnymi i dolnymi zbiornikami próżniowymi ciągnęły się długie korytarze w których umieszczono silniki i pompy a także spory zapas benzyny, oleju oraz ropy.

Umieszczenie maszynowni wewnątrz statku było możliwe dzięki wyeliminowaniu ryzyka pożaru, który stanowi podstawowe źródło zagrożenia dla statków powietrznych, którym siłę wznoszącą zapewnia lotny wodór, jak również całkowicie ognioodporna konstrukcja O-220, którego każda część, za wyjątkiem kilku elementów wyposażenia kabin oraz mebli była wykonana z Harbenitu. Metalu tego użyto do wykonania niemal całego wyposażenia statku, za wyjątkiem niektórych tulei, łożysk i złączy w silnikach, generatorach a także turbinach.

Sterburtowe i bakburtowe korytarze silnikowo-paliwowe połączone były dwoma poprzecznymi korytarzami, jednym na dziobie, drugim na rufie, a one z kolei przedzielone zostały dwoma szybami ze szczeblami do wspinania, ciągnącymi się od dołu, aż na samą górę sterowca.

Górna część dziobowego szybu kończyła się niewielką kabiną obserwacyjną wyposażoną także w działko. Prowadził stamtąd

wąski chodnik ciągnący się od kabiny dziobowej do niedużej wieżyczki w pobliżu ogona statku, gdzie postanowiono zamontować karabin maszynowy.

Główna kabina biegnąca wzdłuż kilu statku, stanowiła integralną część kadłuba, a z uwagi na jego w pełni szkieletową sztywną konstrukcję, co pozwoliło wyeliminować konieczność kabin podwieszonych poniżej kadłuba, O-220, był wyposażony w podwozie w postaci sześciu dużych kół, z głęboko bieżnikowanymi oponami wystającymi poniżej dolnej części głównej kabiny. W najdalej położonej części kabiny rufowej, przewożony był nieduży jednopłatowy samolot zwiadowczy, zamontowany w taki sposób, by można go było wystawić na zewnątrz – przez rozsuwane dno statku i wypuścić, podczas gdy O-220 znajdował się w powietrzu.

Osiem chłodzonych powietrzem silników rozpędzało tyleż śmigieł rozmieszczonych w parach, po obu stronach statku i w taki sposób, by powietrze ze śmigieł dziobowych nie zakłóciło pracy tym, które znajdowały się za nimi.

Silniki, osiągające moc 5600 kW były w stanie nadać statkowi prędkość 105 mil na godzinę.

W O-220 zwyczajny drut osiowy przechodzący przez środek wzdłuż całej długości statku, składał się z cylindrycznego wału z Harbenitu, od którego promieniście, jak szprychy koła odchodziły mniejsze cylindryczne dźwigary, do których przyspawano Harbenitowe płyty zewnętrznego poszycia.

Dzięki wyjątkowej lekkości Harbenitu, całkowity ciężar statku wyniósł 75 ton, podczas gdy całkowity udźwig jego zbiorników próżniowych wynosił 225 ton.

Dla możliwości manewrowania statkiem i przeprowadzenia lądowania, każdy ze zbiorników próżniowych wyposażono

w szereg ośmiu zaworów powietrznych uruchamianych z pomieszczenia kontrolnego w dziobowej części maszynowni, podczas gdy sześć pomp, trzy w korytarzach od bakburty, a trzy na sterburcie miały za zadanie odprowadzić powietrze ze zbiorników, kiedy konieczne byłoby odnawianie próżni. Z dziobowej kabiny kontrolnej sterowano też specjalnymi sterami i windami, choć można było nimi kierować także ze stanowiska pomocniczego na rufie, w korytarzu na lewej burcie, na wypadek gdyby doszło do awarii urządzeń sterujących w głównym pomieszczeniu kontrolnym.

W głównej kabinie na kilu mieściły się kwatery oficerów i załogi, magazyn broni i amunicji, magazyn prowiantu, kambuz, dodatkowe zbiorniki z benzyną, ropą i olejem, oraz zbiorniki z wodą. Ten ostatni skonstruowano w taki sposób, by jego zawartość można było opróżnić natychmiastowo, na wypadek sytuacji awaryjnej, podczas gdy zbiorniki z benzyną, olejem i ropą mogły zostać wypuszczone przez rozsuwane dno statku, w razie gdyby trzeba było jak najszybciej zmniejszyć wagę ładunku i obciążenie statku.

Tak pokrótce prezentował się wielki szkieletowy sterowiec, na pokładzie którego Jason Gridley i Tarzan z Małp mieli nadzieję odkryć znajdujące się w okolicy bieguna północnego wejście do wewnętrznego świata i ocalić Davida Innesa, imperatora Pellucidaru, który trafił do ciemnego lochu w krainie Korsar.

## .. 2 ..

### PELLUCIDAR

Tuż przed świtem, w piękny, czerwcowy poranek, O-220 o własnych siłach powoli wyłonił się z hangaru. W pełni załadowany i wyposażony miał odbyć lot testowy w warunkach obciążenia identycznych jak te, których można się było spodziewać podczas długiej podróży. Trzy dolne zbiorniki wciąż były wypełnione powietrzem, statek dźwigał też spory balast wodny, mający przewyciężyć jego równowagę, dzięki czemu przesuwając się nisko nad ziemią, poruszał się z całkowitą pewnością i można było nim manewrować niemal tak łatwo jak automobilem.

Gdy statek znalazł się na otwartej przestrzeni, jego pompy zaczęły usuwać powietrze z trzech dolnych zbiorników, i równocześnie pozbyto się części nadmiernego wodnego balastu, a wówczas, niemal natychmiast, ogromny sterowiec, powoli i majestatycznie oderwał się od ziemi.

Cały personel stanowiący załogę statku podczas lotu próbnego był tym samym, jaki wybraliśmy do udziału w ekspedycji.

Zuppner, który został wybrany na kapitana, był odpowiedzialny za budowę statku i miał spory udział w jego zaprojektowaniu. Dwóch pierwszych oficerów, von Horst i Dorf było oficerami w cesarskich siłach powietrznych, podobnie jak nawigator, porucznik Hines. Prócz nich, było jeszcze dwunastu

inżynierów i ośmiu mechaników, murzyński kucharz i dwóch filipińskich chłopców okrętowych.

Tarzan był dowódcą ekspedycji, a Jason Gridley jego adiutantem, zaś ochronę statku zapewniał Muviro i dziewięciu jego wojowników z plemienia Waziri.

Gdy statek z gracją wzniósł się ponad miastem, Zuppner, obsługujący przyrządy kontrolne, prawie nie był w stanie powstrzymać swego entuzjazmu.

— To najcudowniejsza rzecz jaką kiedykolwiek widziałem! – zawołał. – Reaguje na najłżejszy dotyk!

— Wcale mnie to nie dziwi – odparł Hines. – Wiedziałem, że tak będzie. Mamy załogę dwukrotnie liczniejszą niż potrzeba do jego obsługi.

— Znowu pan zaczyna, poruczniku – rzekł ze śmiechem Tarzan – ale to, że uparłem się na liczniejszą załogę nie wynikało bynajmniej z braku wiary w ten statek. Wybieramy się do innego świata. Możliwe, że długo nas nie będzie. Jeśli dotrzemy do celu, będziemy musieli walczyć, o czym wielokrotnie informowano każdego z was, którzy zgłosiliście się tu na ochotnika, dlatego też, mimo iż jest nas dwa razy więcej niż potrzeba na tę podróż, może się okazać, że w drodze powrotnej będziemy mieć o wiele mniej liczną załogę, bo nie wszyscy z nas zdołają wrócić.

— Pewnie masz rację – stwierdził Hines – ale nie mogę się nadziwić płynności, z jaką kieruje się tym statkiem, a cisza i spokój krajobrazu poniżej sprawiają, że niebezpieczeństwo i śmierć wydają się odległe.

— Oby tak było w istocie – odparował Tarzan. – Mam też nadzieję, że powrócimy w komplecie, wolę być jednak przygotowany i właśnie w tym celu, Gridley i ja, uczymy się

nawigacji i chcemy nabrać w niej trochę wprawy, zanim dotrzemy do naszego celu.

Zuppner zaśmiał się.

— Widzisz, Hines, już spisali cię na straty.

Porucznik uśmiechnął się.

— Nauczę ich wszystkiego co umiem – odparł – ale założę się o najlepszą kolację jaką serwują w Berlinie, że jeśli ten statek powróci, wciąż będę jego nawigatorem.

— Szanse są pół na pół, równie dobrze możesz rzucić monetą – mruknął Gridley.

— A wracając do kwestii przygotowania – wtrącił Tarzan – zamierzam poprosić cię abyś pozwolił moim Wazirom pomóc mechanikom i inżynierom. To bardzo inteligentni ludzie, szybko się uczą i gdyby spotkało nas jakieś nieszczęście, nie zaszkodzi mieć więcej osób, które znają się na silnikach i innych urządzeniach mechanicznych statku.

— Racja – przyznał Zuppner. – Zajmę się tym.

Wielki, lśniący statek majestatycznie płynął na północ, Ravensburg pozostał w tyle, za rufą, a w godzinę później hen w dole pojawiła się szara wstęga Dunaju.

Im dłużej znajdowali się w powietrzu, tym większy był entuzjazm Zuppnera.

— Głęboko wierzyłem w całkowite powodzenie lotu próbnego – powiedział – mogę jednak zapewnić, że nie spodziewałem się aż takiej doskonałości. Znamionuje on nową erę aeronautyki i jestem przekonany, że na długo przed tym, jak pokonamy dystans czterystu mil, do Hamburga, wszyscy będziemy w pełni usatysfakcjonowani z walorów lotnych O-220.

— Lot próbny został zaplanowany na przelot do Hamburga i z powrotem do Friedrichshafen – rzekł Tarzan – ale po co

mielibyśmy wracać z Hamburga?

Pozostali spojrzeli na niego pytająco, gdy zrozumieli, co próbował im w ten sposób zasugerować.

— No właśnie, po co? – zapytał Gridley.

Zuppner wzruszył ramionami.

— Jesteśmy w pełni wyposażeni i mamy dość prowiantu – stwierdził.

— Wobec tego po co tracić czas na drogę powrotną do Friedrichshafen? – zapytał Hines.

— Jeżeli wszyscy zgadzacie się, abyśmy kontynuowali podróż na północ, tak właśnie zrobimy – oświadczył Tarzan. Tym sposobem lot próbny O-220 zmienił się w początek długiej podróży do wnętrza Ziemi i tajemnica, której zamierzono dochować w związku z ekspedycją została ostatecznie zapewniona.

Plan zakładał podróż wzdłuż dziesiątego południka, na wschód od Greenwich, na północ, aż do bieguna. Aby jednak nie zwracać niepotrzebnej uwagi, należało dokonać drobnej korekty tego kursu i statek skierował się na zachód od Hamburga, przelatując nad wodami Morza Północnego i stamtąd dalej na północ i na zachód od Spitsbergenu i ponad skutymi lodem, polarnymi pustkowiami.

Utrzymując przeciętną prędkość przelotową rzędu 75 mil na godzinę, O-220 znalazł się w pobliżu bieguna północnego około północy drugiego dnia i ekscytacji nie było końca, kiedy Hines oznajmił, że zgodnie z jego obliczeniami, powinni znajdować się dokładnie nad biegunem. Za namową Tarzana, statek zaczął krążyć powoli na wysokości kilkuset stóp nad szorstkim, ośnieżonym lodem.



— Powinniśmy móc go rozpoznać, dzięki włoskim flagom – powiedział z uśmiechem Zuppner. Jeśli jednak poniżej pozostały jakiegokolwiek oznaki przejścia Norwegów, musiały zostać skutecznie zakryte pod kobiercem śniegu.

Statek zatoczył jeden krąg nad samotnym pakiem lodowym, po czym skierował się na południe, biorąc kurs, wzdłuż 170° długości geograficznej wschodniej.

Od chwili kiedy statek skierował się od bieguna na południe, Jason Gridley nie odstępował na krok Hinesa i Zuppnera, z ekscytacją i niepokojem obserwując przyrządy albo spoglądając na surowy krajobraz rozciągający się pod nimi. Gridley uważał że otwór przy biegunie północnym znajdował się w pobliżu 85 stopnia szerokości geograficznej północnej i 170 stopnia długości geograficznej wschodniej. Przed sobą miał kompas, aneroidy<sup>[1]</sup>, statoskop, wskaźnik prędkości powietrza, inklinometr, wskaźniki wznoszenia i opadania, tarcze namiernicze, zegary i termometry, ale jego uwagę zaprzętał przede wszystkim kompas. Jacob Gridley bowiem miał pewną teorię i właśnie od jej słuszności miało zależeć odnalezienie otworu w pobliżu bieguna północnego.

Statek przez pięć godzin leciał niezmiennym kursem na południe, po czym zaczął przejawiać wyraźną tendencję do kierowania się ku zachodowi.

— Proszę utrzymać kurs, kapitanie – ostrzegł Gridley – jeśli bowiem mam rację, przelatujemy właśnie nad krawędzią polarnego otworu a odchylenie nie ma potwierdzenia w kursie jakim idziemy i jest wykazywane wyłącznie we wskazaniach kompasu. Im dalej będziemy podążać tym kursem, tym bardziej błędne będą wskazania kompasu, a gdybyśmy podążyli tą drogą jeszcze dalej, innymi słowy prosto przez polarną szczelinę,

ku jej środkowi, igła kompasu zaczęłaby kręcić się w kółko. Nie zdołamy jednak dotrzeć do środka otworu polarnego z uwagi na ogromną wysokość, na jaką musielibyśmy się wznieść. Uważam, że obecnie znajdujemy się w okolicy wschodniej krawędzi otworu i jeśli nastąpi jakiegokolwiek odchylenie od obecnego kursu na sterburtę zaczniemy powoli opadać spiralnie do Pellucidaru, ale pański kompas będzie bezużyteczny przez kolejnych 400 mil.

Zuppner z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Jeżeli ta pogoda się utrzyma może będziemy w stanie tego dokonać – powiedział – ale jeśli zacznie mocniej wiać, wątpię czy zdołam utrzymać jakikolwiek kurs, jeśli nie będę mógł się posiłkować kompasem.

— Proszę się postarać – rzekł Gridley – a w razie wątpliwości proszę wziąć zwrot na sterburtę.

Napięcie nerwowe udzieliło się wszystkim do tego stopnia, że przez kilka godzin zamienili ledwie parę słów.

— Spójrzcie! – rzucił nagle Hines. – Przed nami otwarte wody.

— Oczywiście tego właśnie mogliśmy się spodziewać – rzekł Zuppner – nawet gdyby nie było żadnego polarnego otworu, a jak wicie, byłem w tej kwestii sceptyczny, od pierwszej chwili, kiedy Gridley zapoznał mnie ze swą teorią.

— Wydaje mi się – rzekł z uśmiechem Gridley – że jestem jedynym członkiem załogi, który naprawdę wierzy w słuszność tej teorii, ale proszę nie nazywać jej moją, ponieważ nią nie jest, i nawet ja sam nie zdziwiłbym się, gdyby się okazała fałszywa. Jeśli jednak którykolwiek z was obserwował słońce przez ostatnich parę godzin, sądzę że będzie musiał zgodzić się ze mną, iż nawet jeśli nie istnieje otwór polarny wiodący do wewnętrznego świata, z pewnością w tym miejscu

na zewnętrznej skorupie musi istnieć olbrzymia depresja, w głąb której zapuszczamy się już od jakiegoś czasu. Na pewno zauważyliście bowiem że słońce polarne znajduje się znacznie niżej niż być powinno i im dalej zapuszczamy się w głąb depresji, tym niżej się ono przesuwa – a w końcu znajdzie zupełnie – i o ile się nie mylę wkrótce powinniśmy ujrzeć wiszące w wiecznym zenicie słońce Pellucidaru.

Nagle zadzwonił telefon i Hines podniósł słuchawkę do ucha.

— Dobrze – powiedział po chwili i odłożył słuchawkę. – To był von Horst, panie kapitanie, z raportem z kabiny obserwacyjnej. Spostrzegł ląd, znajdujący się dokładnie przed nami.

— Ląd! – wykrzyknął Zuppner. – Jedyne ląd w tym kierunku, jaki znajduje się na naszych mapach, to Syberia.

— Syberia leży ponad tysiąc mil na południe od 85° szerokości geograficznej północnej, a my nie znajdujemy się więcej niż o 300 mil od tego punktu – zauważył Gridley.

— Wobec tego albo odkryliśmy nowy ląd podbiegunowy, albo zbliżamy się do północnych granic Pellucidaru – odparł porucznik Hines.

— I tak właśnie jest – skwitował Gridley.

— Proszę spojrzeć na termometr.

— Ki diabeł! – wykrzyknął Zuppner. – Wskazuje zaledwie dwadzieścia stopni powyżej zera, w skali Fahrenheita.

— Ląd widać już całkiem wyraźnie – rzekł Tarzan. – Wygląda dość ponuro, ale tylko tu i ówdzie można dostrzec splachetki śniegu.

— To odpowiada opisowi krainy, którą Innes odkrył na północy Korsaru.

Wieści szybko rozeszły się po całym statku, docierając do reszty oficerów i załogi i wszyscy wiedzieli już, że kraina poniżej to Pellucidar. Radości było co niemiara, i wszyscy którzy mogli sobie pozwolić na chwilę przerwy w wypełnianiu obowiązków, wylegli na kładkę albo wyglądali przez iluminatory, by móc zobaczyć wewnętrzny świat.

O-220 sunął niewzruszenie na południe, i kiedy tylko krawędź polarnego słońca przestała być widoczna, skrywając się za horyzontem z tyłu, w oddali, na wprost pojawiła się poświata centralnego słońca Pellucidaru.

Natura krajobrazu poniżej zmieniała się bardzo szybko. Jałowa kraina została w tyle, statek przeleciał nad pasmem porośniętych lasem wzgórz, a teraz miał przed sobą ogromną puszcze, która rozciągała się jak okiem sięgnąć i zdawała się wznosić, po coraz większej krzywiznie ku górze, by koniec końców zniknąć w dali, wśród szarawej mgiełki. To faktycznie był Pellucidar – ten Pellucidar, o którym marzył Jason Gridley.

Za lasem rozciągała się pofałdowana równina, upstrzona tu i ówdzie drzewami, dobrze nawodniona równina, przez którą przepływały liczne strumienie, łączące swe wody z rwącą rzeką, na jej przeciwległym krańcu.

Na otwartych pastwiskach pasły się wielkie stada zwierząt, i nigdzie jak okiem sięgnąć nie było widać ludzi.

— To mi wygląda jak niebo – powiedział Tarzan z Małp. – Łądujemy, kapitanie.

Ogromny statek powoli opadł na ziemię, gdy do dolnych zbiorników wpompowano powietrze.

Wysunięto krótkie drabinki, kil statku bowiem znajdował się zaledwie sześć stóp nad powierzchnią gruntu i obecnie cała załoga, za wyjątkiem oficera wachtowego i jego dwóch ludzi,

znalazła się po kolana, wśród żyznych i bujnych traw Pellucidaru.

— Sądziłem, że uda się nam zdobyć odrobinę świeżego mięsa – rzekł Tarzan – ale statek przepłoszył całą zwierzynę.

— Sądząc po ilości zwierzyny jaką tu ujrzałem, raczej nie będziemy musieli zapuszczać się daleko, aby coś upolować – stwierdził Dorf.

— Teraz najbardziej potrzeba nam odpoczynku – zauważył Tarzan. – Przez wiele tygodni wszyscy pracowali pełną parą, by ukończyć przygotowania do ekspedycji i wątpię, by ktokolwiek z nas przez ostatnie trzy dni przespał więcej niż dwie godziny. Proponuję abyśmy pozostali tu, dopóki wszyscy w pełni nie wypoczniemy, po czym wyruszymy na poszukiwanie miasta Korsar.

— Wydaje mi się – rzekł Gridley do kapitana Zuppnera – że należałoby wydać zakaz opuszczania statku lub raczej oddalania się od niego na większą odległość, bez pańskiego zezwolenia a wszelkie dalsze wypadki w teren mogą być dokonywane wyłącznie w zespołach, pod dowództwem konkretnego oficera, jest bowiem wielce prawdopodobne, że spotkamy tu dzikich ludzi i jeszcze dziksze zwierzęta.

— Mam nadzieję, że mnie ten rozkaz nie dotyczy – wtrącił z uśmiechem Tarzan.

— Wierzę, że potrafi pan poradzić sobie w każdej krainie – odparł Zuppner.

— I z całą pewnością lepiej poluję w pojedynkę niż w zespole – dorzucił człowiek-małpa.

— Tak czy owak – ciągnął Zuppner – rozkaz pochodzi od pana, jako od dowódcy i nikt raczej nie będzie się skarżył, jeśli pan sam nie zechce mu się podporządkować, bo poza

panem, nikt z nas nie ma ochoty błąkać się po Pellucidarze w pojedynkę.

Oficerowie i załoga, za wyjątkiem wachtowych, którzy zmieniali się co cztery godziny, przespali całą dobę. Tarzan z Małp jako pierwszy się przebudził i opuścił statek. Zrzucił ubranie, które ograniczało go i drażniło odkąd opuścił swą afrykańską dżunglę, by dołączyć do przygotowań O-220, i to nie nienagannie odziany Anglik wyszedł z kabiny i zeskoczył na ziemię, lecz prawie nagi, prymitywny wojownik, uzbrojony w nóż myśliwski, włócznię, łuk i strzały, oraz linkę, którą Tarzan zawsze nosił ze sobą, podczas polowania bowiem wolał używać broni stosowanej od wczesnej młodości, niż broni palnej, będącej wynalazkiem cywilizacji.

Porucznik Dorf, jedyny oficer pełniący podówczas służbę widział go wychodzącego i patrzył z nieskrywanym podziwem jak czarnowłosy władca dżungli przemyka przez otwartą równinę, by zniknąć w puszczy.

Były tam drzewa znane oczom człowieka-małpy, i takie, których nigdy dotąd nie widział, ale puszcza to puszcza i to wystarczyło, by skusić Tarzana z Małp, pozwalając, aby zapomniał o ostatnich kilku tygodniach, spędzonych wśród odpychającej cywilizacji. Ucieszył się też, mogąc opuścić statek i choć lubił swych towarzyszy, rodował się, mogąc pobyc trochę w samotności.

Podczas pierwszego etapu tej nowo odnalezionej wolności, Tarzan był jak chłopiec, który właśnie skończył lekcje i opuścił szkołę. Nieskrępowany przez znienawidzone odzienie, nie widząc w zasięgu wzroku niczego co mogłoby przypomnieć mu o okrucieństwach jakich człowiek dopuszcza się względem natury, wypełnił płuca świeżym pellucidarskim powietrzem,

wskoczył na pobliskie drzewo i zaczął przemieszczać się przez puszcę, przepełniony w tej chwili wyłącznie nieskrępowaną radością, witalnością i umiłowaniem życia. Mknął w ten sposób przez pierwotną puszcę Pellucidaru. Dziwne ptaki, zaskoczone jego nagłym i bezszelestnym przejściem, z głośnym skrzeczeniem wzbijały się w powietrze, ulatując z jego drogi, a osobliwe zwierzęta poniżej chowały się trwożliwie do swych nor i kryjówek. Tarzan jednak w ogóle o to nie dbał, nie polował, nie szukał nawet nowości w tym nowym dla niego świecie. W tej chwili po prostu żył. Gdy był w takim nastroju, Tarzan nie myślał o upływie czasu, bardziej niż mógłby zaprzętać sobie głowę beczasowością Pellucidaru, którego słońce, wiszące stale w zenicie mąciło w głowach tym z nas, mieszkańców zewnętrznej skorupy, którzy uganiali się jak w ukropie, pędząc przez życie, w skazanych z góry na przegraną, próbach pokonania Ziemi i wyprzedzenia jej obrotów. Tarzan nie zwracał również uwagi na odległość czy kierunek, tego typu sprawy bowiem rzadko były przedmiotem świadomego rozważania przez człowieka-małą, który swą wyjątkową zdolność radzenia sobie w każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji, podświadomie przypisywał właściwościom kryjącym się w jego wnętrzu, i nie zwracał sobie głowy takimi szczegółami jak to, że w swojej dżungli mógł polegać na przyjaznym dla niego słońcu, księżycu czy gwiazdach, prowadzących go w dzień i w nocy, jak również na niezliczonych znajomych szczegółach, drobnych rzeczach które przemawiały doń życzliwym, pozbawionym słów językiem, który są w stanie zinterpretować jedynie mieszkańcy dżungli.

Gdy jego nastrój się zmienił, Tarzan zwolnił i w końcu zeskoczył na ziemię, na dobrze oznaczonej, mocno wydeptanej ścieżce uczęszczanej przez zwierzynę. Pozwolił sobie, by przez chwilę napawać wzrok otaczającymi go zewsząd cudownościami. Zwrócił uwagę na ogromne drzewa, których rozmiary musiały wskazywać na spory wiek, i które, oplecione grubymi, włóchatymi pnączami musiały być staruszkami, w porównaniu z jego afrykańską dżunglą. Zachwycał się przepięknymi kwiatami, rozkwitającymi wokół niego istnym kalejdoskopem barw, gdy nagle coś go pochwyciło i w okamgnieniu wyniosło w górę między korony drzew.

Tarzan z Małp pokiwał głową. Jego umysł był pochłonięty cudami tego nowego świata i na chwilę zatracił zwyczajową czujność, charakteryzującą istoty żyjące w dziczy. Niemal natychmiast, gdy został pociągnięty ku górze, człowiek-małpa zdał sobie sprawę, co go spotkało. Choć z łatwością mógł sobie wyobrazić dalszy ciąg tego feralnego zdarzenia, na jego ustach pojawił się cień uśmiechu, smutnego co prawda i naznaczonego pewnego rodzaju niesmakiem, a może nawet wstrętem do samego siebie – Tarzan bowiem wszedł w prymitywny potrzask, innymi słowy sidła zastawione na nie podejrzewającą niczego zwierzynę. Pętla z niewyprawionej skóry, przymocowana do wygiętej ku dołowi gałęzi wysokiego drzewa została zamaskowana na ścieżce, po której przechodził, a on przypadkiem zwolnił zabezpieczenie uwalniające sidła, ot i cała historia. Ciąg dalszy jednak mógłby okazać się mniej niefortunny, gdyby pętla zaciskając się nie przygwoździła mu ramion do boków. Zawisł jakieś sześć stóp nad ścieżką, z pętlą zaciśniętą powyżej bioder i unieruchamiającą mu ręce pomiędzy przegubami a łokciami i przyszpilającą je do boków.



Jakby nie dość było tego dyskomfortu i poczucia beznadziei, zawisł głową do dołu, kręcąc się obłąkańczo, jak ludzki ciężarek pionu.

Próbował wysunąć jedną rękę spod opasującej ją pętli, aby sięgnąć po nóż myśliwski i uwolnić się, jednak ciężar jego ciała stale zaciskał rzemień wokół niego i każdy wysiłek z jego strony sprawiał, że uporczywy pas skóry tylko mocniej wrzynał się w jego ciało.

Wiedział, że sidła oznaczały obecność ludzi i że bez wątpienia zjawią się oni niebawem, aby sprawdzić potrask, doświadczenie nauczyło go bowiem, że sidła trzeba regularnie sprawdzać i nie zostawiać ich na dłużej bez nadzoru, w przeciwnym razie pochwycona w nie zwierzyna stanie się łupem drapieżnych zwierząt lub ptaków. Zastanawiał się jakiego rodzaju mogli to być ludzie, i czy mógłby się z nimi zaprzyjaźnić, ale niezależnie jacy by nie byli, miał nadzieję, że dotrą tu przed drapieżnikami. I kiedy tak o tym myślał, jego czujne uszy wychwyciły odgłos zbliżających się kroków, nie były to jednak kroki ludzi. Cokolwiek nadchodziło, zbliżało się pod wiatr i nie był w stanie wyczuć zapachu tego stworzenia, ani też, jak się zorientował, owo zwierzę nie mogło zwęszyć jego. To coś szło niespiesznie, ale nim zbliżyło się do niego, i znalazło w jego polu widzenia, zdał sobie sprawę że to było zwierzę kopytne a co za tym idzie nie musiał się go obawiać, chyba że okaże się ono być jednym z tych dziwnych pellucidarskich stworzeń, które nie przypominają żadnego ze znanych mu zwierząt występujących na zewnętrznej skorupie.

Kiedy jednak pozwolił sobie, aby te myśli do pewnego stopnia go uspokoiły, w jego nozdrza wdarła się inna woń, która

zawsze sprawiała, że jeżyły mu się krótkie włosy na karku – i to bynajmniej nie ze strachu, lecz wskutek naturalnej reakcji na obecność dziedzicznego wroga. To nie była woń, którą znałby już wcześniej. Nie był to zapach lwa – Numy, ani lamparta – Sheety, ale woń jakiegoś gatunku wielkich kotów. Teraz mógł już usłyszeć prawie bezszelestne kroki drapieżcy przemierzającego gąszcz i wiedział że zbliża się on do ścieżki, zwabiony czy to jego obecnością, czy może obecnością zwierzęcia którego pojawienia się Tarzan oczekiwał.

Najpierw pojawił się ten drugi – wielki stwór przypominający wołu, o szeroko rozwartych rogach i cielsku pokrytym gęstym włosiem, potężny samiec, który przeszedł jeszcze kilka kroków wzdłuż ścieżki, po tym jak został dostrzeżony przez Tarzana, zanim on sam spostrzegł wiszącego nad ziemią człowieka – małpę. Był to pellucidarski thag, *Bos Primigenus*, jak go nazwali paleontolodzy z zewnętrznej skorupy, tur, dawno wymarły przodek naszego bydła rogatego.

Przez chwilę tur stał, wpatrując się w człowieka zwieszającego się nad ścieżką.

Tarzan zamarł w bezruchu. Nie chciał spłoszyć zwierzęcia, bo zdawał sobie sprawę, że to on albo tur padnie wkrótce ofiarą skradającego się ku nim drapieżnika, jeśli jednak spodziewał się, że thag się przestraszy, wnet zrozumiał swoją pomyłkę, wielki byk bowiem, głośno parskając, jął orać przednim kopytem ziemię, a potem pochyliwszy łeb, zaczął bóść gniewnie rogami, człowiek-małpa zaś zdał sobie sprawę, że thag szykuje się do ataku. Faktycznie tak też się stało, i już w chwilę później tur zaczął zbliżać się groźnie, przy wtórze grzmiącego ryku. Unosząc ogon i opuszczając łeb, przeszedł w trucht będący preludium do ataku.

Człowiek-małpa zdał sobie sprawę, że jeśli zostanie trafiony czy to którymś z tych wielkich rogów, czy łbem zwierzęcia, jego czaszka pęknie jak skorupka jajka.

Szaleńcze wirowanie spowodowane zwolnieniem potrzasku i rozciągnięciem skóry pod wpływem jego ciężaru zmieniło się w lekki ruch obrotowy, co sprawiło że raz patrzył na thaga, a kiedy indziej w przeciwnym kierunku. Całkowita bezsilność wynikająca z jego obecnego położenia irytowała człowieka-małpę i martwiła go bardziej niż potencjalna nieuchronność śmierci. Od dzieciństwa szedł ręką w rękę z Posępnym Żniwiarzem i widywał śmierć w tak wielu odmianach, że nie wzbudzała w nim trwogi. Wiedział, że taki koniec nieuchronnie czekał każdą żyjącą istotę i że los ten prędzej czy później spotka także jego. Co prawda kochał życie i nie chciał umierać, jednak znalezienie się oko w oko ze śmiercią nie wzbudziło w nim próżnej hysterii. Tarzan z Małp nie zamierzał jednak odejść bez walki. Nie chciał umrzeć, nie podjąwszy przynajmniej próby walki o życie. I kiedy jego ciało obracało się powoli, tracąc z zasięgu wzroku szarżującego thaga, serce w piersi człowieka-małpy zamarło na chwilę, gdy pomyślał, że nawet nie dane mu będzie zaznać tej drobnej satysfakcji, że umierając spojrzy śmierci prosto w oczy.

W tej krótkiej chwili, kiedy czekał na uderzenie, powietrze rozdarł najgłośniejszy i najokropniejszy ryk, jaki Władca Dżungli miał okazję kiedykolwiek usłyszeć, a parskanie tura jeszcze bardziej przybrało na sile, mieszając się z tym drugim, odrażającym odgłosem.

Ciało wiszącego bezwładnie człowieka-małpy wykonało kolejny obrót, i jego oczom ukazała się scena, jakiej ludzie

żyjący na zewnętrznej skorupie nie mieli okazji oglądać od niepamiętnych czasów.

W masywny grzbiet i kark wielkiego thaga wpił się tygrys, tak ogromnych rozmiarów, że Tarzan w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wystające z górnej szczęki długie jak szable, zakrzywione kły pogrążyły się głęboko w szyi tura, który zamiast próbować uciec, stanął jak wryty i starał się strząsnąć z grzbietu olbrzymiego drapieżcę, potrząsając masywnymi rogami i bodąc nimi do tyłu, w nadziei że zdoła nadzieć na nie wielkiego kota. W tym samym celu thag targał też gwałtownie całym ciałem, przez cały czas przeraźliwie wyjąc z bólu i wściekłości.

Tygrys szablozębny stopniowo zmieniał pozycję, aż przyjął taką, która odpowiadała jego zamierzeniom. A potem błyskawicznym ruchem machnął przednią łapą, zadając jeden, potworny cios w łeb thaga, z boku – uderzenie było tak silne, że zmiażdżyło masywny czerep i wielki samiec w jednej chwili osunął się na ziemię. Zaraz potem mięsożerca zabrał się za pożeranie swojej ofiary.

Przez całą walkę tygrys szablozębny nawet nie zauważył człowieka. Drapieżca zwrócił uwagę na ciało kołyszące się nad ścieżką o kilka jardów od niego dopiero po tym, jak zaczął się pożywiać. W jednej chwili przerwał ucztowanie, opuścił łeb, i przywarował nisko nad ziemią, a jego górna warga uniosła się, w złowieszczym grymasie.

Tygrys przyglądał się człowiekowi-małpie. Z gardzieli stwora dobył się cichy, groźny warkot; jego długi, wijący się ogon chłostał gniewnie powietrze, gdy drapieżca podniósł się powoli znad ciała swojej ofiary i jął zbliżać się w stronę Tarzana z Małp.



[1] Aneroid – czujnik ciśnieniomierza, głównie barometru, do pomiaru ciśnienia.

## .. 3 ..

### WIELKIE KOTY

Burzliwe wichry wielkiej wojny rzuciły wielu ludzi na nieznane im wcześniej brzegi. W samym środku jej trwania, Robert Jones, starszy szeregowy z batalionu wojsk inżynieryjnych został brutalnie wyrwany z nieprzychylnego otoczenia i wylądował w obozie jenieckim za liniami wroga. Tu z uwagi na swe łagodne usposobienie zyskał sobie licznych przyjaciół i względy, ale ani jedno ani drugie nie pozwoliło mu na odzyskanie wolności.

Wydawało się że Robert Jones zaginął w trakcie przetasowań kadrowych. Kiedy w końcu zakończono ewakuację więzienia, Robert Jones wciąż tam pozostawał, ale nie stracił ducha. Poznał język swoich przeciwników i zyskał wśród nich wielu przyjaciół. Znaleźli mu robotę i Robert Jones z Alabamy ucieszył się, pozostając tam, gdzie się znajdował. Został awansowany z adiutanta na kucharza w mesie oficerskiej, i tam właśnie wypatrzył go kapitan Zuppner, który zwerbował go do udziału w ekspedycji O-220.

Robert Jones ziewnął, przeciągnął się, obrócił na wąskiej koi na pokładzie O-220, otworzył oczy i usiadł, a z jego ust dobył się okrzyk zdumienia. Zeskoczył na podłogę i wystawił głowę przez otwarty iluminator.

— Boże – rzucił – to zem się pospał, bez dwóch zdań.

Przez chwilę wpatrywał się w znajdujące się w zenicie słońce skąpujące go swymi promieniami, po czym ubrawszy się

pospiesznie, pobiegł do kuchni.

— To zabawne – ciągnął – nikogo ani widu, ani słyhu.

Chyba wszyscy śpią jak zabici. Spojrzał na zegarek na ścianie kambuza. Wskazówka godzinowa wskazywała szóstą. Przekrzywił głowę i nasłuchiwał przez chwilę.

— Zegar chodzi – mruknął pod nosem. Podeszedł do drzwi prowadzących z kambuza na zewnątrz i otworzył je. Wychylając się na zewnątrz ponownie spojrział na słońce. I pokręcił głową. – Coś tu jest nie tak – mruknął. – Nie wiem czy mam szykować śniadanie, obiad czy kolację.

Jason Gridley, który wyszedł ze swojej kabiny, przemaszerował wąskim korytarzem w stronę kambuza.

— Dzień dobry, Bob – powiedział, przystając w otwartych drzwiach. – Jaka jest szansa na szybkie śniadanko?

— Powiedział pan: śniadanie? – spytał Robert.

— Tak – odparł Gridley – wystarczy kawa, tost i ze dwa jajka, coś tak na szybko.

— Wiedziałem! – zawołał mężczyzna. – Wiedziałem że ten stary zegar nie może się mylić, ale słońce coś wyraźnie świruje.

Gridley uśmiechnął się.

— Wskoczę na zewnątrz i wybiorę się na mały spacer – oznajmił. – Wrócę za piętnaście minut. Widziałeś może lorda Greystoke'a?

— Nie, proszę pana. Nie widziałem Tarzana od wczoraj.

— Tak się zastanawiałem – odparł Gridley – bo nie ma go w jego kabinie.

Przez piętnaście minut Gridley spacerował szybkim krokiem w pobliżu statku. Kiedy wrócił do mesy, zastał Zuppnera i Dorfa czekających na śniadanie, po czym powitał ich przyjaznym: Dzień dobry.

— Nie wiem czy to dzień czy może wieczór – odparł Zuppner.

— Jesteśmy tu od dwunastu godzin – rzekł Dorf – a wszystko wygląda tak samo, jak wtedy gdy tu dotarliśmy. Pełniłem wachtę przez ostatnie cztery godziny i gdyby nie chronometr, nie byłbym w stanie stwierdzić czy robiłem to przez kwadrans czy może przez tydzień.

— Z całą pewnością to wzbudza wrażenie nierealności, które trudno wytłumaczyć – wtrącił Gridley.

— Gdzie jest Greystoke? – spytał Zuppner. – Zwykle to ranny ptaszek.

— Właśnie pytałem o niego Boba – odrzekł Gridley – ale go nie widział.

— Opuścił statek krótko po tym jak objąłem wachtę – odezwał się Dorf – Powinienem raczej powiedzieć – jakieś trzy godziny temu, może trochę dłużej. Widziałem go jak przechodzi przez polanę i znika w lesie.

— Wolałbym, żeby nie szedł sam – rzekł Gridley.

— Sprawia wrażenie człowieka, który potrafi o siebie zadbać – stwierdził Zuppner.

— W ciągu ostatnich czterech godzin widziałem takie rzeczy – odezwał się Dorf – które pozwalają mi wątpić czy jakikolwiek człowiek jest w stanie sam jeden zadbać o siebie w tym świecie, zwłaszcza uzbrojony w tak prymitywną broń, jaką zabrał ze sobą Greystoke.

— Chcesz powiedzieć, że nie wziął broni palnej? – dopytywał się Zuppner.

— Był uzbrojony w łuk i strzały, włócznię oraz linę – odrzekł Dorf. – I wydaje mi się że miał też przy sobie nóż myśliwski. Ale równie dobrze mógłby mieć przy sobie dmuchawkę



do strzelania grochem, gdyby spotkał niektóre z istot, jakie widziałem podczas mojej wachty.

— Co chcesz przez to powiedzieć? – dopytywał się Zuppner – co takiego widziałeś?

Dorf uśmiechnął się nieśmiało.

— Szczerze mówiąc, kapitanie, wolałbym o tym nie mówić – odparł – bo sam nie do końca w to wierzę.

— Dalej, wyrzuc to z siebie – wykrzyknął Zuppner. – Weźmiemy poprawkę na twój wiek, i efekt jaki słońce oraz horyzont Pellucidaru mogły wywrzeć na twoim wzroku, albo na twojej wiarygodności.

— Cóż – mruknął Dorf – jakąś godzinę temu o sto jardów od statku przeszedł niedźwiedź.

— Nie ma w tym nic niezwykłego – stwierdził Zuppner.

— Ten niedźwiedź był pod każdym względem niezwykły – zaproponował Dorf.

— To znaczy? – wtrącił Gridley.

— Był wielkości wołu – odrzekł Dorf – i gdybym miał zapolować na tego niedźwiedzia, zrobiłbym to jedynie mając do dyspozycji pułk artylerii polowej.

— To wszystko co widziałeś – tego jednego niedźwiedzia? – spytał Zuppner.

— Nie – odrzekł Dorf. – Widziałem też tygrysy i to nie jednego, lecz cały tuzin. Były większe od naszych tygrysów bengalskich, tak jak ten niedźwiedź przewyższał ramionami wszystkich swoich krewniaków z zewnętrznej skorupy. Wszystkie były ogromne i wyposażone w największe kły jakie kiedykolwiek widziałem – wielkie, zakrzywione kły wyrastające z górnych szczęk, i mierzące od ośmiu cali do mniej więcej stopy. Przyszły nad pobliski strumień, aby się napić, po czym

odeszły, kilka w stronę lasu, a reszta w kierunku tamtej wielkiej rzeki, w oddali.

— Greystoke niewiele by zdziałał przeciwko tym stworzeniom, nawet gdyby miał karabin – rzekł Zuppner.

— Gdyby był w puszczy, mógłby im uciec – powiedział Gridley.

Zuppner pokręcił głową.

— Nie wydaje mi się – mruknął. – Wolałbym, żeby nie oddalał się w pojedynkę.

— Niedźwiedź i tygrysy już same w sobie wyglądały groźnie – ciągnął Dorf – ale zobaczyłem jeszcze jedno stworzenie, które wydało mi się nieskończenie gorsze od nich.

Robert, który miał w pewnym sensie uprzywilejowaną pozycję wyszedł z kambuza i przysłuchiwał się ze zdumieniem relacji Dorfa na temat zaobserwowanych przez niego stworzeń, podczas gdy filipińczyk Victor, jeden z chłopców kabinowych przyniósł oficerom przekąski i napoje.

— Tak – ciągnął Dorf. – Ujrzałem naprawdę dziwaczne stworzenie. Przeleciało dokładnie nad statkiem i mogłem dobrze mu się przyjrzeć. W pierwszej chwili pomyślałem, że to ptak, ale gdy się zbliżył, zobaczyłem że to skrzydlaty gad. – Miał długi, wąski łeb i przeleciał tak blisko, że mogłem zobaczyć jego wielkie szczęki wypełnione mnóstwem długich, ostrych zębów. Łeb wydłużał się powyżej oczu, przechodząc w ostry szpic. Stwór był naprawdę olbrzymi, a rozpiętość jego skrzydeł sięgała co najmniej dwudziestu stóp. Gdy tak patrzyłem, nagle opadł na ziemię, w niedużej odległości od statku, a gdy znowu wzbił się w górę, trzymał w szponach stworzenie wielkości owcy, z którym odleciał bez najmniejszego wysiłku. To świadczy, że mamy do czynienia ze stworzeniem

mięsożernym, a także sugeruje, że ta istota byłaby w stanie unieść w powietrze człowieka.

Robert Jones zakrył usta różową dłonią i zgarbiony, cały rozdygotany wyszedł na paluszkach z pomieszczenia, a gdy drzwi kambuza znów się za nim zamknęły, wydał okrzyk niepohamowanej radości.

— Co z tobą? – spytał Victor.

— Wielkie nieba! – zawołał Robert. – Zawsze żem myślał, że niektórzy z dżentelmenów z Klubu Poszukiwaczy Przygód w Birmingham to wierutni łgarze, ale porucznik Dorf przebił ich na całego. Słyszałeś jak mówił o tym latającym wężu co porwał w powietrze owcę?

Tymczasem w mesie słowa Dorfa przyjęto z o wiele większą powagą.

— To musiał być pterodaktyl – rzekł Zuppner.

— Tak – odparł Dorf. – Sklasyfikowałem to stworzenie jako pteranodona.

— Nie uważasz, że powinniśmy wysłać grupy poszukiwawcze? – spytał Gridley.

— Obawiam się, że Greystoke'owi to by się nie spodobało – odparł Zuppner.

— Moglibyśmy wyruszyć pod przykrywką wyprawy łowieckiej – zauważył Zuppner – i tak trzeba będzie coś takiego przeprowadzić!

Hines i von Horst weszli do mesy, a gdy dowiedzieli się, że Tarzan opuścił statek, i usłyszeli od Dorfa z jakimi zwierzętami mógłby zetknąć się Greystoke, podobnie jak inni, zaczęli obawiać się o jego bezpieczeństwo.

— Moglibyśmy trochę pokrażyć, panie kapitanie – zwrócił się do Zuppnera von Horst.

— A jeśli on wróci pod naszą nieobecność w to miejsce? – zapytał Gridley.

— Czy możliwe jest, abyśmy wrócili naszym statkiem na to samo miejsce lądowania? – dopytywał się Zuppner.

— Wątpię – odparł porucznik. – W warunkach jakie występują na Pelucidarze, nasze instrumenty pokładowe są niemal całkiem bezużyteczne.

— Wobec tego lepiej zostańmy tu, gdzie jesteśmy – rzekł Gridley – aż do jego powrotu.

— Gdybyśmy jednak wysłali grupę poszukiwawczą, poruszającą się pieszo, jaką mamy pewność, że zdołałaby odnaleźć drogę powietrzną do statku? – ciągnął Zuppner.

— To nie byłoby takie trudne – odparł Gridley. – Możemy oznakowywać drogę, dzięki czemu później z łatwością moglibyśmy wrócić po własnych śladach.

— W sumie racja – przyznał Zuppner.

— Przypuśćmy – rzekł Gridley – że von Horst i ja wyruszylibyśmy z Muviro i jego Wazirami. To doświadczeni zwiadowcy, wspaniali wojownicy i z całą pewnością znają dżunglę.

— Nie taką jak ta – odrzekł Dorf.

— Ale przynajmniej znają dżunglę lepiej niż pozostali z nas.

— Myślę, że to dobry plan – przyznał Zuppner – a ponieważ ty teraz dowodzisz, my wszyscy chętnie oddamy się pod twoje rozkazy.

— Warunki, z jakimi przyjdzie nam się zmierzyć, są nowe dla nas wszystkich – rzekł Gridley. – Nic co ktokolwiek z nas mógłby zarządzić lub zasugerować nie będzie oparte na osobistych doświadczeniach albo wiedzy, której nie posiadałaby reszta spośród nas i myślę, że w tej sytuacji lepiej będzie podejmować

decyzje po wyczerpującej dyskusji niż gdybyśmy mieli zdać się ślepo na priorytety wynikające z szarży, czy oficjalnego łańcucha dowodzenia.

— Tak życzył sobie Greystoke – rzekł Zuppner – i jak dotąd ta praktyka się sprawdza. Zgadzam się z tobą, ale nie przychodzi mi do głowy żaden lepszy plan niż to co przed chwilą zasugerowałeś.

— Doskonale – rzekł Gridley – zechce mi pan towarzyszyć, poruczniku? – spytał, zwracając się do von Horsta.

Oficer uśmiechnął się.

— Czy zechcę? – zawołał. – Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby wykluczył mnie pan z tej ekspedycji.

— Świetnie – rzucił Gridley. – A teraz, myślę że moglibyśmy od razu poczynić niezbędne przygotowania, i wyruszyć najszybciej jak to tylko możliwe. Proszę dopilnować, aby Wazirowie się najedli i powiedzieć Muviro, że chcę aby uzbroili się w karabiny. Umieją się nimi posługiwać, ale raczej z pogardą spoglądają na wszystko co jest bardziej nowoczesne niż ich włócznie bojowe i strzały.

— Tak, zauważyłem – mruknął Hines. – Muviro wspominał mi kilka dni temu, że jego lud uważa użycie broni palnej za przejaw tchórzostwa. Mówił, że korzystali z niej, by poćwiczyć strzelanie do celu, ale gdy wyruszają na lwa czy nosorożca, zostawiają swoje strzelby i zamiast nich biorą włócznie, łuki i strzały.

— Gdy zobaczą to co ja – wtrącił Dorf – nabiorą większego szacunku do sztucera na grubą zwierzynę.

— Proszę dopilnować, aby zabrali pokaźny zapas amunicji, von Horst – dodał Gridley – bo o ile zdołałem się zorientować, w tej krainie nie musimy zabierać ze sobą prowiantu.

— Człowiek, który nie jest w stanie przeżyć na tym co daje mu ta kraina, umarłby z głodu nawet w sklepie mięsnym – burknął Zuppner.

Von Horst wyszedł, by wypełnić rozkazy Gridleya, podczas gdy ten drugi wrócił do swojej kabiny, aby przygotować się do wyprawy. Oficerowie i załoga pozostający w sterowcu, zebrali się, by pożegnać ekspedycję wyruszającą na poszukiwanie Tarzana z Małp, i kiedy dziesięciu krzepkich wojowników Waziri ruszyło w ślad za Gridleyem i von Horstem, Robert Jones, obserwując ich od drzwi kambuza aż pękał z dumy. – Niech wszystkie latające węże lepiej wyniosą się z tej krainy – zawołał. Robert i pozostali patrzyli jak niewielka ekspedycja przechodzi przez polanę i znika w gęstwinie opodal. Następnie Robert uniósł wzrok ku stojącemu w zenicie słońcu, pokręcił głową, machnął rękoma wyrazie rezygnacji i wrócił do pokładowego kambuza.

Niemal natychmiast, po tym jak członkowie wyprawy opuścili statek, Gridley nakazał Muviro, aby przeszedł na czoło kolumny i zaczął wypatrywać tropów Tarzana, bo z całej ekspedycji, on był najbardziej doświadczonym tropicielem, a poza tym wódz Wazirów nie miał większej trudności z dostrzeżeniem śladów człowieka-małpy, czy to na równinie, czy później w puszczy, urywały się one jednak pod pnem wielkiego drzewa.

— Wielki Bwana wspiął się tu na drzewo – rzekł Muviro – i nikt z żyjących nie jest w stanie podążyć jego tropem, poprzez dolne, środkowe, czy górne warstwy koron drzew.

— Co zatem sugerujesz, Muviro? – spytał Gridley.

— Gdyby to była jego dżungla – odparł wojownik – uznałbym, że wspiąwszy się na drzewo, podąży prosto jak strzeł, w stronę

miejsca, do którego zamierzał się udać, chyba że akurat by polował, a wówczas skierowałby się w stronę, gdzie spostrzegł lub zwierzył zwierzynę.

— Wątpliwe aby tu i teraz polował – wtrącił von Horst.

— Gdyby polował – ciągnął Muviro – poruszałyby się po linii prostej, dopóki nie wychwyciłby woni zwierzyny albo nie dotarłby do ścieżki wydeptanej przez zwierzynę.

— A co potem? – dopytywał się Gridley.

— Mógłby poczekać nad ścieżką – odparł Muviro – albo podążyłby wzdłuż niej. Myślę że wybrałby to drugie, bo zawsze był zainteresowany eksploracją nowych krain, w których się znalazł.

— Wobec tego ruszajmy przez puszcę w tym samym kierunku co on, dopóki nie natkniemy się na ścieżkę, z której korzystają zwierzęta – rzekł Gridley.

Muviro i trzech innych wojowników wysforowało się naprzód, wycinając drogę przez gąszcz, kiedy to było konieczne i w regularnych odstępach oznakowując drzewa, dzięki czemu będą mogli łatwiej wrócić do statku, po własnych śladach. Z pomocą niewielkiego kieszonkowego kompasu, Gridley wskazywał im kierunek w jakim mieli podążać, co w świecie słońca stojącego stale w zenicie, i skąpującego swymi promieniami padającymi pionowo w dół, przez listowie, na tę dziwną krainę, nie było rzeczą prostą.

— Boże, ależ puszcza! – zakrzyknął von Horst. – Poszukiwać w niej jednego człowieka to jak szukać przysłowiowej igły w stogu siana.

— Tyle że szanse na znalezienie owej igły byłyby szacunkowo wyższe – wtrącił Gridley.

— Może powinniśmy od czasu do czasu oddać strzał z karabinu – zaproponował von Horst.

— Doskonale – rzekł Gridley – karabiny mają silniejsze ładunki i są głośniejsze niż nasze rewolwery.

Ostrzegłszy innych o naszych zamiarach, polecił jednemu z czarnych, aby oddał trzy strzały w odstępie kilku sekund, bo ani Gridley, ani von Horst nie byli uzbrojeni w strzelby – oficerowie mieli dwa colty kalibru 45. Od tej pory, w odstępach półgodzinnych oddawano po jednym strzale, jednak grupa poszukiwawcza zapuszczając się coraz dalej w głąb puszczy, miała niepokojące i coraz silniejsze przeczucie, że jej wysiłki są skazane na niepowodzenie.

Sama puszcza też się zmieniła. Drzewa nie rosły tu tak gęsto, jedno przy drugim, a krzewy, choć wciąż tworzyły nieprzenikniony parawan, nie były już tak zwarte i niebawem dotarli do szerokiej ścieżki wydeptanej przez niezliczoną ilość kopyt i wgniecionych na głębokość ponad dwóch stóp poniżej powierzchni otaczającego ją gruntu, a Jason Gridley rozpromienił się.

— Dopóki będziemy podążać wzdłuż tej ścieżki, nie musimy znakować drzew – rzekł do Muviro – poza miejscami, w których ścieżka będzie się rozgałęziać, albo przecinać z innymi.

Był to oczywisty błąd, bo kilka oznakowanych na ścieżce drzew nie mogłoby pomóc im w znalezieniu drogi powrotnej, gdyby zamierzali wrócić po swoich śladach.

Teraz szło im się już łatwiej, a kiedy wojownicy Waziri narzucili naprawdę szybkie tempo, pokonując kolejne mile, promienie słońca, padające pionowo z góry do reszty pozbawiły ich poczucia czasu, a uwagę wszystkich, zarówno czarnych jak i białych przykuły obrazy tętniącego wokół nich życia.



Dziwne mały, niektóre dziwnie przypominające ludzi i całkiem spore, przyglądały im się z zaciekawieniem. Ptaki zarówno o krzykliwym jak i skromnym upierzeniu, spłoszone ulatywały z krzykiem, a wszędzie dokoła nich wśród zarośli widać było przesuwające się, masywne kształty i dało się słyszeć odgłosy stąpania.

Od czasu do czasu przechodzili przez połąć lasu, w której panowała grobowa cisza, kiedy indziej zaś towarzyszyła im szaleńcza kakofonia upiornych ryków, warkotów i wrzasków.

— Chciałbym czasem zobaczyć co nam towarzyszy – rzekł von Horst, gdy dał się słyszeć wyjątkowo głośny jazgot.

— Dziwi mnie, że to się jeszcze nie stało – odparł Gridley – ale podejrzewam, że ci co za nami idą trochę się nas boją, nie tylko z uwagi na liczebność naszej grupy, ale z uwagi na to, że muszą nas otaczać dziwne i nieznanne im wonie. Z całą pewnością wzmagają one podejrzliwość wywołaną hukem naszych wystrzałów.

— Zauważyłeś – rzekł von Horst – że większość tych dźwięków rozlega się z tyłu, za nami; mam na myśli te dzikie warknięcia. Słyszałem popiskiwanie i dźwięki przypominające trąbienie słoni, płynące z prawej i z lewej strony, słyhać je było nawet przed nami, ale ryki i warknięcia rzadko dobiegają z tamtych kierunków, i zawsze, ze sporej odległości.

— Jak to wytłumaczysz? – spytał Gridley.

— Nie umiem tego wytłumaczyć – odrzekł von Horst. – Ale mam wrażenie jakbyśmy posuwali się długą kolumną, mając wokół siebie inne stworzenia, a z tyłu najgroźniejsze drapieżniki.

— To, że panuje tu wieczne południe ma swoje dobre strony – zauważył Gridley – Jak choćby to, że nie będziemy musieli spędzić tu nocy.

W tej samej chwili dwaj mężczyźni usłyszeli wołanie jednego z Wazirów, znajdujących się za nimi.

— Spójrz, Bwana! Zobacz! – zakrzyknął mężczyzna, wskazując wzdłuż ścieżki. Patrząc za wskazującym palcem wojownika, Gridley i von Horst ujrzeli ogromne zwierzę, przesuające się wolno wzdłuż ścieżki, z tyłu, za nimi.

— Boże! – zawołał von Horst. – A ja myślałem że Dorf przesadzał.

— Wydaje się niemożliwe – zakrzyknął Gridley – że pięćset mil pod naszymi stopami, po zatłoczonych ulicach suną automobile, wzdłuż ulic wznoszą się ogromne budynki, działają telefony, telegrafy i radio, i są one czymś tak oczywistym, że nie wzbudzają najmniejszej sensacji, a niezliczone rzesze ludzi wiodą spokojne życie, nie mając potrzeby sięgać w jego obronie po jakikolwiek oręż, podczas gdy my tymczasem stajemy tu oko w oko z tygrysem szablozębnym w otoczeniu jakie na zewnętrznej skorupie nie istnieje od miliona lat.

— Spójrz na nie! – zawołał von Horst. – Tam gdzie jest jeden, musi być ich tuzin.

— Czy mamy strzelać, Bwana? – spytał jeden z Wazirów.

— Jeszcze nie – odparł Gridley. – Ale zewrzyjcie szyk i bądźcie w pogotowiu. Wydaje się, że jak na razie tylko idą za nami.

Cała grupa nieznacznie zwolniła, Wazirowie w tyle kolumny obserwowali tygrysy, powoli się przed nimi wycofując. Muviro podszedł do Gridleya.

— Już od dłuższego czasu, Bwana – powiedział – na ścieżce było widać tropy wielu słoni, lub raczej tropy zwierząt przypominających słonie, choć jakby trochę inne. Teraz udało mi się wypatrzyć przed nami kilka z tych zwierząt. Nie widziałem ich wyraźnie, ale jeżeli nawet to nie są słonie, bardzo je przypominają.

— Znaleźliśmy się pomiędzy młotem a kowadłem – rzekł von Horst.

— Wokół nas po obu stronach też są tygrysy albo słonie – dodał Muviro. – Słyszę jak przedzierają się przez gąszcz.

Być może w umysłach wszystkich członków ekspedycji zaświtała w tej chwili myśl, że powinni wdrapać się na drzewo, ale z jakiegoś powodu nikt nie powiedział tego głośno. Dlatego szli dalej wzdłuż ścieżki, gdy nagle dotarli do rozległej otwartej przestrzeni, w środku puszczy, gdzie rosło niewiele drzew i prawie nie było krzewów. Polana miała jakieś sto akrów powierzchni, po czym puszcza znów zamykała się wokół niej, ze wszystkich stron.

Na polanę, wzdłuż licznych ścieżek, prowadzących w to właśnie miejsce wychodziły procesje najdziwniejszych istot jakie kiedykolwiek ujrzały ludzkie oczy. Były tam wielkie stworzenia przypominające wołu, o szerokich, rozłożystych rogach i ciałach porośniętych gęstym włosiem. Były tam jelenie, łosie i leniwce gigantycznych rozmiarów.

Były tam mastodonty i mamuty oraz ogromne przypominające słonia stworzenie, które choć pod pewnymi względami wyglądało jak słoń, jednak nim nie było. Wielki łeb tego zwierzęcia mierzył cztery stopy długości i trzy stopy szerokości. Miało ono krótką, mocną trąbę, a z dolnej zuchwy wyrastały ku dołowi, długie, zakrzywione ciosy, których końce

skierowane były w stronę ciała. Stwór musiał mieć co najmniej dziesięć stóp wysokości, w kłębie, i ponad dwadzieścia stóp długości. Jednak jego podobieństwo do słonia psuły małe, świńskie uszy.

Dwaj biali mężczyźni na chwilę zapomnieli o podążających za nimi tygrysach, zdumieni widokiem jaki ukazał się ich oczom i przystanąwszy, z fascynacją patrzyli na ogromne stworzenia gromadzące się na polanie.

— Widziałeś kiedyś coś podobnego? – rzucił Gridley.

— Nie, podobnie jak nikt inny – odparł von Horst.

— Mógłbym nazwać wiele z nich – rzekł Gridley – choć na zewnętrznej powłoce praktycznie wszystkie te gatunki należą do wymarłych. Nie mam jednak pojęcia, czym jest to coś, tam – wskazał na przypominające słonia stworzenie z ciosami skierowanymi do dołu.

— To mioceńskie *Dinotherium* – odrzekł von Horst.

Muviro przystanął obok obu białych i patrzył z wytrzeszczonymi oczami, jak osłupiały na rozgrywającą się przed nimi scenę.

— No proszę – rzekł Gridley – i co o tym powiesz, Muviro?

— Myślę, że teraz już rozumiem, Bwana – odparł Czarny. – Gdybyśmy byli zmuszeni uciekać, naszą jedyną szansą jest przedostanie się możliwie jak najszybciej na drugi koniec tej polany. Wielkie koty zagnały tu te stworzenia i niebawem dojdzie tu do rzezi jakiej nigdy nie widziały oczy ludzkie. Jeśli nie zabiją nas wielkie koty, zostaniemy stratowani na śmierć przez te olbrzymy, gdy będą próbowały uciekać albo walczyć z tygrysami.

— Chyba masz rację, Muviro – przyznał Gridley.

— Przed nami jest prześwit – zauważył von Horst.

Gridley wezwał ludzi do siebie i wskazał na drugi koniec polany i widniejący tam skraj puszczy.

— To nasza jedyna szansa – powiedział – musimy przedostać się tam, zanim wielkie koty zaatakują te zwierzęta. Zaszliśmy zbyt daleko w głąb polany, aby się cofnąć do lasu i spróbować znaleźć schronienie wśród drzew, bo tygrysy szablozębne są za blisko. Musimy trzymać się razem i nie strzelać, chyba że zostaniemy zaatakowani.

— Spójrzcie! – zawołał von Horst – tygrysy wychodzą na polanę ze wszystkich stron. Otaczają swoje ofiary.

— Przed nami wciąż jest jeden wolny prześwit, Bwana – zauważył Muviro.

Niewielka grupka zaczęła już iść przez polanę, pełną coraz bardziej zdenerwowanych zwierząt kręcących się niespokojnie w tę i z powrotem, ich zachowanie zaś zdradzało narastający strach. Zanim pojawiły się tygrysy, zwierzęta były całkiem spokojne, skubiąc trawę lub liście nielicznych drzew, rosnących na polanie, jednak wraz z pojawieniem się pierwszego drapieżcy, ich zachowanie się zmieniło. Ogromny mastodont – samiec uniósł trąbę i wydał przeciągły dźwięk, a reszta roślinożerców w okamgnieniu nabrała czujności. I kiedy ich oczy lub nozdrza wychwyciły obecność wielkich kotów, albo zwierzęta zaczęły płoszyć się wyczuwając niepokój swoich pobratymców i swoimi odgłosami wzmogły jeszcze, coraz bardziej narastające pandemonium. Do trąbienia, popiskiwania i parskania roślinożerców dołączyły coraz głośniejsze powarkiwania i ryki drapieżników.

— Spójrzcie na te koty – zawołał von Horst. – Muszą być ich setki.

— Jego szacunki nie były ani trochę przesadzone, bo ze wszystkich stron wokół nich, za wyjątkiem jednego punktu, dokładnie na wprost, z puszczy wyłaniały się wielkie koty, i zaczynały okrążyć stado. To że się nie spieszyły, świadczyło o respekcie jaki miały wobec wielkich zagonionych przez siebie stworzeń, których w większości nie odważyłyby się zaatakować nie mając nad nimi znacznej przewagi liczebnej.

Obecnie mamut, wielki samiec, podniósłszy ogon i nastawiwszy uszu, uniósł trąbę nad głowę i ruszył do ataku. Jednak dwadzieścia wielkich kotów, powarkując upiornie rzuciło mu się na spotkanie, a samiec, spłoszony, zatoczywszy szeroki łuk zawrócił w stronę stada. Gdyby próbował przebić się przez tę groźną linię kłów i pazurów, z uwagi na swoje gabaryty, ciężar i siłę, pewnie by mu się to udało, i co więcej otworzyłyby w murze drapieżców przejście, przez które mogłyby zbiec w bezpieczne miejsce inne spłoszone zwierzęta.

Przerażone roślinożerne istoty, których uwaga skupiła się na zagrażających im tygrysach nie zważały na przemieszczające się wśród nich mniejsze, ludzkie stworzenia. Ale były też wyjątki. Thag, rycząc i orząc kopytem ziemię, dokładnie na linii ich przemarszu, spłoszony wonią mięsożerców i pobudzony oraz rozjuszony odgłosami jego przerażonych pobratymców, próbował wyładować na czymś swój gniew, opuścił łeb i zaszarżował na nich. Wojownik Wazirów uniósł karabin do ramienia i strzelił, a prehistoryczny *Bos Primigenus* zarył na ziemię, śmiertelnie rażony współczesnym pociskiem.

Gdy odgłos wystrzału poniósł się nad polaną, zagłuszając inne dźwięki, cała uwaga łowców i potencjalnych ofiar przeniosła się na niewielką grupkę istot ludzkich, dotąd tak

nieznaczących w obecności ogromnych bestii z zamierzchłej przeszłości. Dinotherium postawiwszy uszy i ze wciąż podniesionym ogonem poczłapało wolno w ich stronę. Niemal natychmiast inne podążyły w ślad za nim, aż całe stado zaczęło zbliżać się do nich. Od skraju puszczy wciąż dzieliło ich prawie sto jardów, gdy Jason Gridley zdał sobie sprawę z powagi sytuacji w jakiej się obecnie znaleźli.

— Musimy pobiec – powiedział. – Oddamy jedną salwę i zaczniemy biec w stronę drzew. Jeżeli zaatakują, każdy będzie musiał zadbać o własną skórę.

Wazirowie odwrócili się w stronę powoli zbliżającego się stada, po czym, na rozkaz Gridleya, wypalili. Grzmiący huk karabinowej palby wywarł pożądaný skutek na zbliżających się stworzeniach. Zawahały się, po czym odwróciły się i rzuciły do ucieczki ale za nimi były już tygrysy. Dlatego roślinożercy ponownie zwrócili się w stronę ludzi, którzy gnali teraz co sił w nogach w kierunku puszczy.

— Nadchodzą! – zawołał von Horst. Rzut oka do tyłu upewnił go, że całe stado, przerażone obecnością tygrysów, wpadło w dziki popłoch. To czy gnały prosto na grupkę biegnących ludzi, czy nie, pozostaje kwestią sporną, ale prawda jest taka, że znaleźli się oni na ich drodze i ich los zostałby przypieczętowany, gdyby nie zdołali dotrzeć do linii lasu przed szarżującymi czworonogami.

— Poślijcie im jeszcze jedną salwę! – zawołał Gridley. Wazirowie ponownie odwrócili się i oddali strzały.

Dinotherium, thag i dwa mamuty potknęły się i runęły na ziemię, ale reszta stada nie przystanęła nawet na chwilę. Przeskakując nad ciałami swych padłych pobratymców, runęły niepohamowaną falą na umykających ludzi.

W tej sytuacji każdy musiał radzić sobie sam i zrobiło się tak niebezpiecznie, że nawet Wazirowie porzucili swoje karabiny, bo były ciężkie i utrudniały im ucieczkę.

Kilka jeleni i łosi, szybszych niż reszta stada wysforowało się do przodu i przegalopowawszy przez środek grupy sprawiło, że jej członkowie rozbiegli się na lewo i prawo.

Gridley i von Horst próbowali osłonić odwrót Wazirów i powstrzymać szarżę spłoszonych zwierząt strzałami z rewolwerów. Udało im się zatrzymać kilka zwierząt znajdujących się na czele, aż jeden z wielkich jeleni, obdarzony masywnym porożem zmusił ich do desperackiej ucieczki, a za jeleniem nadciągnęła cała koszmarna horda przerażonych stworzeń.

Gridley dostrzegł znajdujące się nieopodal wielkie drzewo, stojące w niewielkiej odległości od skraju polany, i stwierdziwszy że jest sam, i że ma odciętą dalszą drogę ucieczki, Amerykanin odwrócił się by pobiec w jego stronę, podczas gdy von Horst został zmuszony popędzić dalej w stronę dżungli, która znajdowała się teraz nieomal w jego zasięgu.

Przewrócony przez ogromnego leniwca, Gridley szybko się pozbierał i przebiegając przed uciekającym mastodontem, dotarł do zbawczego drzewa, w chwili gdy wielka fala spłoszonych roślinożerców zamknęła się wokół niego. Gruby pień drzewa zapewnił mu chwilową ochronę, a w chwilę potem Gridley wspiął się na górę i ukrył wśród jego konarów. Jego myśli natychmiast skierowały się ku przyjaciółom, lecz tam gdzie byli jeszcze przed chwilą znajdowało się teraz mrowie spłoszonych gnających na łeb, na szyję zwierząt. Nigdzie nie było widać ludzi, a Gridley wiedział, że żadna żywa istota nie



zdołałby ujść cało, gdyby stratowały je te niezliczone tony spłoszonych ciał.

Wiedział, że przynajmniej niektórzy musieli dotrzeć do lasu. Wątpił jednak aby wszystkim udało się znaleźć bezpieczne schronienie, najbardziej zaś obawiał się o von Horsta, który znajdował się w pewnym oddaleniu od Wazirów. Amerykanin powiódł wzrokiem po całej polanie, by ujrzeć coś czego zapewne nie miał okazji oglądać żaden człowiek, nigdy wcześniej w dziejach całej ludzkości. Dosłownie tysiące stworzeń, wielkich i małych, podążały za swymi przywódcami, walcząc o życie i wolność, podczas gdy z obu flank i z tyłu rzucały się na nie setki dzikich tygrysów szablozębnych, powalając słabsze osobniki, walcząc z silniejszymi i pozostawiając okaleczone i poranione sztuki w tyle, aby móc ponownie rzucić się w pogoń za stadem i dopaść kolejne ofiary.

Szaleńczy bieg przywódców przez polanę został zahamowany, kiedy zwierzęta dotarły do lasu i teraz te z tyłu musiały zwolnić, ale w popłochu zaczęły gramolić się po grzbietach tych, które miały przed sobą. Jelenie wskakiwały na grzbiety mastodontów przebiegając po falujących pod nimi ciałach, jak kozica przeskakująca z jednej skały na drugą. Mamuty unosiły swe wielkie cielska nad mniejszymi zwierzętami i wgniatały je w ziemię. Trąby i ciosy były czerwone od posoki, gdy oszalałe bestie desperacko walczyły o życie. Ta scena grozy aż przyprawiała o mdłości, ale z drugiej strony była fascynująca z uwagi na prymitywną siłę i dzikość, a wszędzie, gdzie okiem sięgnąć kłębiły się wielkie, dzikie koty.

Powoli wdzierały się w stado z dwóch stron, zrazu starając się je otoczyć, aż w końcu to im się udało, choć wewnątrz kręgu praktycznie nie było zwierząt które nie zostałyby już

okaleczone lub mocno poranione. W końcu wielkie tygrysy dopadły nawet te nieliczne, jeszcze całe i zdrowe, zamykając ciasniej krąg wokół bezradnych ofiar i dopadając ich z całą furią i dziką zawziętością.

Rzucały się na pozostałe zwierzęta po dwa, trzy, a nawet dwadzieścia, powalając je na ziemię, aż wewnątrz ich kręgu jedyną pozostałą przy życiu istotą był ogromny mamut – samiec. Jego włochate futro było zbryzgane krwią, a ciosy ociekały posoką. Trąbiąc dumnie stawiał opór napastnikom, stanowiąc przepiękny obraz pierwotnej siły, mądrości i męstwa.

Amerikanin całym sercem był z tym samotnym wojownikiem, rzucającym śmiało wyzwanie swoim wrogom w obliczu nieuchronnej zguby.

Drapieżniki setkami zebrały się wokół wielkiego samca, ale widać było wyraźnie że pomimo iż miały nad nim druzgocącą przewagę liczebną, wciąż żywiły wobec niego olbrzymi respekt. Warcząc i szczerząc kły, niektóre z nich zaczęły zataczać kręgi wokół niego, a gdy zwierz odwrócił się, by go nie zaskoczyły, trzy kolejne rzuciły się na niego z tyłu. Z szybkością dorównującą ich własnej, ogromny mamut odwrócił się, by stawić im czoło. Pochwycił dwa z nich na zakrzywione ciosy i wyrzucił je wysoko w powietrze, lecz w tej samej chwili dwadzieścia innych dopadło go z flank i z tyłu, wpijając się w jego boki i grzbiet. Runął jak rażony gromem, przysiadając na tylnych nogach i przetaczając do tyłu, zmiażdżył tuzin tygrysów, zanim zdążyły uciec.

Gridley nie mógł pohamować okrzyku radości, gdy wielki zwierz podźwignął się na nogi i rzucił się na bok, zgniatając kolejnych drapieżców, przy wtórze odrażających skowytów bólu i wściekłości, tygrysów, które zmiażdżył całym ciężarem

swego cielska. Teraz jednak broczył krwią z setki ran, a dziesiątki kolejnych mięsożerców rzuciły się na niego całą gromadą.

Choć stawiał dzielny opór, koniec był nieuchronny i wreszcie zdołały go powalić, rozdzierając na strzępy, choć wciąż walczył, by podźwignąć się z ziemi i kontynuować to nierówne starcie.

Potem dzikie bestie zaczęły walczyć między sobą o prawo do ofiar. Bo choć mięsa było dość by nażarły się wszystkie tygrysy, w swej zajadłości, zazdrości i chciwości musiały zmierzyć się między sobą o łupy.

O tym, że zapłaciły wysoką cenę za świeże mięso, mogły wyraźnie świadczyć truchła tygrysów, walające się po całej polanie, a gdy te, co pozostały przy życiu, powoli zaczęły się posilać, pojawiły się szakale, hienodony i dzikie psy, by ucztować na tym, co pozostawią im tygrysy.

## SAGOTHOWIE

Gdy wielki kot jął zbliżać się ku niemu, Tarzan z Małp zdał sobie sprawę, że w końcu znalazł się w obliczu nieuchronnej śmierci, ale nawet w ostatnich chwilach swego życia tym co go przepełniało, był nieskrywany podziw wobec wspaniałości zbliżającej się ku niemu, gniewnej rozjuszanej bestii.

Tarzan z Małp wolałby umrzeć w walce, jeżeli faktycznie miałby zginąć, czuł jednak swoistą ekscytację, kontemplując wspaniałości wielkiej bestii, która zrzędzeniem losu miała położyć kres jego ziemskiej egzystencji. Nie czuł strachu, a jedynie pełne napięcia wyczekiwanie, na to co go czeka po śmierci. Władca Dżungli nie hołdował żadnemu wyznaniu. Tarzan z Małp nie chadzał do kościoła, ale jak większość z tych, co żyją w bliskiej więzi z naturą w pewnym sensie był osobą nader religijną. Jego głęboka wiedza na temat niezmiernych sił natury i jej cudowności, sprawiała że był pod wrażeniem faktu, iż ich ostateczna geneza leżała daleko poza koncepcją skończonego, ograniczonego umysłu ludzkiego a tym samym była nieobliczalnie odległa od najdalszych granic nauki. Kiedy myślał o Bogu, lubił myśleć o nim w prymitywny sposób, jako o Bogu osobistym. I choć zdawał sobie sprawę, że jego wiedza na ten temat była nikła, lubił wierzyć, że po śmierci znów będzie żył.

Wiele myśli przebiegało mu przez głowę, gdy tygrys szablozębny zbliżał się ku niemu. Patrzył na długie, lśniące kły,

które wkrótce zatopią się w jego ciele, gdy nagle jego uwagę zwrócił jakiś dźwięk rozlegający się wśród drzew, dokoła. To że wielki kot również go usłyszał było oczywiste, bo zatrzymał się i spojrzał w gęstwinę listowia powyżej. W tej samej chwili Tarzan usłyszał szelest gałęzi nad swoją głową i unosząc wzrok ujrzał coś, co wyglądało jak goryl i patrzyło z góry na niego.

Wśród listowia pokazały się jeszcze dwa dzikie oblicza, a na innych drzewach spostrzegł podobne, kosmate kształty i zacięte twarze. Istoty te przypominały goryle, a zarazem były całkiem inne, pod pewnymi względami bliżej im było do ludzi, niż do goryli. Zauważył kątem oka wielkie maczugi trzymane w kosmatych łapach, a kiedy powrócił wzrokiem do tygrysa szabłoźebnego, zobaczył że wielka bestia zawahała się i przestała się zbliżać, a teraz stała tylko, szczerząc kły i groźnie powarkując, popatrując niespokojnie w górę, na łypiące gniewnie, dzikie stworzenia.

Jednak wielki kot przystanął tylko na chwilę. Warcząc z wściekłością zaraz znów ruszył naprzód, a gdy to się stało, jedna z istot na drzewie nad Tarzanem sięgnęła zwinnie i schwyciwszy linę na której wisiał, szybko podciągnęła go w górę. Zaraz potem równocześnie wydarzyło się kilka rzeczy – tygrys szabłoźebny skoczył, by pochwycić oddalającą się od niego ofiarę, a tuzin ciężkich maczug przecięło powietrze ze świstem, uderzając w korpus i łeb drapieźnika z taką siłą, że pazury, które niechybnie zagłębiłyby się w ciele człowieka-małpy, nie dosięgły celu, a w chwilę potem Władca Dżungli został bezpiecznie wciągnięty między konary drzewa, gdzie pochwyciły go trzy kosmate, gorylopodobne istoty. Ich zachowanie wskazywało, że być może łagodniejszego potraktowania mógłby oczekiwać ze strony tygrysa.

Dwie z nich, po jednej z każdej strony złapało go za ramiona a trzeci schwycił go za gardło jedną ręką, w drugiej zaś uniósł groźnie nad jego głowę ciężką, zabójczą maczugę. Wtem pomiędzy warg stwora popłynął dźwięk, który docierając do uszu człowieka-mały zaskoczył go, tak jak wcześniej niespodziewany ryk tygrysa szabłoźębnego, choć ze zgoła odmiennym skutkiem.

— Ka-goda! – powiedział stwór stojący naprzeciw Tarzana.

W języku małp z jego dżungli, Ka-goda mogło być z grubsza rozumiane jako nawoływanie do poddania się lub zapytanie – czy się poddajesz, bądź też jako deklaracja poddania się.

To słowo płynące z ust kosmatej goryłopodobnej istoty z innego świata sugerowało nader zaskakujące możliwości. Tarzan przez całe lata uważał język wielkich małp za prymitywny język źródłowy wszystkich istot żyjących. Wielkie małpy, mniejsze małpy, goryle, pawiany i małpiatki posługiwały się nim w różnym stopniu wyrafinowania, i wiele z jego słów było zrozumiałych dla zwierząt leśnych należących do innych gatunków, a także ptaków. Być może do pewnego stopnia był on dla nich zrozumiały tak jak dla zwierząt gospodarskich zrozumiałe są niektóre słowa z naszego języka, z tą wszelako różnicą, że język wielkich małp bez wątplenia pozostawał niezmienny od niezliczonych wieków.

To, że owe goryle z wewnętrznego świata posługiwały się choćby jednym słowem z tego języka sugerowało jedną z dwóch możliwości – albo ich pochodzenie było zbieżne z genezą istot z zewnętrznej skorupy, albo prawa ewolucji i postępu były tak niezmiennie, że ta forma prymitywnego języka była jedyną możliwą dla wszystkich istot ewoluujących z niższych szczebli rozwoju, ku człowiekowi rozumnemu. Jednak na Tarzanie

największe wrażenie wywarło to, że jedno, jedyne słowo wypowiedziane przez istotę, która trzymała go za gardło, pozwalało przypuszczać iż te gorylopodobne stworzenia przejawiały znajomość języka małp, którym on sam posługiwał się od dzieciństwa.

— Ka-goda? – rzucił samiec.

— Ka-goda – odparł Tarzan z Małp.

Osilek stojący naprzeciw Tarzana nieznacznie opuścił maczugę, jakby zdziwiło go że jeniec odpowiedział w jego własnym języku.

— Kim jesteś? – zapytał w języku wielkich małp.

— Jestem Tarzan – wielki łowca, wielki wojownik – odparł człowiek-małpa.

— Co robisz w krainie M’Wa-Lota? – dopytywał się stwór przypominający goryla.

— Przybywam jako przyjaciel – odparł Tarzan – Nie mam zwady z twoim ludem.

Tamten opuścił maczugę, a z okolicznych drzew nadeszło dwadzieścia kolejnych, włochatych stworzeń, tak że pobliskie konary aż ugięły się pod ich ciężarem.

— Skąd znasz język Sagothów? – zapytał samiec. – Chwytałyśmy w przeszłości gilaków, ale jesteś pierwszym który kiedykolwiek przemówił w naszym języku, i go rozumie.

— To język mojego ludu – odparł Tarzan. – Jako mały balu, nauczyłem się go od Kali i innych małp z plemienia Kerchaka.

— Nigdy nie słyszeliśmy o plemienu Kerchaka – odrzekł samiec.

— Może on nie mówi prawdy – wtrącił inny – Zabijmy go; to przecież tylko gilak.

— Nie – odezwał się trzeci – Zabierzmy go z powrotem do M'Wa-Lota, aby całe plemię M'Wa-Lota mogło wziąć udział w zabijaniu.

— Dobra myśl – zauważył inny. – Zabierzmy go z powrotem do plemienia, a przy okazji zabicia go, urządzimy tańce.

Język wielkich małp nie przypomina naszego. Dla człowieka brzmi jak warkot, poszczekiwanie i parskanie, od czasu do czasu przerywane ochrypłymi wrzaskami, i jest on praktycznie nieprzekładalny na żaden inny język znany człowiekowi, jednak dla Tarzana i Sagothów zawierał on w sobie konkretny przekaz. To sposób na swego rodzaju komunikowanie myśli, i jest on zbliżony do języków które dla ludzi stały się językami martwymi i przestali ich oni używać.

Zadecydowawszy o losie więźnia, Sagothowie skupili swą uwagę na tygrysie szablozębnym, który powrócił do swojej ofiary i ułożył się w poprzek, na jej ciele. Nie pożywiał się, ale gniewnie łypał w górę, na drzewa i swych dręczycieli.

Podczas gdy trzy gorylopodobne stwory skrępowały przeguby Tarzana z tyłu, kawałkami rzemienia, z jeleniej skóry, inne ponownie zainteresowały się tygrysem.

Trzy czy cztery z nich ciskały nad wyraz celnie maczugami, trafiając drapieźnika w pysk, w tak regularnych postępach czasu i taką synchronizacją, że wielka bestia nie była w stanie zrobić nic więcej, poza próbą odtrącenia lecących ku niemu, kolejnych pocisków. I kiedy był tym zajęty, pozostali Sagothowie, którzy już rzucili swoimi maczugami, zeskoczyli na ziemię, by pozbierać je, ze zwinnością i zręcznością jakiej nie powstydzilyby się najmniejsze nawet małpiatki. Ryzyko jakie podejmowali, świadczyło o ich ogromnej pewności siebie i niezwykłej odwadze, gdyż nierzadko musieli zabierać swe



maczugi niemal spod samych łap rozjuszonego tygrysa szablozębnego.

Wielki kot, posiniaczony i poobijany, cofał się cal za calem, nie mogąc znieść dłużej tego gradu pocisków, aż w końcu odwrócił się gwałtownie i czmychnął w gęstwinę, skąd jeszcze przez jakiś czas dochodziły odgłosy jego rozpaczliwej ucieczki. Gdy drapieżca pierzchnął w popłochu, goryle zeskoczyły na ziemię i rzuciły się na truchło thaga. Mocnymi kłami rozrywały jego ciało, nierzadko walcząc przy tym między sobą, jak dzikie bestie o co bardziej smakowity kąsek, jednak w przeciwieństwie do przedstawicieli z niższych szczebli drabiny ewolucji w podobnych przypadkach, nie obżerały się do nieprzytomności, lecz zaspokoivszy głód, zostawiły resztki szakalom i dzikim psom, które już zaczęły gromadzić się w pobliżu.

Tarzan z Małp, milczący obserwator tej dzikiej sceny miał okazję podczas uczyt lepiej przyjrzeć się swym porywaczom. Zauważył, że byli oni lżej zbudowani niż goryle, które widywał w swej rodzimej dżungli, ale nawet choć nie tak masywne jak Bolgani, były to z całą pewnością potężne stworzenia. Ich nogi i ramiona miały długość oraz proporcje zbliżone bardziej do ludzkich, niż gorylich ale gęsta brunatna sierść porastająca całe ich ciała potęgowała zwierzęcy wygląd – same zresztą twarze były bardziej brutalne niż oblicza Bolganich z jednym zasadniczym wyjątkiem – rozmiary czaszki wskazywały, iż istoty te posiadały mózg zbliżony wielkością do ludzkiego.

Były całkiem nagie i nie nosiły żadnych ozdób, ich jedyną bronią zaś były maczugi. Te z kolei wskazywały, że wykonano je z pomocą jakiegoś ostrego narzędzia, jakby ktoś zadał sobie

wiele trudu, by zapewnić tej broni właściwy chwyt i odpowiednie wyważenie.

Kiedy się najedli, Sagothowie zawrócili wzdłuż ścieżki wydeptanej przez zwierzęta, w tę samą stronę, w którą zmierzał Tarzan, kiedy przypadkiem potrącił wyzwalacz sideł. Jednak zanim odeszli, kilku z Sagothów ponownie umieściło pętlę sideł w poprzednim miejscu na ścieżce, maskując ją ziemią i liśćmi, po czym ustawili wyzwalacz, który mógł zostać uruchomiony przez pierwsze przechodzące tą drogą zwierzę.

Ich ruchy były tak pewne, a palce tak zręczne, że Tarzan zdał sobie sprawę że te istoty, choć z wyglądu przypominały zwierzęta już od dawna inteligencją dorównywały człowiekowi. Może wciąż jeszcze znajdowały się nisko na drabinie ewolucyjnej, lecz nie ulegało wątpliwości że były to istoty ludzkie, obdarzone ludzkimi mózgami i tylko z wyglądu przypominały goryle.

Gdy Sagothowie przemierzali dżunglę, szli wyprostowani, jak ludzie, jednak pod innymi względami przypominali Tarzanowi wielkie małpy, które były jego ludem, nie śmiali się bowiem, nie śpiewali, a ich małomówność przywodziła mu na myśl lud Alali.

O tym, że mogły wykształcić się w nich pewne zmysły, rozwinięte bardziej niż u człowieka, świadczyła większa zależność jaką pokładali we własnym słuchu i powonieniu, niż we wzroku, gdy nieprzerwanie nasłuchiwali i czuwali, by nie zostać zaskoczonym przez wrogów.

Choć wedle ludzkich standardów możnaby ich nazwać szpetnymi, a nawet odrażającymi, Tarzan z Małp tak ich nie postrzegał, bo potrafił dojrzeć w ich postawie i wyrazie twarzy

pewien majestat, jakim mogli charakteryzować się pionierzy na rubieżach człowieczych ostoi.

Teoretycy lubią niekiedy przedstawiać naszych przodków jako trwożliwe, płochliwe istoty, które od kołyski aż po grób żyją w strachu przed niezliczonymi, dzikimi stworzeniami, i to właśnie on jest wyznacznikiem całego ich istnienia. Ale tak jak nie wydaje się zasadne aby istota tak słabo wyposażona zarówno jeżeli chodzi o obronę, jak i narzędzia ataku, mogła przetrwać bez odwagi, śmiało można przyjąć, że wraz z zaczątkami rozumu, pojawił się pewnego rodzaju kompleks wyższości – ogromny i zrazu głupi egotyzm – który co prawda znał być może ostrożność, ale nie strach; żadnej innej teorii nie da się skądinąd obronić, chyba że jesteśmy skłonni uznać, iż z lędzwi istoty o zajęczym sercu, zrodzili się ludzie, którzy polowali na bizona, mamuty i niedźwiedzie jaskiniowe, przy użyciu prymitywnych włóczni o krzemiennych grotach.

Sagothowie z Pellucidaru pod względem ewolucyjnym mogli być odpowiednikami człowieka neandertalskiego z zewnętrznej skorupy, a może nawet stali na drabinie ewolucyjnej o szczebel niżej od niego, jednak w ich postawie nie było niczego, co uzmysłowiłoby Tarzanowi, że osiągnęli ten poziom dzięki uciekaniu przed wszelkim zagrożeniem. Ich postawa, gdy wędrowali przez dżunglę znamionowała pewność, a nawet swoistą agresywność, jakby w istocie to właśnie oni byli panami stworzenia, nie znającymi strachu i nie lękającymi się niczego. Być może Tarzan rozumiał ich zachowanie lepiej niż ktokolwiek inny, gdyż on sam w dżungli zawsze prezentował się podobnie, nie okazując ani cienia trwogi, choć zachowując pewną dozę zdrowej i inteligentnej ostrożności.

Nie odeszli daleko od miejsca gdzie pojмали Tarzana, gdy Sagothowie zatrzymali się przy wydrążonym pniu, obumarłym szkielecie wielkiego drzewa, które runęło opodal ścieżki. Jedno ze stworzeń zaczęło uderzać w kłodę swoją maczugą – raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa, trzy. I nagle, po krótkiej przerwie powtórzyło ten sam układ uderzeń. Trzykrotnie sygnał rozbrzmiał pośród dżungli aż w końcu sygnalista przerwał, nasłuchując, podczas gdy pozostali pochyłili się, przykładając uszy do ziemi.

W powietrzu dał się słyszeć, niosący się z oddali sygnał będący odpowiedzią – raz – dwa, raz – dwa, raz – dwa, trzy.

Stworzenia najwyraźniej to usatysfakcjonowało i wspiąwszy się na pobliskie drzewa, rozlokowały się wygodnie, jakby spodziewały się dłuższego oczekiwania. Dwaj Sagothowie z łatwością wciągnęli Tarzana na górę, bo człowiek-małpa, ze skrępowanymi z tyłu rękoma nie mógł się wspinać bez pomocy.

Odkąd wyruszyli, Tarzan nie odezwał się słowem, teraz jednak odwrócił się do jednego z Sagothów, znajdującego się najbliżej niego.

— Zdejmij mi więzy – powiedział. – Nie jestem wrogiem.

— Tar-gashu – rzekł ten, do którego zwrócił się Tarzan – gilak chce by go uwolnić z więzów.

Tar-gash, postawny samiec o wyraźnie długich, białych, psich siekaczach, skierował swe dzikie oczy na człowieka-małpę. Przez dłuższą chwilę łypał gniewnie na więźnia, nie mrugając, a Tarzan odniósł wrażenie, że masywny osiłek zмага się w myślach z tą propozycją. W końcu tamten zwrócił się do Sagotha, który powtórzył żądanie Tarzana.

— Zdejmij mu więzy – powiedział.

— Dlaczego? – spytał jeden z samców. W jego tonie kryło się wyzwanie.

— Bo ja, Tar-gash mówię żebyś je zdjął – warknął tamten.

— Nie jesteś M’wa-Lotem. To on jest królem. Jeżeli M’wa-Lot powie zdejmijcie je, to je zdejmujemy.

— Nie jestem M’wa-Lotem, To-yadzie. Jestem Tar-gash, a Tar-gash mówi że masz je zdjąć.

To-yad przycupnął obok Tarzana.

— M’wa-Lot zjawi się niedługo – powiedział. – Jeżeli M’wa-Lot powie żeby je zdjąć, zdejmujemy je. Nie przyjmujemy rozkazów od Tar-gasha.

Szybko i bezszelestnie, niczym pantera, Tar-gash rzucił się To-yadowi do gardła. Nie było ostrzeżenia, ani nawet cienia zawahania. Tarzan widząc to zdał sobie sprawę, że Tar-gash różnił się od wielkich małp, wśród których żył Władca Dżungli w świecie zewnętrznym, tam bowiem gdy dochodziło do pojedynku samców, poprzedzała go zwykle cała seria wykrzykiwanych gardłowym głosem inwektyw i ostentacyjnego puszenia się, zanim jeden z samców rzucił się na drugiego, rozpoczynając morderczą walkę.

Jednak umysł Tar-gasha pracował niemal tak sprawnie jak ludzki, toteż decyzja poprzedziła niemal natychmiastowe działanie. Impet uderzenia ciężkiego ciała Tar-gasha strącił To-yada z konara, na którym stał, jednak obie istoty były do tego stopnia przyzwyczajone do życia nadrzewnego, że gdy tylko zaczęły spadać, obie sięgnęły i pochwyciły tę samą gałąź, walcząc równocześnie drugą, wolną ręką i ostrymi kłami. Zawisły przez chwilę na konarze, aby złagodzić impet upadku, po czym zeskoczyły na ziemię. Walczyły niemal bezgłośnie, jeśli nie liczyć cichego powarkiwania, Tar-gash próbował rozszarpać

To-yadowi tętnicę szyjną, ostrymi, białymi kłami, od których wziął swoje imię. To-yad, który skoncentrował się w pełni na obronie, utrzymywał kłapiące szczęki swego przeciwnika na dystans, i nagle, uwolniwszy się z mocarnego uchwytu swojego oponenta, rzucił się do ucieczki. Tar-gash jednak, niczym zawodowy futbolista dał długiego susa i jego długie kosmate łapy oplotły nogi To-yada powalając go na ziemię. W chwilę potem potężny agresor siedział już na grzbiecie swego przeciwnika, a tętnica szyjna To-yada była odsłonięta i zdana wyłącznie na łaskę Tar-gasha, ten jednak nie próbował rozszarpać jej wielkimi zębiskami.

— Ka-goda? – zapytał.

— Ka-goda – warknął To-yad, a Tar-gash natychmiast podniósł się z grzbietu drugiego samca.

Zwinnie jak mała małpka, zwycięzca wskoczył na powrót między gałęzie drzewa.

— Zdejmij więzy z przegubów gilaka – rozkazał i powiódł gniewnym wzrokiem dokoła, jakby chciał się przekonać, czy ktoś jeszcze chciałby mu się sprzeciwić, tak jak To-yad, ale nikt się nie odezwał i nikt nie próbował się sprzeciwić, a jeden z Sagothów, który wciągnął Tarzana na drzewo, rozsypał więzy krępujące jego nadgarstki.

— Gdyby próbował uciec – rzekł Tar-gash – zabij go.

Kiedy zdjęto mu więzy, Tarzan spodziewał się, że Sagothowie odbiorą mu nóż. Stracił włócznię, łuk i większość strzał w tej samej chwili, gdy został schwytany w sidła i silnym szarpnięciem uniesiony w powietrze, ale choć rzeczy te leżały na widoku, na ścieżce pod pułapką, Sagothowie nie zwrócili na nie uwagi. Nie zainteresowali się też jego nożem. Był pewien, że musieli go zobaczyć i nie rozumiał czemu traktowali ten

przedmiot z takim lekceważeniem, chyba że nie wiedzieli do czego służył, albo gardzili nim do tego stopnia, że nie uważali, by rozbicie go było warte ich wysiłku.

To-yad także wrócił na drzewo, ale trzymał się w pewnym oddaleniu od reszty, wyraźnie zasepiony i zły.

Tarzan usłyszał dobiegające z oddali dźwięki; ktoś się zbliżał. Usłyszał to na chwilę przed Sagothami.

— Nadchodzą! – oznajmił Tar-gash.

— Zbliża się M'wa-Lot – rzekł drugi, popatrując na To-yada.

Teraz Tarzan wiedział już czemu miało służyć bicie w prymitywny tam-tam, zastanawiał się jednak nad celem owego zgromadzenia.

Kiedy w końcu przybyli, Tarzan bez trudu rozpoznał wśród nich M'Wa – Lota, który, jak na króla przystało, wyróżniał się spośród innych. Wielki samiec szedł na czele, ogromny gorylopodobny stwór, którego sierść była poprzetykana siwizną do tego stopnia że jego oblicze wydawało się niemal niebieskawe, i w jednej chwili człowiek-małpa zrozumiał czemu król zawdzięczał swe imię.

Kiedy Sagothowie którzy pojмали Tarzana upewnili się co do tego, kto ku nim zmierzał, zeszli z drzew na ziemię, a kiedy M'Wa-Lot zbliżył się do nich na dwadzieścia kroków, przystanął.

— Jestem M'Wa-Lot – oznajmił. – Są ze mną członkowie mego plemienia.

— Jestem Tar-gash – odparł samiec, który wydawał się być przywódcą drugiej grupy. – Są ze mną inne samce z plemienia M'Wa-Lota.

Zakończywszy wstępne czynności mające na celu zachowanie bezpieczeństwa, M'Wa-Lot podszedł bliżej,

w towarzystwie samców, samic i balu ze swego plemienia.

— Co to jest? – spytał ostro M’Wa-Lot, świdrując wzrokiem Tarzana.

— To gilak, który złapał się w nasze sidła – odrzekł Tar-gash.

— To ma być uczta, na którą nas wezwałeś? – warknął gniewnie M’Wa-Lot. – Powinieneś był przyprowadzić toto do plemienia. Przecież może chodzić.

— To nie jedzenie, o którym mówił bęben – odparł Tar-gash. – Niedaleko stąd jest ciało thaga, zabitego przez taraga, opodal pułapki, w którą złapał się gilak.

— Ugh! – stęknął M’Wa-Lot. – Gilaka możemy zjeść później.

— Możemy urządzić tańce – zasugerował jeden z porywaczy Tarzana. – Od ostatnich tańców wiele razy już jedliśmy i spaliśmy, M’Wa-Locie.

Gdy Sagothowie, pod kierunkiem Tar-gasha ruszyli ścieżką w stronę truchła thaga, samice z balu warczały groźnie kiedy jedno z młodych przypadkiem zbliżyło się zbyt blisko do Tarzana. Samce przyglądały mu się podejrzliwie i wszyscy wydawali się zaniepokojeni jego obecnością. Pod tym, ale również pod innymi względami, Sagothowie przypominali małpy z plemienia Kerchaka i wrażenie było na tyle silne, że Tarzan, choć był wśród nich więźniem, poczuł się w tym nowym otoczeniu nieomal jak w domu.

W niewielkiej odległości przed człowiekiem – małpą szedł M’Wa-Lot, król plemienia, a tuż obok niego To-yad. Ci dwaj rozprawiali o czymś cicho, a sądząc po tym jak często zerkali na Tar-gasha, można się było domyślić iż to on był tematem ich konwersacji, której wynik najwyraźniej mocno wstrząsnął M’Wa-Lotem.



Tarzan zauważył, że kosmaty wódz wprawiał się w coraz większą wściekłość, której powodem były najwyraźniej informacje przekazane mu przez To-yada. Ten ostatni próbował chyba wzbudzić w nim jeszcze większy gniew, który wydawał się teraz wyraźnie widoczny dla wszystkich członków plemienia, za wyjątkiem Tar-gasha, idącego z przodu, przed M'Wa-Lotem, i To-yadem, bo niemal wszyscy mieli wzrok skierowany na króla, jego niepokój zaś do pewnego stopnia udzielał się pozostałym Sagothom. Ale dopiero gdy w ich polu widzenia znalazło się truchło thaga, rozpętała się prawdziwa burza i nagle, bez ostrzeżenia, M'Wa-Lot rzucił się naprzód w stronę Tar-gasha, zamachując się ciężką maczugą, z zamiarem roztrzaskania tamtemu czaszki od tyłu.

Jeżeli życie człowieka-małpy i jego niekończąca się walka o przetrwanie czegokolwiek go nauczyły, to szybkiego działania i równie szybkiego myślenia. Wiedział że w całej tej dzikiej kompanii nie może liczyć na żadnych sojuszników, ale zdawał sobie sprawę, że Tar-gash ze zwykłej złośliwości i na przekór To-yadowi mógł się z nim zaprzyjaźnić, teraz jednak to on sam – Tar-gash mógł potrzebować przyjaciela, bo wszystko wskazywało na to, że nikt nie kiwnie palcem w jego obronie, ani nawet nie spróbuje go ostrzec. I tak, Tarzan z Małp, dbając o własne interesy i z uwagi na niechęć do nieuczciwości, wziął sprawy w swoje ręce, i to tak gwałtownie, że wszedł do akcji zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać.

— Kreeg-ah, Tar-gash! – zawołał i w tej samej chwili brutalnie rzucił się naprzód, odpychając To-yada na bok jednym ruchem muskularnego ramienia, aż Sagoth poleciał na łeb, na szyję w krzaki rosnące przy ścieżce.

Na ostrzegawczy okrzyk Kreeg-ah! – który w języku wielkich małą oznacza tyle co – Uwaga!, Tar-gash odwrócił się, by ujrzeć rozwścieczonego M'Wa-Lota, który z uniesioną do ciosu maczugą był niemal tuż przy nim, a potem ujrzał coś jeszcze, co sprawiło, że jego dzikie oczy rozszerzyły się w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia.

Dziwny gilak, którego wziął do niewoli, przyskoczył do M'Wa-Lota z tyłu. Gładkie, zbrązowiałe od słońca ramię płynnie oplotło szyję króla i zacisnęło się wokół niej. Gilak odwrócił się, pochylił i zrobił wypad w przód, przerzucając króla przez biodro i sprawiając, że wielki, kosmaty samiec przeleciał bezwładnie do przodu i wylądował ciężko na ziemi, u stóp swoich zaskoczonych ziomków. Zaraz potem gilak jednym susem znalazł się u boku Tar-gasha, po czym, odwróciwszy się na pięcie, ramię w ramię z Tar-gashem stanął naprzeciw reszty plemienia.

W jednej chwili dwadzieścia maczug uniosło się w górę, przeciwko nim.

— Zostajemy i walczymy, Tar-gashu? – zapytał człowiek-mała.

— Zabiją nas – odrzekł Tar-gash. – Gdybyś nie był gilakiem moglibyśmy uciec po drzewach, ale skoro dla ciebie ta droga ucieczki nie jest możliwa, musimy tu zostać i walczyć.

— Prowadź – rzekł Tarzan. – Nie ma takiego szlaku Sagothów, którym nie mógłby podążać Tarzan.

— Chodź więc – mruknął Tar-gash, i gdy to powiedział, cisnął maczugą w twarze zbliżających się ku niemu wojowników, po czym odwróciwszy się, pobiegł co sił w nogach wzdłuż ścieżki. Zrobił kilkanaście potężnych susów i wskoczył

na zwieszającą się niżej gałąź jednego z drzew, a zaraz potem to samo zrobił bezwłosy gilak.

Włochate samce – wojownicy M’Wa-Lota puścili się za nimi w pościg, lecz nie trwał on długo, bo pokonawszy niewielki dystans, Sagothowie zrezygnowali z pogoni. Tarzan spodziewał się, że tak się stanie, gdyż wśród jego własnego ludu, wystarczyło wygnać zbuntowanego samca z plemienia i chyba że upierał się on co do powrotu, nikt z reszty stada nie zadawał sobie trudu, aby go nękać.

Kiedy tylko stało się oczywiste że pościg ustał, Sagoth zatrzymał się wśród konarów ogromnego drzewa.

— Jestem Tar-gash – powiedział, gdy Tarzan przystanął obok niego. – Czemu mnie ostrzegłeś?

— Mówiłem ci, że nie mam wobec was wrogich zamiarów – odparł Tarzan – a kiedy zauważyłem, że To-yadowi udało się nakłonić M’Wa-Lota, aby cię zabił, ostrzegłem cię, bo to ty powstrzymałeś inne samce od zabicia mnie po pojmaniu.

— Co robiłeś w krainie Sagothów? – spytał Tar-gash.

— Polowałem – odrzekł Tarzan.

— Dokąd zamierzasz pójść teraz? – zapytał Sagoth.

— Wrócę do mego ludu – odpowiedział Tarzan.

— A gdzie on jest?

Tarzan z Małp zawahał się. Spojrzał w górę, ku słońcu, którego promienie przesączały się przez baldachim leśnego listowia. Rozejrzał się dokoła – wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągała się zieloność liści. Ani w koronach drzew, ani na ich pniach czy konarach nie było nic co mogłoby wskazać mu żądany kierunek. Tarzan z Małp kompletnie się zgubił!

## STRĄCONY

Jason Gridley spoglądając w dół, z korony drzewa, gdzie znalazł schronienie, patrzył z przeraźliwą fascynacją na ucztę wielkich kotów. Scena, której był właśnie świadkiem – ten niewyobrażalny spektakl nieokiełznanej dzikości, dał mu do zrozumienia jak musiało wyglądać życie u zarania dziejów.

Przyszło mu na myśl, że być może spektakl, który miał okazję ujrzeć w pewnym sensie ilustrował istotny powód wyginięcia tych wszystkich zwierząt na zewnętrznej powłoce.

Zagnanie przez wielkie tygrysy szablozębne z Pellucidaru, innych zwierząt na rozległą polanę, gdzie doszło do rzezi, świadczyło o rozwiniętej inteligencji, dalece bardziej przekraczającej tę, jaką wykazują się współczesne drapieżniki ze świata zewnętrznego, dla których tego rodzaju grupowe i zsynchronizowane działania dla wspólnego dobra były rzeczą nieznaną.

Gridley widział, że wiele zwierząt zostało zabitych, i w większości zupełnie niepotrzebnie, bo mięsa i tak było dość, aby pozostałe przy życiu tygrysy mogły je zjeść zanim zepsuje się do tego stopnia, iż będzie nie do przełknięcia nawet dla któregoś z tych wielkich kotów. To mogło sugerować że spryt tygrysów osiągnął poziom, na którym zaczną one z czasem występować przeciwko sobie, doprowadzając tym do wyginięcia swego gatunku, gdyż w przyływie dzikiej furii i żądzy mięsa wybijały one zarówno samców jak i samice, tak

młode jak i stare. Gdyby takie masakry trwały dalej, przez wieki, bez żadnego umiaru, naturalne ofiary tygrysów musiałyby wyginąć, a potem te wielkie bestie, stając w obliczu śmierci głodowej zaczęłyby rzucać się na siebie nawzajem. Ostatni poziom ascendencji wielkich kotów na zewnętrznej powłóce, musiał być krótki i straszny i zapewne taki sam układ rzeczy powtórzy się tu, w Pellucidarze.

I tak jak wielkie koty mogły osiągnąć punkt, w którym rozwój mentalny przypieczętuje ich zgubę, podobnie w minionych epokach gigantyczne, mięsożerne dinozaury z czasów jurajskich, mogły doprowadzić do wyginięcia im współczesnych, a następnie ich samych.

Jasonowi Gridleyowi nietrudno byłoby przyporządkować ten sam tok rozumowania ewolucji człowieka na zewnętrznej skorupie i możliwościom jego potencjalnego wyginięcia w niezbyt odległej przyszłości. Przypomniał sobie nawet statystyki wskazujące, że w ciągu dwustu lat, a może nawet mniej, liczebność rasy ludzkiej wzrośnie do tego stopnia, że dojdzie do wyczerpania zasobów naturalnych zewnętrznego świata, wskutek czego ostatnie pokolenie albo wymrze z głodu albo przejdzie na kanibalizm, by przez kolejny, krótki okres przedłużać swe znieciercierzone istnienie.

Być może, pomyślał Gridley, w laboratoriach natury kiedy gatunek, który w jakiejś erze dominował nad całą resztą uosabiał eksperyment, w odwiecznym poszukiwaniu doskonałości. Bezkęgowce ustąpiły miejsca rybom, ryby gadom, gady ptakom i ssakom, a te z kolei zmuszone były ugiąć się przed wyższą inteligencją człowieka.

Co będzie potem? Gridley był pewien, że po człowieku, który jest z pewnością największym błędem Stwórcy, zawierającym

w sobie wszystkie przywary swych poprzedników, od bezkręgowców po ssaki i mogącym poszczycić się nielicznymi z ich cnót, nadejdzie coś innego.

Gdy takie myśli przelatywały mu przez głowę po tym, czego był świadkiem, pojawiły się także inne, o wiele ważniejsze, bo w pierwszym rzędzie dotyczące losu jego towarzyszy.

Nigdzie na całej polanie nie zobaczył ani śladu istot ludzkich, tak żywych jak martwych. Kilka razy zawołał głośno, lecz nie otrzymał odpowiedzi; zdawał sobie jednak sprawę że jego głos podczas całej tej kakofonii ryków i warkotów żerujących bestii, nie mógł ponieść się daleko. Zaczął łudzić się nadzieją, że jego towarzysze zdołali uciec, wciąż jednak poważnie martwił się losem von Horsta.

Drugim tematem rozważań była jego własna ucieczka i powrót na O-220. Brał pod uwagę, że o zmierzchu bestie mogą opuścić polanę, i mimowolnie spojrział w górę, by zorientować się w czasie, gdy nagle zdał sobie sprawę, że przecież w Pellucidarze nie było nocy, lecz trwało wieczne południe. Następnie zaczął zastanawiać się, jak długo przebywał poza statkiem, a kiedy spojrział na zegarek, uświadomił sobie, że to nic mu nie da. Wskazówka godzinowa mogła zatoczyć pełen krąg odkąd ostatni raz patrzył na cyferblat, bo jak w ekscytacji wywołanej tym wszystkim co się wydarzyło odkąd opuścili O-220, umysł ludzki miałby poradzić sobie z odmierzaniem czasu?

Wiedział jednak że w końcu bestie muszą się nażreć do syta i odejść. W ich miejsce wszelako pojawią się hienodony i szakale wraz ze swymi zajadłymi kuzynami – dzikimi psami. Gdy tak na nie patrzył, siedzące w stosownej odległości od tygrysów albo przemykające ukradkiem w tle, zrozumiał

że mogły stać się dla niego przeszkodą w ucieczce, podobnie jak tygrysy szablozębne.

Niepokoili go zwłaszcza hienodony. Ich cielska dorównywały wielkością roslému mastiffowi. Miały krótkie, silne nogi i szerokie, masywne, bardzo mocne szczęki. Ciemna, kosmata sierść porastała ich grzbiety i boki, zaś na piersiach i brzuchu zmieniała się ona w białą.

Jasona Gridleya dręczył dojmujący głód, chciało mu się też spać, co uświadomiło mu że musiało minąć wiele godzin odkąd opuścił O-220, a mimo to, bestie poniżej wciąż się pożywiały.

Zabity thag leżał u podnóża drzewa, na którym schronił się Amerykanin. Jak dotąd żadne zwierzę nie próbowało napocząć thaga, a najbliższy tygrys znajdował się o pięćdziesiąt jardów dalej. Gridley był głodny, tak głodny, że łapczywym wzrokiem popatrywał z góry na thaga. Rozejrzał się wokoło, odmierzając odległość od drzewa do najbliższego tygrysa i próbując określić czas jakiego mógł potrzebować, by ponownie znaleźć się w bezpiecznym miejscu, wśród gałęzi drzewa, gdyby zdecydował się zejść na ziemię. Widział tygrysy w akcji i wiedział jak szybko potrafiły biegać, a jeden z nich nieomal doskoczył do gałęzi, na której siedział Gridley. Szanse powodzenia jego planów wydawały się nikłe, gdyby tygrys znajdujący się najbliżej zechciał je pokrzyżować. Jednak pomimo niebezpieczeństwa, głód okazał się silniejszy. Gridley wyjął swój nóż myśliwski i opuścił się cichaczem na ziemię, czujnie popatrując na najbliższego tygrysa. Następnie szybko odciął kilka długich pasków mięsa z tylnej nogi thaga.

Tarag, pożywiający się o pięćdziesiąt jardów dalej, uniósł łeb. Jason odciął kolejny pas mięsa, schował nóż do pochwy i pospiesznie wspiął się na drzewo, wracając do swego

schronienia. Tarag opuścił łeb, opierając go na ciele swej zdobyczy i przymknął ślepią.

Amerykanin pozbierał zeschnięte patyki i drobne gałązki, które wciąż wyrastały z żywego drzewa, po czym zbudował z nich nieduże ognisko, w miejscu połączenia kilku wielkich konarów. Na ogniu upiekł kilka kawałków mięsa thaga; brzegi się zwęgliły a środek pozostał surowy, ale Jason Gridley mógłby przysiąc, że nigdy w życiu nie jadł niczego równie smakowitego.

Nie wiedział ile czasu zajęły mu te popisy kulinarne, ale gdy znowu spojrzął w dół, na polanę, zorientował się, że większość tygrysów opuściła swoje zdobycze i leniwie zmierzała w stronę puszczy, a ich wzdęte brzuchy świadczyły aż nadto wyraźnie, do jakiego stopnia drapieżniki pofolgowały sobie, ucztując. Gdy tygrysy odeszły, na biesiadę zleciały się hienodony, dzikie psy i szakale.

Hienodony utrzymywały całą resztę na dystans, a Gridley zrozumiał, że znowu ma przed sobą długie oczekiwanie. I nie pomylił się. Kiedy hienodony nasyciły głód i odeszły, pojawiły się dzikie psy, powstrzymując na dystans szakale.

Do tego czasu Gridley skonstruował wśród konarów drzewa prymitywną platformę, i zasnął na niej, a gdy się obudził, poczuł niemal nieprzeparte pragnienie.

Dzikie psy właśnie odchodziły i Gridley uznał, że nie może dłużej zwlekać. Odór gnijącego mięsa ostrzegł go, że może stać się coś gorszego i wciąż obawiał się, iż tygrysy mogą powrócić do swojej zdobyczy. Po zejściu z drzewa, i przebiegnięciu przez połą otwartej przestrzeni, ruszył dalej na polanę. Dzikie psy, opuszczające to miejsce odwracały się, groźnie szczerząc kły.



On jednak nie obawiał się ich, bo wiedział, że były najedzone, szakalami zaś gardził, podobnie jak inne drapieżne stworzenia.

Gridley z pewną konsternacją stwierdził, że na polanę wiodło wiele ścieżek, nie napotkał też żadnych znaków mogących sugerować, że to właśnie ta doprowadziła ich tutaj.

Próbował odtworzyć swoją drogę przez polanę do drzewa, na którym się schronił i tym sposobem dotarł do ścieżki, którą podążył dalej, nie miał wszelako pewności, że była tą właściwą. Mącające zmysły, wiszące w zenicie słońce, kąpiące go w swych promieniach zdawało się drwić z jego bezradności.

Gdy podążał dalej, samotną ścieżką, i zdał sobie sprawę że w każdej chwili może stanąć oko w oko z jakąś straszliwą bestią z zapomnianej przeszłości, Jason Gridley zastanawiał się jak małpi przodkowie człowieka zdołali przeżyć, by przekazać swe, skądinąd nierzadko złe cechy potomnym. Szczerze wątpił, że zdoła wrócić żywy do O-220. Myśl, że mógłby żyć tu, znaleźć sobie towarzyszkę i założyć rodzinę wydała mu się absurdalna.

Choć ogólny aspekt puszczy, przez którą szedł, wydał mu się znajomy, Gridley pożałował że nie kazał oznakowywać drzew na drodze, którą przemierzali całą ekspedycją. Cóż z niego za osioł, złażał się w duchu, ale martwił się nie tyle o siebie, co o innych, których bezpieczeństwo spoczywało w jego rękach.

Nigdy dotąd Jason Gridley nie czuł się równie bezsilny i bezradny. Niekończący się marsz wzdłuż bezkresnej ścieżki, nie mając najmniejszego pojęcia czy zmierzał w stronę O-220, czy w przeciwnym kierunku, przyprawiał go o głębokie przygnębienie, a nawet złość, ale nic nie mógł na to poradzić. A to przekłete słońce wiecznego południa bezustannie wisiało nad nim i przyglądało mu się – okrutne słońce, które mogło widzieć jego statek, lecz nie chciało go doń doprowadzić.

Pragnienie mocno dawało mu się we znaki, ale póki co potrafił je przewyciężyć. Na szczęście dotarł do miejsca gdzie przy ścieżce płynął niewielki strumyk. Tu napił się i trochę odpoczął, rozpałił nieduże ognisko i usmażył kolejnych kilka kawałków mięsa thaga, znowu się napił, po czym, mocno odświeżony i wypoczęty, ponowił żmudny marsz.

Na pokładzie O-220 w miarę jak mijały kolejne godziny, a nadzieje słabły, pozostałych oficerów i członków załogi ogarniało coraz większe przygnębienie i niepokój o bezpieczeństwo ekspedycji, a wrażenie to narastało, aż nabrało rozmiarów absolutnego przekonania, iż wyprawę poszukiwawczą musiało spotkać jakieś nieszczęście.

— Nie ma ich już od prawie siedemdziesięciu dwóch godzin – rzekł Zuppner, który wraz z Dorfem i Hinesem spędził większość czasu w górnej kabine obserwacyjnej albo krążył niespokojnie po wąskiej kładce, w rufowej części statku.

— Nigdy dotąd nie czułem się tak bezsilny – rzekł ze smutkiem – ale muszę przyznać, że nie wiem, co u diabła miałbym zrobić, w tej sytuacji.

— To tylko wskazuje – rzekł Hines – jak bardzo polegamy na naszych nawykach, zwyczajach i precedensach, które determinują wszystkie nasze poczynania, i to nawet w sytuacjach, które możemy określić mianem kryzysowych. Tu i teraz nie możemy posilkować się nawykami, zwyczajami czy precedensami, które podsunęłyby nam, co mamy robić.

— Mamy do dyspozycji tylko nasze własne zasoby – rzekł Dorf – i to upokarzające, gdy uświadomiamy sobie, iż tak naprawdę nie mamy żadnych zasobów.

— Nie w tych warunkach, z jakimi przyszło nam się zetknąć – wtrącił Zuppner. – Na zewnętrznej skorupie to nie podlegałoby

dyskusji, że powinniśmy zacząć przeszukiwać najbliższą okolicę w poszukiwaniu zaginionych członków naszej załogi. Moglibyśmy urządzać szybkie wypadki, częściej wracając do bazy, ale tu, w Pellucidarze, gdybyśmy stracili naszą bazę z oczu, nikt spośród nas nie zdołałby odnaleźć drogi powrotnej na kotwiczowisko. Poza tym nie możemy tego zrobić, bo jedyną nadzieją dla tych ludzi jest to, że nasz statek będzie na miejscu, kiedy tutaj powrócą.

Sto pięćdziesiąt stóp niżej, Robert Jones wychylił się przez drzwi kambuza, aby zobaczyć jak promienie stojącego w zenicie słońca obmywają statek. Jego proste, pełne życzliwości oblicze przepełnił wyraz zakłopotania, a może nawet strachu, i mężczyzna czym prędzej wrócił do swojej kuchni, po czym wyjął z kieszeni spodni króliczą łapkę. Delikatnie dotknął nią oczu, po czym potarł nią zdecydowanie czubek głowy, mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem.

Z punktu obserwacyjnego na kładce, powyżej, porucznik Hines przepatrywał okolicę we wszystkich kierunkach za pomocą silnej lornetki. Czynił to już tak długo, że miał wrażenie, iż zna każdy krzak, każde drzewo i każde źdźbło trawy, w zasięgu wzroku.

Dzika zwierzyna pierwotnego Pellucidaru przychodząca na polanę lub zapuszczająca się na nią na moment stała się dla tych trzech mężczyzn starą historią. Raz po raz, gdy to czy inne zwierzę wyłaniało się z odległego lasu, kierował w tę stronę lornetkę, dopóki nie zidentyfikował z całkowitą pewnością tego, co zbliżało się ku nim, w pewnej chwili jednak Hines wydał nagły, nerwowy okrzyk.

— Co się stało? – spytał Zuppner. – Co widzisz?

— To człowiek! – zawołał Hines. – Jestem tego pewien.

— Gdzie? – zapytał Dorf, po czym on i Zuppner unieśli do oczu lornetki.

— Jakież dwa stopnie od lewej burty.

— Widzę – mruknął Dorf.

— To albo Gridley, albo von Horst i ktokolwiek to jest, jest sam.

— Poruczniku, proszę natychmiast wziąć dziesięciu ludzi – rzekł Zuppner zwracając się do Dorfa. – Proszę dopilnować, aby byli dobrze uzbrojeni, a potem wyjdźcie mu na spotkanie. Nie traćcie czasu. – zawołał w ślad za porucznikiem, który zaczął już schodzić po metalowej drabince.

Dwaj oficerowie na pokładzie obserwacyjnym O-220 patrzyli jak Dorf i jego grupa wychodzą na spotkanie mężczyzny, który brnął z mozołem w stronę statku. Patrzyli jak mężczyzna i grupa, która wyszła mu naprzeciw zbliżają się do siebie, choć z uwagi na ukształtowanie powierzchni, które było mocno pofałdowane, ani Dorf, ani mężczyzna, z którym miał się on spotkać nie widzieli się nawzajem, dopóki nie zbliżyli się na odległość stu jardów i dopiero wtedy porucznik rozpoznał w nadchodzącym Jasona Gridleya.

Gdy pospieszyli naprzód i przywitali się uściśnięciem dłoni, rzeczą oczywistą było, że Gridley w pierwszych słowach zapytał o zaginionych członków swojej ekipy.

Dorf pokręcił głową.

— Jest pan jedynym, który powrócił – powiedział.

Iskierka nadziei w oczach Gridleya zgasła i mężczyzna nagle wydał się bardzo zmęczony i o wiele starszy, niż kiedy witał się z inżynierami i mechanikami, stanowiącymi grupę, która przybyła eskortować go z powrotem do statku.

— Już od dłuższego czasu miałem statek w zasięgu wzroku – powiedział – Choć nie potrafię powiedzieć, jak długo. W puszczy rozbiłem zegarek, gdy uciekając przed tygrysem próbowałem wspiąć się na drzewo. Potem drugi podążał za mną aż na sam kraniec polany, skąd mogłem już dostrzec nasz statek. Mam wrażenie, że upłynął cały tydzień. Jak długo mnie nie było, Dorf?

— Jakieś siedemdziesiąt dwie godziny – oblicze Gridleya pojaśniało. – Wobec tego nie ma powodu porzucać nadzieję co do innych – powiedział. – Naprawdę sądziłem że nie było mnie tydzień. Spałem kilka razy, choć nie potrafię powiedzieć jak długo, a potem mam wrażenie, że bardzo długo szedłem przez las, bez snu, bo bardzo się zmęczyłem, byłem też strasznie głodny i spragniony. W drodze powrotnej do statku, Jason uparł się, by opowiedzieć mu o wszystkim co się wydarzyło odkąd wyruszył do puszczy, ale dopiero gdy dołączyli do Zuppnera i Hinesa, on sam zrelacjonował przygody, które spotkały jego i resztę ekipy podczas tej feralnej ekspedycji.

— Pierwsze na co mam ochotę – powiedział, gdy został przywitany przez Zuppnera i Hinesa – to kąpiel, a potem gdyby zechciał pan poprosić Boba by upiekł dla mnie parę steków, opowiem o naszej ekspedycji, kiedy będę je pałaszował. Myślę, że dwa dorosłe tury i parę tutejszych owoców tylko zaostrzy mój apetyt.

Pół godziny później, odświeżony po kąpieli, ogolony i w czystym ubraniu dołączył do pozostałych w mesie. Gdy trzech mężczyzn usiedli, z kambuza wyszedł Robert Jones, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Tak się cieszę, że pana widzę – rzekł Robert. – I choć wiedziałem że coś się musi wydarzyć, byłem pewien, że szczęście będzie nam sprzyjać.

— Też się cieszę, że wróciłem, Bob – rzekł Gridley – i twój widok raduje mnie najbardziej, bo brakowało mi twego jedzenia. Ale skąd ta pewność, że szczęście nas nie opuści?

— Takem se porozmawiał z moją króliczą łapką. To maleństwo jeszcze nigdy mnie nie zawiodło. Gdybym ją zgubił, jak amen w pacierzu, pech jest murowany.

— Widziałem w tej okolicy wiele królików, Bob – odezwał się Zuppner. – W każdej chwili możemy złapać ich parę tuzinów, jeśli tylko zechcesz.

— Tak, wiem, kapitanie, ale nie mógłby ich pan połapać nocą, przy blasku księżyca, bo tu nie ma ani nocy ani tyż księżyca, a co za tem idzie, takie łapki nie bedom skuteczne.

— Wobec tego dobrze, że zabraliśmy cię ze sobą – rzekł Jason – i to duży atut dla Pellucidaru, bo do tej pory ten świat nie mógł liczyć na szczęśny wpływ króliczej łapki. Coś mi jednak mówi, że już za chwilę sam możesz potrzebować tej łapki, Bob.

— Jakże to, psze pana? – spytał Robert.

— Duchy mi mówią, że przydarzy ci się coś złego jeśli szybko nie postawisz na tym stole talerza z sutą porcją jadła – zaśmiał się Gridley.

— Zara, już podaje – zawołał kucharz i pobiegł do kambuza.

Gdy Gridley się posilał, zrelacjonował wydarzenia ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin w najdrobniejszych szczegółach, a trzej mężczyźni dzięki temu zdołali zyskać pewien obraz co do przebytej przezeń odległości i kierunku, z którego przybył.

— Myśli pan, że mógłby poprowadzić kolejną wyprawę i dotrzeć z nią do polany gdzie został pan rozdzielony z von Horstem i Wazirami? – spytał Zuppner.

— Oczywiście, że tak – odparł Gridley – bo od miejsca, gdzie weszliśmy w las, od czasu do czasu znakowaliśmy drzewa i robiliśmy to aż dotarliśmy do ścieżki, którą potem poszliśmy w lewo. Właściwie w ogóle nie byłbym wam potrzebny i gdybyśmy zdecydowali się wysłać taką ekipę, wcale nie musiałbym do niej dołączyć.

Pozostali oficerowie popatrzyli na niego ze zdziwieniem i przez chwilę w mesie panowała krępująca cisza.

— Obmyśliłem, moim zdaniem lepszy plan – ciągnął Gridley. – Zostało nas dwudziestu siedmiu. W razie absolutnej konieczności statkiem może pokierować dwunastu ludzi. Pozostaje zatem piętnastu do uczestnictwa w nowej grupie poszukiwawczej. Beze mnie, to będzie czternastu, a kiedy wysłuchacie mojego planu i postanowicie, że taka wyprawa jest jednak konieczna, sugeruję by dowodzenie nad nią przejął porucznik Dorf. W ten sposób pan, kapitanie Zuppner i Hines moglibyście obsługiwać statek, w przypadku gdyby nikt z nas nie powrócił, albo gdybyście ostatecznie postanowili wyruszyć na nasze poszukiwania.

— Myślałem, że nigdzie się pan jednak nie wybiera – zauważył Zuppner.

— Nie zamierzam dołączyć do grupy poszukiwawczej. Pomyślałem, że polecę sam, samolotem zwiadowczym i radziłbym abyście nie wysyłali żadnej grupy poszukiwawczej przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny po moim odlocie, bo w ciągu tego czasu powinienem, jak sądzę odnaleźć zaginionych, albo mój plan zawiedzie.

Zuppner z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Hines, Dorf i ja rozmawialiśmy o możliwości wykorzystania samolotu zwiadowczego – powiedział. – Hines chciał bardzo podjąć taką próbę, choć zdaje on sobie sprawę lepiej niż ktokolwiek z nas, że jeśli tylko pilot straci z oczu O-220, może już go nigdy więcej nie odnaleźć, bo chyba nie muszę przypominać że nie wiemy nic o punktach orientacyjnych w terenie, w okolicy, gdzie powinny być skierowane nasze poszukiwania.

— Wziąłem to wszystko pod uwagę – odparł Gridley – i zdaję sobie sprawę że nie mogę łudzić się nadzieją, iż moja wyprawa zakończy się sukcesem.

— Pozwól że ja to zrobię – rzekł Hines. – Mam większe doświadczenie w lotach, niż ktokolwiek z was, może za wyjątkiem kapitana Zuppnera, a nie możemy ryzykować, że moglibyśmy go stracić.

— Przypuszczam, że każdy z was trzech ma większe niż ja kwalifikacje do wzięcia udziału w tym locie – odrzekł Gridley – ale to nie zwalnia mnie z odpowiedzialności. Jestem bardziej odpowiedzialny niż ktokolwiek inny z tej ekipy, za to, że jesteśmy wszyscy tu gdzie jesteśmy, a co za tym idzie, jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo zaginionych członków załogi bardziej niż ktokolwiek z was. Dlatego w żadnym razie nie mogę pozwolić, by ktoś inny odbył ten lot. Myślę że wszyscy zrozumiecie i docenicie, co czuję i nie będziecie próbowali mnie przed tym powstrzymywać.

Minęło kilka minut zanim ktokolwiek znów się odezwał. Cała czwórka wydawała się być zajęta piciem kawy i paleniem papierosów. Wreszcie to Zuppner przerwał milczenie.



— Zanim się pan tego podejmie – powiedział – powinien pan porządnie się przespać a my w tym czasie wyładujemy samolot i przeprowadzimy jego gruntowną kontrolę. Musimy zapewnić panu maksimum szans na powodzenie.

— Dziękuję! – rzekł Gridley. – Chyba ma pan rację w kwestii snu. Nie cierpię marnować czasu, ale jeśli obudzicie mnie, gdy tylko samolot będzie gotowy do drogi, udam się natychmiast do mojej kabiny i prześpię tyle ile zdołam.

Kiedy Gridley spał, samolot zwiadowczy przewożony w ładowni rufowej został opuszczony na ziemię, gdzie poddano go szczegółowej inspekcji i badaniom przez inżynierów i oficerów O-220.

Zanim jeszcze samolot został przygotowany, Gridley pojawił się w drzwiach kabiny O-220 i zszedł na ziemię.

— Nie spał pan długo – rzekł Zuppner.

— Nie wiem jak długo spałem – odparł Gridley – ale czuję się wypoczęty, a poza tym i tak nie mógłbym spać dłużej, wiedząc że ci ludzie gdzieś tam są i liczą na nasze wsparcie.

— Jakim kursem zamierza pan podążyć? – zapytał Zuppner. – I jak chce pan zapewnić sobie możliwość, że zdoła tu bezpiecznie powrócić?

— Przeleczę tuż nad puszczą, tak daleko, jak według moich przypuszczeń mogli dotrzeć przez ten czas odkąd ich nie ma, zakładając że się pogubili i stale oddalali się od statku. Gdy tylko wzniosę się na wysokość niezbędną dla prowadzenia obserwacji, zacznę rozglądać się za jakimś naturalnym punktem orientacyjnym, takim jak góra, czy zbiornik wodny, w pobliżu statku i od czasu do czasu, w miarę kontynuowania mojej misji będę zapisywał podobne punkty orientacyjne. Wierzę, że w ten sposób mógłbym z łatwością znaleźć drogę

powrotną, gdyż mogę oddalić się od O-220 najdalej na dwieście pięćdziesiąt mil, aby móc wrócić do statku, biorąc pod uwagę zapas paliwa jakim dysponuję.

— Gdy dotrę do najdalszej granicy obszaru, do którego mogła zapuścić się nasza ekipa, zacznę zataczać kręgi, licząc na to, że odgłos silnika zwróci ich uwagę i rzecz jasna zakładając, iż zachowali jakiegokolwiek środki, by zasygnalizować mi swoją obecność. W sumie wystarczy, że w gęsto zalesionym terenie rozpalą ogień, który będzie mocno dymić.

— Spodziewa się pan lądować? – spytał Zuppner, wskazując na sztucer na grubą zwierzynę, który trzymał w ręku Gridley.

— Jeżeli natknę się na nich na otwartej przestrzeni, spróbuję wylądować, ale nawet jeśli ich nie znajdę, może będę musiał sprowadzić samolot na ziemię, a niedawne doświadczenia nauczyły mnie, aby nigdy nie zapuszczać się w głąb Pellucidaru bez solidnej strzelby.

Po starannej inspekcji, Gridley uścisnął dłonie trzem pozostałym oficerom i pożegnał się z załogą statku, którzy z niepokojem obserwowali jego przygotowania do odlotu.

— Do zobaczenia, stary – rzekł Zuppner. – Niech cię Bóg ma w swojej opiece, a szczęście niechaj ci sprzyja.

Gridley uścisnął dłoń mężczyzny, którego zaczął uważać za swego dobrego i lojalnego przyjaciela, po czym zajął miejsce w otwartym kokpicie samolotu zwiadowczego. Dwaj mechanicy zakręcili śmigłem, silnik zaryczał, a w chwilę potem blok został odkopnięty i samolot potoczył się po trawiastej łące w kierunku odległej puszczy. Obserwatorzy zobaczyli jak wznosi się pospiesznie i zatacza szeroki krąg, i zdali sobie sprawę że Gridley szukał punktu orientacyjnego. Zrobił dwa okrążenia nad równiną, po czym skierował się nad las.

Dopiero zatoczywszy pierwszy krąg, Jason Gridley uświadomił sobie jak trudne zadanie sobie postawił, i jakim problemem będzie dla niego znalezienie w pozbawionym horyzontu Pellucidarze jakiegoś punktu orientacyjnego mającego umożliwić mu bezpieczny powrót do statku. Pomyślał o górze wznoszącej się dumnie na tle błękitnego nieba, bo taki punkt orientacyjny musiałby stale znajdować się w jego zasięgu wzroku, podczas całego lotu.

W oddali były góry, ale nie odcinały się one na tle błękitnego nieba, ani horyzontu. Po prostu zlewały się z krajobrazem za nim, wznosząc się łukowato ku górze, hen w oddali. Zatoczył dwa kręgi, a jego czujne oczy wypatrywały każdego wyróżniającego się punktu w topografii terenu poniżej, ale nie dostrzegł niczego wyrazistszego niż trawiasta równina, na której stał O-220.

Uznał, że nie może marnować więcej czasu i paliwa na poszukiwanie punktu orientacyjnego, którego nie ma, a kiedy zdał sobie sprawę, że równina będzie widoczna na względnie krótkim dystansie, musiał przyjąć, iż to ona będzie jego jedynym przewodnikiem, z braku innego, lepszego.

Przelatując z rykiem nad liściastym kobiercem pierwotnej puszczy, nie mógł ujrzeć niczego co rozgrywało się na ziemi, poniżej, i z pewnym niepokojem zrozumiał, że mógł praktycznie w każdej chwili przelecieć tuż nad głowami towarzyszy, których szukał, lecz nie mógł zrobić nic innego. Wracając, zacznie zataczać kręgi, i będzie leciał zygzakiem, bacznie wypatrując jakiegokolwiek sygnału czy znaku.

Przez blisko dwie godziny Jason Gridley podążał kursem na wprost, przelatując nad lasem, równiną i pofałdowaną, górzystą okolicą, ale nigdzie nie dostrzegł żadnych śladów tych,

których szukał. Osiągnął limit dystansu, który zamierzał przebyć, gdy w oddali, przed nim pojawił się masyw wysokich gór. Te szczyty ostatecznie przekonały go, że powinien zawrócić. Podejrzewał bowiem, że członkowie zaginionej ekspedycji, gdyby nawet dotarli tak daleko, ujrzawszy góry musieliby zawrócić zrozumiawszy, że podróżowali w niewłaściwym kierunku.

Gdy wprowadził maszynę w skręt, aby zawrócić, kątem oka dostrzegł coś w powietrzu nad sobą i odwracając głowę, odruchowo, na chwilę wstrzymał oddech ze zdumienia.

Niemal dokładnie nad nim, w powietrzu wisiała gigantyczna istota, której rozpiętość skrzydeł nieomal dorównywała długości skrzydeł pilotowanego przez Gridleya samolotu. Amerykanin zdążył jeszcze zobaczyć ogromne szczęki uzbrojone w potężne zęby, i w tej samej chwili zdał sobie sprawę że ta żywa skamielina zamierza go zaatakować.

Gridley leciał na wysokości prawie trzech tysięcy stóp, kiedy olbrzymi pteranodon rzucił się na maszynę. Jason próbował uniknąć zderzenia, wprowadzając maszynę w lot nurkowy. Rozległ się przeraźliwy rumor, ryk i trzask pękającego drewna i zgrzyt metalu, gdy pteranodon opadając w dół ze swoją ofiarą wleciał wprost na obracające się śmigło.

To co stało się potem, wydarzyło się tak szybko, że Jason Gridley nie był w stanie przypomnieć sobie tego co rozegrało się w przeciągu kolejnych pięciu sekund. Samolot obrócił się do góry dnem, a w tej samej chwili Gridley wyskoczył z kokpitu. Zdecydowanym ruchem pociągnął za rączkę spadochronu. Coś uderzyło go w głowę i stracił przytomność.

## FORORAK MIOCEŃSKI

— Gdzie są twoi ludzie? – spytał raz jeszcze Tar-gash.

Tarzan pokręcił głową.

— Nie wiem – odparł.

— Gdzie jest twoja kraina? – zapytał Tar-gash.

— Daleko stąd – odparł człowiek-małpa. – Nie w Pellucidarze.

– Ale tego Sagoth nie mógł zrozumieć, podobnie jak niepojęte było dlań, że ktoś mógłby się tu zgubić, bo posiadał wrodzony instynkt pozwalający jemu, jak i wszystkim stworzeniom z Pellucidaru, powrócić do domu – będący skądinąd mądrym darem natury w świecie gdzie nie było ciał niebieskich, wskazujących drogę wędrowcom.

Gdyby Tar-gash został w jednej chwili przeniesiony w jakiegokolwiek miejsce na powierzchni tego wielkiego, wewnętrznego świata, poza oceanem, mógłby on bezbłędnie odnaleźć drogę powrotną do miejsca, w którym się urodził, i ponieważ ta moc była instynktowna, nie mógł zrozumieć, dlaczego nie posiadał jej Tarzan.

— Wiem gdzie są plemiona ludzi – stwierdził obecnie. – Może to twój lud. Doprowadzę cię do nich.

Ponieważ Tarzan nie miał pojęcia, w którą stronę powinien się udać by wrócić do statku, a istniało pewne prawdopodobieństwo, że Tar-gash miał na myśli członków ekspedycji O-220, postanowił pójść tam, dokąd zaprowadzi go Tar-gash i wyraził gotowość towarzyszenia Sagothowi.

— Jak dawno temu widziałeś to plemię ludzi – zapytał po chwili – i jak długo żyli tam gdzie ich widziałeś?

Gdy Tar-gash odpowiedział na te pytania, człowiek-małpa uznał, że Sagothowi mogło chodzić o ludzi z jego wyprawy, mieli być oni bowiem nowo przybyłymi w tej okolicy, a zatem mogli to być ludzie, których szukał, aczkolwiek odpowiedzi na pytania nie do końca usatysfakcjonowały Tarzana, gdyż dla Tar-gasha czas znaczył tyle co nic. I tak dwaj mężczyźni wyruszyli na niespieszne poszukiwania plemienia ludzi, o których wiedział Tar-gash. Były one niespieszne, ponieważ dla Tar-gasha czas w ogóle nie istniał, nie stanowił on także istotnego czynnika w życiu człowieka-małpy, za wyjątkiem szczególnych chwil, gdy znajdował się w krytycznej sytuacji.

Stanowili osobliwą parę – istota, która ledwie przekroczyła próg człowieczeństwa, i prawdziwy angielski lord, co się zowie, lecz pod wieloma względami równie prymitywny jak ów dziki, kosmaty samiec, w którego towarzystwie znalazł się za sprawą dziwnego zrzędzenia losu.

Z początku Tar-gash z pogardą patrzył na tę istotę wywodzącą się z innej rasy, którą uważał za stojącą niżej od niego i gorszą pod względem siły, zwinności, odwagi czy umiejętności przetrwania w puszczy, wkrótce jednak jął darzyć człowieka-małpę olbrzymim szacunkiem. A ponieważ szanował jego sprawność, wnet połączyły go z nim więzy lojalności, tak bliskie przyjaźni jak pozwalała na to dzika natura jego prymitywnego umysłu.

Polowali razem i razem walczyli. Przemykali w koronach drzew, kiedy na ziemi, poniżej polowały wielkie koty, albo podążali za starymi szlakami zwierzyny, ciągnącymi się pod

omszałymi drzewami Pellucidaru, i pośród rozległych, pofałdowanych, porośniętych trawą i kwiatami łąk.

Żyło im się nieźle z tego co zdołali upolować, obaj bowiem byli świetnymi myśliwymi.

Tarzan zrobił nowy łuk i strzały oraz mocną włócznię, których Sagoth z początku zdawał się w ogóle nie dostrzegać, w końcu jednak, gdy przekonał się jak szybko dzięki nim ich spiżarnia zaczęła wypełniać się upolowaną zwierzyną, jął wykazywać żywe zainteresowanie bronią, Tarzan zaś nauczył go najpierw posługiwania się nią, a następnie jej wytwarzania.

Kraina, przez którą wędrowali obfitowała w słodką wodę i zwierzynę łowną. Była po części zalesiona, z dużymi połaciami otwartej przestrzeni, gdzie ogromne stada roślinożerców pasły się w najlepsze pod słońcem wiecznego południa, a z uwagi na te wielkie stada roiło się tu również od drapieżnych zwierząt – i to jakich!

Tarzan uważał, że nie było wspanialszego świata niż jego własny, ani piękniejszej dżungli, niż ta, której był władcą, ale im więcej cudowności Pellucidaru miał okazję zobaczyć, tym bardziej poddawał się urokowi tego dzikiego, prymitywnego świata, pełnego niezwyklej fauny, za którą przepadał. Najlepszą rekomendacją było dlań to, że w Pellucidarze nie było wielu ludzi. Gdyby nie było ich w ogóle, zapewne człowiek-małpa uznałby tę krainę za absolutnie doskonałą, któż bowiem jest bardziej obeznany z okrucieństwem i bezmyślnością człowieka, jeśli nie dzikie zwierzęta z dżungli?

Przyjaźń jaka rozwinęła się pomiędzy Tarzanem a Sagothem, która pierwotnie opierała się na szacunku jakim obaj mężczyźni darzyli się nawzajem z uwagi na swą sprawność, wzrastała, gdy każdy z nich zdał sobie sprawę z godnych

podziwu przymiotów natury osobistej oraz cech charakteru swego towarzysza, wśród których niepoślednią rolę odgrywała także małomówność, jaka ich łączyła. Odzywali się tylko gdy było to absolutnie konieczne, czyli niezwykle rzadko.

Gdyby człowiek odzywał się tylko gdy miał do powiedzenia coś naprawdę ważnego i mówił to możliwie jak najszybciej, dziewięćdziesiąt osiem procent ludzkości równie dobrze mogłoby być nieme, tym samym nawiązując niebiańską harmonię od czubka głowy aż po migdałki.

Tak oto towarzystwo Tar-gasha w połączeniu z romantycznością osobliwych widoków, dźwięków i zapachów tego nowego świata podziało na człowieka-małpę jak silny narkotyk przepełniając go euforią i przytępiając w nim poczucie odpowiedzialności, dzięki czemu konieczność odnalezienia jego ludzi została sprowadzona do sprawy pomniejszej wagi. Gdyby wiedział, że niektórzy z nich mieli kłopoty, jego nastawienie niechybnie by się zmieniło, nie miał jednak o tym pojęcia. Wręcz przeciwnie, miał świadomość, że dysponowali wszelkimi środkami mogącymi zagwarantować im bezpieczeństwo i możliwość ostatecznego powrotu do świata zewnętrznego, a jego nieobecność w żaden sposób nie utrudni im działania. Kiedy jednak zaczął się nad tym zastanawiać, zrozumiał, że musi do nich wrócić, powinien ich odnaleźć i że prędzej czy później będzie musiał powrócić z nimi do świata, z którego przybyli.

Te rozważania jednak były dlań bardzo odległe, gdy on i Tar-gash przemierzali pofałdowaną, upstrzoną tu i ówdzie drzewami równinę w poszukiwaniu plemienia ludzi, do którego prowadził go Sagoth. W porównaniu z innymi równinami, które przebyli, ta wydawała się dziwnie opustoszała, ale powód tego



wydawał się wyraźnie widoczny – wyskubana niemal do gruntu trawa pozwalała domyślić się, że pasły się tu wielkie stada roślinożerców, które, kiedy zabrakło im pożywienia, przeniosły się na inne pastwisko. Brak oznak życia i ruchu był nieco przygnębiający i Tarzan zaczął już trochę tęsknić do zagrożeń jakie napotykali na innych tętniących życiem terenach, przez które przechodzili poprzednio.

Zbliżali się do środka równiny i mogli już zobaczyć soczystą zielen gęstego, wielkiego lasu wznoszącego się półkuliście ku górze, w nieco niewyraźnej, jakby trochę rozmytej dali, gdy uwagę obu mężczyzn zwrócił dziwny brzęczący dźwięk, który sprawił że przystanęli jak wryci, w jednej chwili obaj odwrócili się i spojrzeli do tyłu, w niebo, skąd zdawał się dobiegać ów dźwięk.

Wysoko nad nimi, z rozmazanej mgiełki w oddali wyłonił się niewielki punkcik.

— Szybko! – zawołał Tar-gash – To thipdar – po czym ruchem ręki dał Tarzanowi znak aby podążył za nim, i pobiegł co sił w nogach by ukryć się pod pobliskim, rozłożystym drzewem.

— Co to thipdar? – spytał Tarzan, gdy dwaj mężczyźni zatrzymali się w przyjaznym cieniu.

– Thipdar to thipdar – odparł Sagoth. Nie potrafił też lepiej opisać tej istoty, poza tym, że thipdary były niekiedy wykorzystywane przez Mahary, czy to do ochrony, czy polowań i zapewnienia im jada.

— Czy thipdar to żywa istota? – zapytał Tarzan.

— Tak – odparł Tar-gash. – To żyje, jest bardzo silne i bardzo zajadłe.

— Wobec tego to nie thipdar – powiedział Tarzan.

— Wobec tego co to jest? – dopytywał się Sagoth.

— To aeroplan – odrzekł Tarzan.

— A co to takiego? – spytał Sagoth.

— Trudno byłoby mi to wyjaśnić – odparł człowiek-małpa. – To coś, co zbudowali ludzie z mego świata i w czym latają w powietrzu – mówiąc to, wyszedł na otwartą przestrzeń, gdzie mógł dać sygnał pilotowi maszyny, tej samej, która, jak wiedział znajdowała się na pokładzie O-220 i której zapewne użyto w ramach jego poszukiwań.

— Wracaj! – zawołał Tar-gash. – Nie możesz walczyć z Thipdarem. Jeżeli będziesz stał na otwartej przestrzeni, thipdar zaatakuje cię i porwie.

— Nic mi nie zrobi – odrzekł Tarzan. – Jest w nim jeden z moich przyjaciół.

— I ty też się w nim znajdziesz, jeśli nie wrócisz pod drzewo – odparował Tar-gash.

Gdy samolot się zbliżył, Tarzan zaczął biegać w kółko aby zwrócić uwagę pilota, a biegnąc od czasu do czasu przystawał i wymachiwał rękami, ale samolot z głośnym warkotem przemknął w górze, ponad nim i wszystko wskazywało na to, że pilot jednak go nie zauważył.

Dopóki maszyna nie znikła im z oczu w oddali, Tarzan z Małp stał na rozległej, opustoszałej równinie, obserwując oddalający się szybko samolot unoszący się w dal jego towarzysza.

Widok aeroplanu obudził w Tarzanie poczucie odpowiedzialności. Zdał sobie sprawę, że ktoś ryzykował życiem aby go ocalić i wraz z tą myślą pojawiła się w nim determinacja, by dać z siebie wszystko i odnaleźć O-220.

Przelot maszyny niósł ze sobą wiele możliwości i potencjalnych domysłów. Jeżeli samolot krążył, co było

możliwe, kierunek w którym odleciał, mógł wskazywać gdzie znajdował się O-220, a jeżeli nie krążył, to skąd mógłby wiedzieć, czy maszyna oddalała się od statku na początku swych poszukiwań, czy kończyła lot i wracała na kotwiczowisko.

— To nie był Thipdar – powiedział Tar-gash wychodząc spod drzewa i stając obok Tarzana. – Nigdy dotąd nie widziałem takiego stworzenia. Jest większe i musi być jeszcze groźniejsze od thipdara. Chyba jest bardzo złe, bo warczało gniewnie przez cały czas.

— To nie jest żywe stworzenie – odrzekł Tarzan. – To coś co ludzie z mojego kraju budują aby móc unosić się w powietrzu. Leciał w nim jeden z moich przyjaciół. Szuka mnie.

Sagoth pokręcił głową.

— Cieszę się że nie wylądował – mruknął. – Albo był bardzo zły, albo bardzo głodny, w przeciwnym razie nie warczałoby tak głośno.

Dla Tarzana było oczywiste, że Tar-gash nie był w stanie zrozumieć, czym jest aeroplan i zawsze będzie wierzył, że to jedynie wielki, latający ptak, lecz to nie miało znaczenia – obecnie Tarzana niepokoił fakt, że nie wiedział, w którą stronę powinien się udać w poszukiwaniu O-220 i koniec końców wybrał kierunek wskazany mu przez samolot, a ponieważ tak się składało, iż tam właśnie znajdzie poszukiwane plemię istot ludzkich, uznał że to najrozsądniejsze rozwiązanie.

Warkot silnika ucichł w oddali, kiedy Tarzan i Tar-gash podjęli przerwana wędrówkę przez równinę i dotarli do niegościnniej krainy niskich, kamienistych wzgórz.

Szlak, który był dobrze oznakowany i który jak stwierdził Tar-gash, prowadził przez wzgórza, wił się kręto przez płytki

kanion, ograniczony z jednej strony niskimi klifami, a lico skał pokrywały liczne pieczary i szczeliny. Dno kanionu upstrzone było ułomkami kamieni różnych rozmiarów. Roślinność była tu rzadka, a ziemia tak jałowa jak nigdzie indziej, na żadnym z obszarów, jakie dotąd napotkał Tarzan, odkąd opuścił O-220. Wydawało się że będzie tu niewiele źródeł wody pitnej oraz zwierzyny, toteż dwaj mężczyźni przyspieszyli tempo marszu.

Było tu bardzo cicho i Tarzan nieprzerwanie nasłuchiwał, licząc że usłyszy odgłos silnika powracającego aeroplanu gdy nagle ciszę przerwało oschłe skrzeczenie, zdające się dochodzić z głębi wąwozu.

Tar-gash przystanął.

— Dyal – powiedział.

Tarzan spojrzał pytająco na Sagotha.

— To Dyal – powtórzył Tar-gash – i jest bardzo zły.

— Co to jest Dyal? – zapytał Tarzan.

— To straszny ptak – odrzekł Sagoth – ale ma dobre mięso, a Tar-gash jest głodny.

To wystarczyło. Niezależnie jak straszny mógł być Dyal, miał smakowite mięso, a Tar-gash był głodny, toteż dwaj drapieżcy ostrożnie podkradli się naprzód, tropiąc swoją ofiarę. Zbłąkany podmuch wiatru przyniósł ze sobą z głębi wąwozu, dziwny, nowy zapach, który wdarł się w nozdrza człowieka-mały. To była woń ptaka przywodząca na myśl zapach strusia, a sądząc po jej natężeniu, Tarzan uznał że musiała pochodzić od wielkiego ptaka. Wrażenie to zostało jeszcze spotęgowane przez głośnie skrzeczenie stworzenia, mieszające się z odgłosami drapania i skrobania.

Tar-gash, idący z przodu, i wykorzystujący naturalne schronienie jakie zapewniały fragmenty skał, walające się

na dnie wąwozu, przystanął przy jednym z wielkich głazów, chowając się za nim, a kiedy Tarzan dołączył do niego, dał człowiekowi-małpie znak, aby wyjrzał zza krawędzi głazu.

Idąc za namową swego towarzysza, Tarzan ujrzał źródło dźwięków, które zwróciły ich uwagę. Jako że sam był poniekąd dziką bestią z dżungli, nie okazał zdziwienia na widok potężnej istoty, która drapała zawzięcie w szczelinę w skalnej ścianie.

Dla Tarzana była to nienazwana istota z innego świata. Dla Tar-gasha był to po prostu Dyal. Żaden z nich nie wiedział, że ma przed sobą Fororaka miocieńskiego. Zobaczyli ogromne stworzenie, którego opatrzony grzebieniem łeb, większy od końskiego wznosił się na wysokość ośmiu stóp nad ziemią. Potężny, zakrzywiony dziób rozwierał się szeroko, gdy stworzenie skrzeczało z wściekłością. Machało też krótkimi, nieprzydatnymi skrzydłami, w wyrazie złości, i uderzało zaopatrzonymi w szpony, trójpalczastymi łapami w coś, co znajdowało się w szczelinie, na wprost niego. Zaraz potem Tarzan zobaczył, że tym w co uderzało stworzenie była włócznia, tkwiąca w rękach ludzkich, żałośnie nieadekwatna broń, którą ktoś próbował desperacko odpierać ataki wielkiego Dyala.

Gdy Tarzan przyglądał się stworzeniu, zastanawiał się jak Tar-gash uzbrojony tylko w maczugę bojową mógł spodziewać się, że wyjdzie zwycięsko ze starcia z groźnym Dyalem. Zobaczył że Sagoth ukradkiem wymknął się zza swego kamiennego schronienia i podkradł się do drugiego głazu, znajdującego się bliżej Dyala, z tyłu za nim, wielki ptak zaś był tak zaabsorbowany atakiem na mężczyznę w szczelinie, że nie zauważył podchodzącego doń od tyłu oponenta.

Kiedy Tar-gash ukrył się bezpiecznie za skałą, Tarzan podążył w ślad za nim i tym sposobem obaj znaleźli się o niecałe pięćdziesiąt stóp od olbrzymiego ptaka.

Sagoth chwyciwszy mocno pałkę za węższy koniec, podniósł się i wybiegł ze swej kryjówki, wprost na wielkiego Dyała, a Tarzan pospieszył za nim, zakładając strzałę na cięciwę.

Tar-gash pokonał ledwie połowę dystansu, gdy odgłos jego kroków zwrócił uwagę ptaka. Stworzenie odwróciło się, odkrywając dwie istoty, które ośmiały się zakłócić mu atak na osaczoną ofiarę i z głośnym skrzeczeniem, rozdziawiając szeroko dziób, Dyał zaatakował.

W chwili, gdy ptak odwrócił się i ich spostrzegł, Tar-gash zakręcił maczugą nad głową, a kiedy Dyał zaatakował, cisnął nią, w jedną z masywnych łap stworzenia. Tarzan natychmiast zorientował się co było celem takiej a nie innej metody ataku, przeprowadzonego przez Sagotha. Ciężka pałka ciśnięta przez mocarne ramię zwierzoluda trafiwszy w nogę stworzenia musiałaby zgruchotać kość, a wówczas wielki ptak znalazłby się na łasce Sagotha. Gdyby jednak nie udało mu się trafić w nogę, to co wtedy? Niemal na pewno Tar-gash przypłaciłby swą zuchwałość śmiercią.

Tarzan już od dawna miał powód by doceniać lekceważący stosunek do życia, jakim odznaczał się jego dziki towarzysz, zwłaszcza podczas polowań, ale tym razem jego lekkomyślność zakrawała nieomal na szaleństwo.

I faktycznie stało się to, czego obawiał się Tarzan – maczuga chybiła celu. Brzęknęła cięciwa łuku Tarzana, a strzala pogrążyła się głęboko w piersi Dyała. Tar-gash zwinnie uskoczył w bok, by zejść z drogi szarżującego zwierzęcia, a wówczas druga strzala przebiła skórę i upierzone cielsko ptaka.

Człowiek-małpa dał susa w prawo, bo niepoohamowana masa rozwścieczonego drapieżnego ptaszyska, rzuciła się na niego, nie powstrzymana przez tkwiące w jego ciele dwie strzały.

Zanim Dyal zdążył rzucić się w pościg za którymś z nich, Targash rzucił kamieniem, których wiele walało się dokoła na dnie wąwozu. Trafił Dyala w bok głowy, ogłuszając go na chwilę, a w tym czasie Tarzan posłał mu dwie kolejne strzały. Trafiony Dyal obrócił się ku niemu i w tej samej chwili potężna włócznia przeleciała obok ramienia Tarzana, pogrążając się w piersi rozjuszonego stworzenia. Impet trafienia tego ostatniego pocisku zwałił Dyala z nóg, i ptak runął niemal u stóp człowieka-małpy.

Choć nic nie wiedział o sile ani sposobach ataku czy obrony tego wielkiego ptaka, Tarzan nie wahał się ani chwili, i kiedy Dyal padł, natychmiast rzucił się na niego, dobywając myśliwskiego noża. Tak szybko rozplątał tchawicę stworzenia, jednym szybkim cięciem i odskoczył na bezpieczną odległość, by nie zostać przygniecionym przez cielsko miotające się w przedśmiertnych skurczach, że dopiero teraz, po raz pierwszy ujrzał mężczyznę, który rzucił włócznią.

Stał pod nim wyprostowany, wysoki, krzepki wojownik, z nieco zakłopotanym wyrazem twarzy, o jasnobrązowej skórze lśniącej w promieniach słońca i długich, gęstych włosach, przytrzymywanych opaską ze skóry jelenia.

Prócz włóczni, miał on jeszcze przy sobie krzemienisty nóż wciśnięty za pas przytrzymujący jego opaskę biodrową. Oczy mężczyzny były głęboko osadzone i inteligentne. Rysy regularne i wyraziste. Był to najlepiej prezentujący się okaz mężczyzny, jakiego Tarzan kiedykolwiek miał okazję ujrzeć.

Tar-gash, który podniósł swoją pałkę, podszedł do nieznanego.

— Jestem Tar-gash – powiedział. – Ja zabiję.

Nieznanomy dobył krzemienno noża i czekał, popatrując najpierw na Tar-gasha, a potem na Tarzana.

Człowiek-małpa zastąpił drogę Tar-gashowi.

— Zaczekaj – rzucił – czemu chcesz zabić?

— To gilak – odparł Sagoth.

— Uratowałeś mnie przed Dyalem – przypomniał Tarzan Tar-gashowi. – Moje strzały nie były w stanie zatrzymać ptaka. Gdyby nie jego włócznia, jeden z nas by zginął.

Sagoth miał niewyraźną minę. Wydawał się zakłopotany. Podrapał się po głowie.

— Ale jeśli ja go nie zabiję, on zabije mnie – rzekł w końcu.

Tarzan odwrócił się do nieznanego.

— Jestem Tarzan – powiedział. – To jest Tar-gash – to rzekłszy wskazał na Sagotha i czekał.

— Jestem Thoar – powiedział nieznanomy.

— Bądźmy przyjaciółmi – rzucił Tarzan. – Nie mamy z tobą zwady.

Nieznanomy znowu się zdziwił.

— Rozumiesz język Sagothów? – spytał Tarzan, uznawszy, że być może tamten go nie rozumiał.

Thoar pokiwał głową.

— Trochę – odparł – ale czemu mielibyśmy być przyjaciółmi?

— A czemu mielibyśmy być wrogami? – odparował człowiek-małpa.

Thoar pokręcił głową.

— Nie wiem – odrzekł. – Ale zawsze tak było.



— Wspólnie ubiliśmy Dyala – rzekł Tarzan – Gdybyśmy nie nadeszli, ten stwór zabiłby ciebie. Gdybyś nie cisnął włócznią wielki ptak zabiłby nas. Dlatego powinniśmy być przyjaciółmi a nie wrogami. Dokąd zmierzasz?

— Wracam do mojej krainy – odparł Thoar, wskazując w stronę, w którą wędrowali Tarzan i Tar-gash.

— My także zmierzamy w tym kierunku – rzekł Tarzan. – Chodźmy razem. Sześć rąk to lepiej niż cztery.

Thoar spojrział na Sagotha.

— Czy wszyscy możemy wędrować jako przyjaciele, Tar-gashu? – spytał Tarzan.

— To jeszcze nie koniec – rzekł Sagoth, jakby miał za sobą tysiące lat kultury i cywilizacji.

Tarzan błysnął jednym ze swych jakże rzadkich uśmiechów.

— Wobec tego, załatwione – powiedział. – Chodźmy.

Zupełnie jakby nie miał wątpliwości, że pozostali wykonają jego polecenie, człowiek-mała odwrócił się w stronę zabitego Dyala, i dobywając noża myśliwskiego, zaczął wykrawać zeń spore kawałki mięsa. Thoar i Tar-gash stali przez chwilę, niepewnie, popatrując jeden na drugiego, aż wreszcie wojownik o brązowej skórze podszedł, by dołączyć do Tarzana, i w końcu przyłączył się do nich również Tar-gash.

Thoar żywo zainteresował się stalowym nożem Tarzana, który tak gładko rozorał ciało, a które on mozolnie rozkrawał z pomocą swego krzemiennego narzędzia. Tar-gash natomiast nie zwracał większej uwagi na żadne z owych narzędzi, lecz zatopił swe mocne zębiska w piersi Dyala i wyrwał spory kawał mięsa, które pożarł na surowo. Tarzan zamierzał zrobić to samo, bo został wychowany na diecie składającej się wyłącznie z surowego mięsa, ale wtedy zobaczył, że Thoar

szykuje się do rozniecenia ognia, co zamierzał uczynić z pomocą prymitywnego wykorzystania zasady tarcia. Cała trójka posilała się w milczeniu, choć Sagoth ze swoją porcją mięsa oddalił się i usiadł w pewnej odległości od pozostałych. Być może instynkt dzikiego zwierzęcia był w nim nieco silniejszy.

Kiedy skończyli, ruszyli ścieżką pod górę, prowadzącą ku przełęczy ciągnącej się przez wzgórze, a po drodze Tarzan próbował dowiedzieć się czegoś o krainie i ludzie Thoara, jednak słownik Sagothów jest tak prymitywny i ubogi, a znajomość tego języka, którym posługiwali się wraz z Thoarem, tak słaba, że komunikacja między nimi okazała się utrudniona, Tarzan postanowił więc przyswoić sobie język Thoara. Spore doświadczenie w uczeniu się nowych dialektów i języków znacznie ułatwiły to zadanie, a ponieważ człowiek-małpa ani na chwilę nie stracił zapachu i nie zrezygnował z osiągnięcia celu, który sobie wyznaczył, robił szybkie postępy, potęgowane jeszcze przez żywe zainteresowanie ze strony uczącego go Thoara.

Gdy dotarli do grzbietu niskich wzgórz, zobaczyli w rozmytej oddali coś co wyglądało jak pasmo strzelistych gór.

— Tam – rzekł Thoar, wskazując ręką – leży Zoram.

— Co to jest Zoram? – spytał Tarzan.

— To moja kraina – odparł wojownik. – Leży w Górach Thipdarów.

Po raz drugi Tarzan usłyszał nawiązanie do thipdarów. Tar-gash uznał samolot za thipdara, a teraz Thoar wspomniał o górach thipdarów.

— Co to jest thipdar? – zapytał.

Thoar spojrział na niego ze zdumieniem.

— Z jakiej krainy pochodzisz? – spytał oschle – że nie wiesz co to jest thipdar i nie mówisz językiem gilaków?

— Nie jestem z Pellucidaru – odrzekł Tarzan.

— Mógłbym w to uwierzyć – stwierdził Thoar – gdyby było jakieś inne miejsce, skąd możesz pochodzić, ale nie ma takowego, za wyjątkiem Molop Az, ognistego morza, na którego wodach unosi się Pellucidar. Ale jedynymi mieszkańcami Molop Az są małe demony, zanoszące zmarłych, pogrzebanych w ziemi, kawałek po kawałku, do Molop Az, i choć nikt nigdy nie widział żadnego z tych demonów jestem pewien, że nie wyglądają jak ty.

— Nie – rzekł Tarzan – nie jestem z Molop Az, choć czasami wydaje mi się, że świat, z którego pochodzę, jest zamieszkały przez demony, zarówno wielkie, jak i małe.

Gdy tak polowali, jedli, spali i maszerowali razem, ci trzej łowcy coraz bardziej zaczęli darzyć się wzajemnie zaufaniem, i nawet Tar-gash przestał patrzeć na Thoara z podejrzliwością i choć uosabiali trzy różne, odległe od siebie okresy rozwoju człowieka, oddalone jeden od drugiego o niezliczone tysiące lat, mieli ze sobą tyle wspólnego, że postęp jaki dokonał się w człowieku, od poziomu Tar-gasha do Tarzana wydawał się niewielką nagrodą za czas i wysiłek jaki musiała poświęcić Natura, aby osiągnąć ten cel.

Tarzan nie potrafił określić ile czasu upłynęło odkąd opuścił O-220, i choć był pewien, że podąża niewłaściwą drogą, nie zamierzał zawrócić, bo i tak nie wiedziałby w którą stronę powinien się udać. Liczył już tylko na to, że zostanie zauważony przez pilota samolotu zwiadowczego, który z całą pewnością wysłano na jego poszukiwania, albo może O-220, krążąc w okolicy pojawi się w którymś momencie w zasięgu jego

wzroku, aby mógł dać sygnał załodze statku. Tymczasem jednak równie dobrze mógł przebywać w towarzystwie Tar-gasha i Thoara, jak gdziekolwiek indziej.

Cała trójka posiliła się i znów się przespała, po czym podjęła przerwana podróż, gdy nagle czujne oczy Tarzana zauważyły ze szczytu niskiego wzgórza coś, co spoczywało na otwartej równinie w znacznej odległości przed nimi. Nie wiedział co to takiego, ale był pewien, że czymkolwiek to było, nie stanowiło naturalnego elementu tutejszego krajobrazu, zaburzając jego układ, czy raczej harmonię, co musiało być łatwo dostrzegalne dla każdego, kto mógł poszczycić się percepcją nie skażoną przez życie w mieście. I ponieważ Tarzan instynktownie miał zwyczaj sprawdzać wszystko czego nie rozumiał, skierował swe kroki w stronę dostrzeżonego obiektu.

To, co tak przykuło jego uwagę, niemal natychmiast zostało ukryte przed jego wzrokiem, gdy zaczął schodzić ze wzgórza, ponownie zaś ujrział tę rzecz, gdy zbliżył się do niej na znacznie bliższą odległość, a wówczas w okamgnieniu zdał sobie sprawę, iż obiektem, który tak go zafrapował, był wrak samolotu.

## CZERWONY KWIAT ZORAMU

Jana, Czerwony Kwiat Zoramu, przystanąła i patrzyła na strzępiaste skały poniżej i z tyłu, za nią. Była bardzo głodna, a sporo czasu minęło odkąd ostatni raz spała, jej śladem bowiem podążało niezmordowanie i nieustannie, czterech strasznych mężczyzn z Pheli, leżącego u stóp Gór Thipdarów, poza krainą Zoram.

Wyprostowała się tylko na chwilę, po czym wyciągnęła się na szorstkiej skale, za wystającym głazem, który częściowo ją zasłaniał i stąd powiodła wzrokiem w stronę, skąd przyszła, ponad pozbawionymi ścieżek pustkowiami z popękanego granitu. Zrodzona w górach, całe życie spędziła wśród strzelistych szczytów Gór Thipdarów, mając w pogardzie ludy z nizin, do których należeli jej prześladowcy. Może gdyby dotarli za nią aż tutaj musiałaby przyznać, że jednak odwagi im nie brakowało i zaczęłyby patrzeć na nich z mniejszą wzdumą, wciąż jednak próbowałyby im uciec.

Czerwony Kwiat Zoramu do szpiku kości nienawidziła mężczyzn z Pheli, którzy od czasu do czasu zapuszczali się w Góry Thipdarów, by porwać kobiety, bo górskie ludy szczyły się i słynęły z urody tamtejszych dziewcząt, a ich sława dotarła do mężczyzn z innych odległych krain i śmiałowie ci, zamieszkujący w zlewisku wielkiej rzeki, na nizinie, ryzykowali śmiercią, wyruszając w góry,

by uprowadzić dla siebie taką kobietę jak Jana, Czerwony Kwiat Zoramu.

Lana, jej siostra została porwana właśnie w taki sposób i Jana pamiętała jeszcze dwie inne dziewczęta z Zoramu, które uprowadzili mężczyźni z nizin, tak więc niebezpieczeństwo było stale obecne. Taki los wydawał się Czerwonemu Kwiatu gorszy od śmierci, bo nie tylko na zawsze znalazłaby się z dala od ukochanych gór, ale również stałaby się kobietą z nizin, a jej dzieci także byłyby dziećmi z nizin, co w oczach ludzi gór było najgorszą hańbą. Mężczyźni z gór bowiem łączyli się jedynie z kobietami z gór. Mężczyźni z Zoramu, Clovi i Daroz wybierali sobie kobiety ze swoich plemion, albo porywali je od sąsiadów.

Jana była obiektem pożądania wielu młodych wojowników z Zoramu, i choć jak dotąd żaden z nich nie zdobył jej serca, wiedziała, że któregoś dnia zwiąże się z jednym z nich, chyba że wcześniej zostanie uprowadzona przez wojownika z innego plemienia.

Gdyby wpadła w ręce mężczyzny z plemienia Clovi lub Daroz, nie zostałaby pohańbiona i mogłaby nawet być szczęśliwa, ale wolała umrzeć, niż wpaść w ręce mężczyzny z Pheli.

Choć nie znała pojęcia czasu, miała wrażenie, że było to dawno temu, gdy wybrała się na poszukiwanie jaj thipdara, wśród wysokich szczytów, ponad jaskiniami, które były domeną dla jej ludu, kiedy nagle zza skały wyskoczył włochaty, potężny mężczyzna i próbował ją schwytać. Zwinna jak kozica, z łatwością mu się wymknęła, ale on zagroził jej drogę do wioski, a gdy próbowała wrócić tam okrężną drogą, okazało się że zasadziło się tam na nią trzech jego kompanów. Wywiązała się walka, a potem pościg, co sprawiło, że oddaliła

się od Zoramu, zapuszczając się między wysokie szczyty, gdzie nigdy wcześniej nie była.

Niedaleko od niej, nieco poniżej, czterej krępi, włochaci mężczyźni zatrzymali się na odpoczynek.

— Zawróćmy – warknął jeden z nich. – Nigdy jej nie złapiesz, Skruku, nie w takiej krainie jak ta, która nadaje się tylko dla thipdarów, i nie jest miejscem dla mężczyzn.

Skruk potrząsnął obłą głową.

— Widziałem ją – powiedział – i dostanę, nawet gdybym miał ścigać ją aż do brzegów Molop Az.

— Nasze ręce są całe podrapane od ostrych kamieni – powiedział inny. – Nasze sandały są w strzępach, a stopy krwawią. Nie możemy iść dalej. Umrzemy.

— Wy możecie umrzeć – warknął Skruk – ale do tego czasu będziecie szli dalej. Jestem Skruk, wasz wódz. Rzekłem.

Pozostali zareagowali gniewnym sarkaniem, ale kiedy Skruk ponownie ruszył w pościg, podążyli za nim. Jako że pochodzili z nizin, wysiłek jaki musieli wkładać w tę wspinaczkę był dla nich nie lada wyzwaniem, ale prawdziwym powodem, dla którego chcieli zawrócić był strach przed coraz bardziej stromymi stokami, wzdłuż których niebezpiecznym szlakiem prowadziła ich Jana – Czerwony Kwiat Zoramu.

Jana zobaczyła jak się wspinają i wiedząc, że podążają jej tropem, wyprostowała się, by mogli ją zobaczyć. Jej prosty, miękki przyodziewek zrobiony ze skór młodych taragów zafalował wokół jej nagich nóg, na wpół odsłaniając, na wpół zakrywając urocze krągłości jej dziewczęcej figury. Słońce wiecznego południa skąpywało swymi promieniami jej jasnobrązową skórę, lśniącą od linii obnażonych, doskonałych ramion i przydawało złocistego blasku jej włosom, które

czasem wydawały się brązowe, a kiedy indziej miedziane. Były luźno upięte z tyłu głowy i przytrzymywane za pomocą smukłych, wydrążonych kości dimorfodona, niedużego, długoogoniastego kuzyna thipdara. Górne końce tych kościanych szpilek zdobiły bogate rzeźbienia, niektóre z nich kolorowe. Opaska z miękkiej, barwionej skóry opinała jej czoło, a dodatkowymi ozdobami, jakie nosiła były bransolety na przeguby i kostki, zrobione z kręgów niedużych zwierzątek, nanizanych na skórzane rzemyki. Także te kręgi były rzeźbione i barwione. Nosiła mocne sandały, na podeszwie ze skóry mastodonta, a jej opaskę, pośrodku zdobiło pojedyncze piórko.

Przy biodrze miała krzemienisty nóż, a w ręku lekką włócznię. Schyliła się i podniosła nieduży ułomek skały, po czym cisnęła nim w Skruka i jego kompanów.

— Wracajcie na swoje bagna, jaloki z nizin! – zawołała. – Czerwony Kwiat Zoramu nie jest dla was. – Po czym odwróciła się i pobiegła dalej pod górę po granitowym stoku.

Na lewo miała Zoram, ale od miasta dzieliła ją wielka rozpadlina. Szła wzdłuż jej krawędzi, niekiedy niebezpiecznie blisko urwiska, ale otchłań rozciągająca się poniżej jej nie przerażała.

Przez cały czas szukała sposobu na zejście na dół, bo wiedziała, że gdyby to jej się udało, mogłaby zawrócić do Zoramu. Jednak pionowe ściany wznoszące się na wysokość dwóch tysięcy stóp, na przestrzeni stu stóp nie oferowały dogodnych punktów oparcia dla dłoni i stóp.

Gdy obeszła szczyt grani, dostrzegła rozciągającą się poniżej połąć rozległej równiny, krainy której nigdy dotąd nie widziała – i zrozumiała, że przekroczyła masyw górski a teraz patrzyła na krainę znajdującą się poza nim. Rozpadlina, wzdłuż której



szła rozszerzała się poniżej w wielki wąwóz prowadzący do podnóża gór, na ową niezmierną równinę. Zbocza niższych gór były zalesione a hen za równiną ciągnęła się ogromna puszcza.

To był nowy świat dla Jany z Zoramu, ale nie wydawał się jej kuszący. Nie przyzywał jej, bo wiedziała, że w tamtejszych lasach i na równinach roiło się od dzikich bestii i jeszcze dzikszych mężczyzn z nizin.

Po prawej miała góry, które okrążała, po lewej zaś głęboką rozpadlinę, a za nią byli Skruk i jego trzech kompanów. Przez chwilę obawiała się, że znalazła się w pułapce, ale po przejściu kilku jardów zobaczyła, że pionowa ściana kanionu ustąpiła miejsca skłębionej masie pogruchotanych półek skalnych. Nie wiedziała czy zdoła zejść tamtędy na dół, ale miała taką nadzieję.

Często przystając w poszukiwaniu dogodnego zejścia do wąwozu, Jana straciła sporo cennego czasu i nagle zorientowała się, że jej prześladowcy są coraz bliżej, nieomal tuż za nią. Ruszyła żwawo naprzód, przeskakując z kamienia na kamień, podczas gdy tamci przyspieszyli i potykając się rzucili się za nią w pogoń, przekonani, że już wkrótce ją złapią.

Jana spojrzała w dół i sto stóp niżej zobaczyła skłębioną masę granitu, która odpadła od szczytu skały, tworząc szeroką półkę. Tuż nad nią widać było wystającą krawędź skalnego nawisu.

Obejrzała się przez ramię. Skruk pojawił się właśnie w zasięgu jej wzroku. Biegł ciężkim truchtem i jeszcze ciężiej sapał, ale był bardzo blisko i musiała szybko podjąć decyzję.

Pozostało jej tylko jedno wyjście – musiała zaryzykować zejście po skałach, albo spotka ją niechybna śmierć. Zarzuciła sobie na szyję skórzaną pętlę przymocowaną o stopę poniżej

grotu włócznie. Zawieszając włócznie na plecach, zsunęła nogi poza krawędź urwiska i ześlizgnęła się w dół. Może na licu skały znajdzie oparcie dla dłoni i stóp, a może nie. Spojrzała w dół. Lico skały było szorstkie i wcale nie pionowe, lecz wyginało się nieznacznie w kierunku masywu. Zaczęła szukać i wkrótce pod palcami stóp namacała występ, który mógł utrzymać jej ciężar.

Dopiero wtedy rozluźniła chwyt na krawędzi urwiska i jedną ręką zaczęła szukać jakiejś szczeliny, gdzie mogłaby wsunąć palce, albo występu, za który mogłaby schwycić.

Musiała działać szybko, bo powyżej słychać już było tupot kroków nadbiegających Pheliańczyków. Znalazła występ, na którym zdołała zacisnąć palce i choć był niewielki, gorszy był koszmar zbliżających się nieubłagane Pheliańczyków i potencjalna śmierć, jaka czekałaby ją, na dnie rozpadliny.

Puściła drugą rękę, zaciśniętą na krawędzi urwiska i wolno zaczęła opuszczać się po skale, poszukując drugą stopą kolejnego oparcia. Znalazła jeden punkt oparcia dla stóp, potem drugi i trzeci, aż doszedł ją głośny harmider powyżej, i kiedy uniosła wzrok zobaczyła tuż nad sobą włochatą gębę Skruka.

— Przytrzymajcie mnie za nogi – zawołał do swoich kompanów, rzucając się równocześnie płasko na kamienie u brzegu rozpadliny, a kiedy wykonali jego polecenie, sięgnął długą, włochatą łapą w dół, by pochwycić Janę; dziewczyna była gotowa rzucić się w przepaść gdyby Skruk zdołał jej dosięgnąć. Wciąż patrząc w górę zobaczyła, że pięść Pheliańczyka zawisa o kilka cali od jej twarzy.

Wyciągnięte palce mężczyzny musnęły jej włosy. Jedną stopą namacała występ skalny i opuściła się nań, aby uniknąć pochwycenia. Skruk był wściekły, ale jeden rzut oka

na uniesione ku górze, zwrócone w jego stronę oblicze dziewczyny, od której tak niewiele go dzieliło, wystarczył, by umocnić w nim determinację i chęć jej zdobycia. Nie było takiego poświęcenia, na jakie by się nie zdobył, by spełnić swe najskrytsze pragnienie, kiedy jednak spojrzął w dół tej strasznej rozpadliny, jego dzikie serce przepełniła trwoga o cenę, jaką mógłby być zmuszony zapłacić za spełnienie swoich pragnień. Wydawało się niewiarygodne, aby zdołała zejść tak nisko, nie odpadając przy tym od ściany, a ona wciąż schodziła coraz niżej. Wiedział, że on i jego kompani nie mogli pójść tą samą drogą co ona, a gdyby spróbowali jej zagrozić mogłaby zostać zmuszona do większego pośpiechu, co przypieczętowałoby jej zgubę.

Mając to na uwadze, Skruk podniósł się z ziemi odwrócił do swych towarzyszy.

— Znajdziemy łatwiejszą drogę na dół – oznajmił półgłosem, po czym zawołał do Jany: – Pokonałaś mnie, góralko – rzucił. – Wrócę teraz do Pheli, na nizinie. Ale jeszcze wrócę i wezmę cię, byś została moją kobietą.

— Oby thipdary dopadły cię i wyrwały serce nim zdołasz wrócić do Pheli – odkrzyknęła Jana. Skruk nie odpowiedział i zauważyła, że zawrócili tą samą drogą, którą tu dotarli, nie wiedziała jednak, że tamci rozglądali się już za prostszym sposobem dotarcia na dno wąwozu, do którego schodziła, ani że słowa Skruka były jedynie fortelem mającym wzbudzić w niej fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Jana natychmiast zwolniła, ostrożnie odnajdując drogę w dół, po skalnej ścianie aż do pierwszej półki popękanego granitu. Tu, szczęśliwym zrzędzeniem losu znalazła jajo thipdara, które pozwoliło jej zarówno najeść się i napić.

Zejsście na dno wąwozu było długie i powolne, ale w końcu dziewczyna dopięła swego, a tymczasem Skruk i jego kompani znaleźli łatwiejszą drogę i zeszli do parowu o kilka mil dalej.

Po dotarciu na dno kanionu, Jana nie bardzo wiedziała co ma robić dalej. Instynkt podpowiadał jej, by skręciła i zawróciła pod górę, zmierzając w stronę Zoramu, ale rozsądek podpowiadał, że powinna zejść niżej, omijając podnóże góry, po lewej i poszukać prostszej drogi powrotnej. Dlatego niespiesznie ruszyła w dół, w stronę kotliny, podczas gdy z tyłu za nią podążało czterech mężczyzn z Pheli.

Ściana wąwozu po lewej, choć nieustannie się obniżała, w miarę jak Jana schodziła coraz dalej w dół, wciąż stanowiła nie lada przeszkodę, którą łatwiej byłoby obejść niż sforsować, toteż dziewczyna kontynuowała zejście w stronę wylotu wąwozu, który łączył się z przepiękną, rozległą kotliną.

Nigdy dotąd, w całym swoim życiu, Jana nie zbliżyła się tak bardzo do terenów nizinnych. Nigdy dotąd nie wyobrażała sobie, że niziny mogą wyglądać tak pięknie, zawsze bowiem mówiono jej, że to okropne miejsce, nie nadające się do życia dla dumnych, krzepkich górskich plemion. Urokliwe pejzaże i nowe, kuszące miejsca jawiące się jej oczom obudziły w niej ducha przygody i zapuściła się dalej w głąb kotliny niż to było konieczne.

Wtem jej uwagę przykuł dziwny dźwięk dochodzący z góry, osobliwy nowy odgłos w tym dzikim świecie – i kiedy uniosła wzrok, zobaczyła stworzenie, które było jego autorem.

Wielki thipdar, albo przynajmniej coś co wyglądało jak on, zawodząc przeciągle mknął w powietrzu, wysoko ponad jej głową. Ale cóż to był za thipdar! Nigdy w życiu nie widziała równie wielkiego osobnika.

W tej samej chwili ujrzała drugiego thipdara, znacznie mniejszego, unoszącego się nad pierwszym. Wtem ten mniejszy zanurkował i rzucił się na upatrzoną ofiarę. Usłyszała ciche trzaski i zgrzyty, a potem dwa walczące stworzenia runęły w dół. Równocześnie ujrzała jak coś oddzieliło się od tej zwartej masy i kiedy dwie istoty częściowo wspierane skrzydłami tej większej, zaczęły opadać w dół, po rozszerzającej się spirali, z tym czymś co się od nich oddzieliło, stała się rzecz niesłychana. Coś z tego wyleciało i rozpostarło się nad tym w powietrzu, coś, co wyglądało jak ogromna purchawka i nagle to coś przestało szybko opadać, a miast tego powoli, leniwie spływało w dół, kołysząc się lekko na boki, tak jak to bywało z ciężkimi kamieniami, gdy przywiązać do nich rzemień z jeleniej skóry, co Jana miała okazję ujrzeć na własne oczy.

Kiedy dziwna opadająca rzecz zbliżyła się do niej, oczy Jany aż rozszerzyły się ze zdumienia i zgrozy, bo zorientowała się, że tym co wisiało w powietrzu przed nią było ciało mężczyzny. Jej lud hołdował niewielu zabobonom, nie zbliżył się do cywilizacji na tyle, by rozwinęło się w nim kapłaństwo, ale to czego była świadkiem wykraczało poza wszelkie logiczne wyjaśnienia.

Widziała jak dwa wielkie, latające gady walczą ze sobą w powietrzu, a potem z jednego z nich wyleciał człowiek. To było niesamowite, ale przede wszystkim przerażające. Dlatego Jana – Czerwony Kwiat Zoramu zareagowała w najbardziej naturalny sposób – biorąc nogi za pas.

Pobiegła w stronę wąwozu, ale nim pokonała dłuższy dystans na jej drodze pojawił się Skruk i jego kompani.

Oni także widzieli powietrzną walkę i to coś, co spłynęło na ziemię i choć nie mieli pojęcia co to było, przerażili się. Już

mieli uciec, gdy nagle Skruk spostrzegł biegnącą w ich stronę Janę. W jednej chwili zapomniał o wszystkim, skupiony tylko na jednym pragnieniu – aby ją zdobyć i wywrzaskując gardłowo rozkazy do swoich przerażonych kompanów poprowadził ich ku dziewczynie.

Gdy Jana ich spostrzegła, skręciła w prawo i próbowała ich ominąć, ale Skruk posłał jednego z towarzyszy aby ją przechwycił, a gdy skręciła w drugą stronę, cała czwórka odcięła jej drogę ucieczki.

Nie chcąc wpaść w łapy Skruka, Jana znowu zawróciła, w stronę doliny, a w ślad za nią pobiegło czterech krępych, włochatych mężczyzn z Pheli.

W chwili gdy Jason Gridley pociągnął za linkę wyzwalającą jego spadochron, fragment ułamanego śmigła trafił go, na szczęście nie z pełną siłą, w głowę, i kiedy odzyskał przytomność, stwierdził, że leży na porośniętej bujną trawą łące u wylotu kotliny, w miejscu gdzie kręty wąwóz ciągnący się przez masyw strzelistych wzgórz wychodził na połąć bardziej wyrównanego terenu.

Rozczarowany katastrofalnym zakończeniem swych daremnych poszukiwań zaginionych towarzyszy, Gridley wstał i uwolnił się z uprzęży spadochronu. Z niejaką ulgą stwierdził, że nie odniósł poważniejszych obrażeń, poza lekkim otarciem na skroni.

Martwił się przede wszystkim o maszynę i choć wiedział, że musiała się rozbić, wbrew wszystkiemu łudził się nadzieją, iż zdoła przynajmniej uratować z wraku strzelbę i zapas amunicji. Ledwie jednak o tym pomyślał, gdy jego uwagę przykuły głośne okrzyki, ujadanie i powarkiwanie. Popatrzył w prawo. Na niewielkim wzniesieniu, niedaleko od niego

dostrzegł cztery dzikie pellucidarskie psy. Te stworzenia, znane paleontologom z zewnętrznego świata jako hienodony, przez ludy Pellucidaru nazywane były jalokami. Wielkości rosłych mastiffów, miały krótkie lecz silne łapy, szerokie szczęki rozdziawione w groźnym grymasie, i wypełnione wyjątkowo groźnymi zębiskami.

Gdy je spostrzegł, Jason zdał sobie sprawę, że ich uwaga nie była skupiona na nim – bo najwyraźniej jeszcze go nie zauważyły – i kiedy popatrzył w tę samą stronę co one, zdumiał się, ujrawszy dziewczynę, biegnącą co sił w nogach w ich stronę, a w niewielkiej odległości za nią czterech mężczyzn, którzy najwyraźniej ją gonili.

Gdy groźne powarkiwania jaloków przerwały względną ciszę tego miejsca, dziewczyna przystanęła i jak można się było zorientować, dopiero teraz zdała sobie sprawę z nowego zagrożenia. Popatrzyła na hienodony, a potem na swoich prześladowców.

Hienodony truchtały niespiesznie w jej stronę. Dziewczyna rozpaczliwie rozglądała się dokoła. Miała już tylko jedną drogę ucieczki i gdy spojrzała w tym kierunku, jej wzrok padł na Jasona Gridleya, a wtedy zawahała się i znowu przystanęła. Mężczyzna zdał sobie sprawę co musiało być powodem jej rozterek. Zagrożenie zbliżało się do niej z tyłu i z dwóch stron, ale tych wrogów znała, zaś jedyną dostępną dla niej drogę ucieczki blokował ktoś, kto także mógł okazać się jej nieprzychylny.

Działając odruchowo i zgodnie z kodeksem obowiązującym wśród jego gatunku, Gridley pobiegł w stronę dziewczyny, wykrzykując słowa zachęty i gestami przywołując do siebie.

Skruk i jego kompani zbliżali się do niej z tyłu i od prawej, z lewej zaś nadciągały jaloki. Zawahała się jeszcze przez moment, po czym wybierając raczej nieznaną niż nieuchronną zgubę czekającą ją czy to ze strony Pheliańczyków czy też jaloków, odwróciła się i pobiegła w stronę Gridleya, a w ślad za nią podążyły cztery hienodony i czterech mężczyzn.

Gdy Gridley wybiegł dziewczynie naprzeciw, wyjął jeden ze swoich rewolwerów, ciężkiego colta kaliber 45.

Hienodony rzuciły się do ataku, a przywódca był tuż za dziewczyną. W pewnej chwili Jana potknęła się i upadła, ale Jason zaraz znalazł się przy niej, jednak dzikie bestie dotarły tak blisko nich, że kiedy Jason strzelił, ciało hienodona spadło i znieruchomiało w poprzek, na ciele dziewczyny. Huk wystrzału, zaskakujący dźwięk, do którego żadne z nich nie przywykło, sprawił że pozostałe hienodony nagle się zatrzymały, podobnie jak czterej mężczyźni, którzy na rozkaz Skruka przyspieszyli kroku, by wyrwać dziewczynę z łap dzikich bestii.

Zwalając truchło jaloka z ciała jego niedoszej ofiary, Jason podźwignął dziewczynę na nogi, a ona w tej samej chwili wyszarpnęła z pochwy krzemienny nóż. Jason Gridley nie wiedział jak bliski był śmierci w tej chwili.

Dla Jany każdy mężczyzna prócz mężczyzn z Zoramu był naturalnym wrogiem. Pierwsze prawo natury nakazywało jej zabić, aby samemu nie zostać zabita, ale w ułamku sekundy, zanim zdążyła zatopić ostrze w jego ciele, dostrzegła w oczach tego mężczyzny i w wyrazie jego twarzy coś, czego nigdy dotąd nie zobaczyła w oczach ani obliczu innego mężczyzny. Zrozumiała bez słów, że nieznajomemu chodziło wyłącznie o jej bezpieczeństwo i pragnął raczej się z nią zaprzyjaźnić niż



wyrzucić jej krzywdę i choć tak jak jaloki i Pheliańczycy, wystraszyła się głośnego huk i dymu jaki buchnął z dziwnego kija tkwiącego w jego dłoni, zrozumiała że to co zrobił, uczynił by ochronić ją przed jalokami.

Opuściła rękę z nożem do boku, a kiedy na twarzy nieznanego pojawił się uśmiech, Jana – Czerwony Kwiat Zoramu także odpowiedziała uśmiechem.

Stali tak jak wtedy gdy podźwignął ją z ziemi, obejmując ją lewą ręką i w obronnym geście zasłaniając ją swoim ciałem, przed wrogami, którzy, pokonawszy w sobie pierwszy lęk, szykowali się, by ponowić atak.

Dwa hienodony wszelako przeniosły swą uwagę na Skruka i jego towarzyszy, trzeci zaś, szczerząc kły, skradał się w stronę Jasona i Jany.

Pheliańczycy gotowi stawić czoło hienodonom zajęli pozycje w stosownej odległości jeden od drugiego, aby móc wprawnie posługiwać się swoimi maczugami. Kiedy bestie zaatakowały, dwaj mężczyźni cisnęli pałkami, a każdy z nich obrał za cel innego drapieżcę. Skruk cisnął swoją bronią z nieco większą celnością, gruchocząc przednią łapę bestii, która go zaatakowała i kiedy hienodon upadł, Skruk przyskoczył doń, zasypując łeb potwora gradem ciosów.

Pałka, którą ciśnięto w jedną z pozostałych bestii tylko lekko musnęła ją w bark, ale jej nie zatrzymała i w chwilę potem zwierz rzucił się na Pheliańczyka uzbrojonego teraz już tylko w prymitywny, krzemienny nóż. Jednak jego towarzysz, który zachował maczugę, na tego rodzaju sytuację awaryjną zamachnął się i uderzył z całych sił w dziką bestię, podczas gdy Skruk i drugi Pheliańczyk, uporawszy się ze swymi przeciwnikami pospieszyli kompanom w sukurs.

Dzika bitwa pomiędzy ludźmi i zwierzętami uszła uwadze Jasona skupionego wyłącznie na czwartym hienodonie, który zbliżał się, by zaatakować Amerykanina i jego towarzyszkę.

Jana, świadoma, że mężczyźni skupieni byli na atakujących ich bestiach, zdała sobie sprawę, że oto nadarza się dogodna okazja do ucieczki. Czuła obejmujące ją ramię nieznanego, ale trzymał ją lekko, tak, że bez trudu mogłaby mu się wyrwać. Jednak coś w sposobie w jaki ją obejmował sprawiło, że poczuła się przy nim bezpieczniej niż kiedykolwiek, odkąd opuściła jaskinie swego ludu – być może to instynkt ochronny, będący jedną z podstawowych cech mężczyzny mimowolnie wyzwolił w niej tę reakcję i ostatecznie zamiast uciec, postanowiła pozostać, stwierdzając, że przy nim będzie bezpieczniejsza.

W tej samej chwili czwarty hienodon zaatakował, głośno przy tym warcząc, a jego warkot zlał się w odpowiedzi z hukami colta. Stwór potknął się i runął, zatrzymany siłą ciężkiego pocisku, ale tylko na moment – bo zaraz znów się poderwał, oszalały z bólu, zdesperowany w obliczu śmierci. Krwawa piana ciekła mu z pyska, gdy rzucił się Jasonowi do gardła.

Colt przemówił raz jeszcze, a zaraz potem mężczyzna upadł pod ciężarem cielska wielkiej bestii. Równocześnie Pheliańczycy uporali się z drugą z bestii, która ich zaatakowała.

Jason Gridley był świadom wielkiego ciężaru, który go przygniatał i starał się wysunąć ku górze lewe ramię, by osłonić nim gardło, przed morderczymi szczękami hienodona, te jednak nie zaciśnęły na nim uchwytu, a kiedy Gridley wypełzł spod ciała wielkiej bestii i wstał, zobaczył dziewczynę próbującą wyszarpnąć włócznię, której krzemienisty grot tkwił głęboko w ciele jaloła.

Nie wiedział co uśmierciło bestię – cios włóczni czy ostatnie kule z rewolweru, ale był wdzięczny i pełen podziwu dla tej szczupłej dziewczyny, która zachowała się dzielnie pozostając u jego boku i bez cienia lęku czy wahania stawiała czoło tej dzikiej bestii.

Cztery jaloki były martwe, ale kłopoty Jasona Gridleya bynajmniej się na tym nie zakończyły, ledwie bowiem pozbierał się po starciu z drugą bestią gdy dziewczyna schwyciła go za rękę i wskazała na coś, co znajdowało się za nim.

— Oni nadchodzą – rzekła. – Zabiją cię, a mnie porwą. Och, nie pozwól aby mnie zabrali!

Jason nie zrozumiał ani słowa z tego co mówiła, ale po tonie głosu i wyrazie jej twarzy domyślił się, że bardziej niż hienodonów lękała się czterech mężczyzn, którzy właśnie się do nich zbliżali i kiedy odwrócił się w ich stronę, stwierdził, że miała po temu powody, gdyż mężczyźni z Pheli wydawali się równie brutalni i dzicy jak hienodony, a w ich postawie i wyglądzie nie było nic wzniosłego czy imponującego, jak to niekiedy bywa u dzikich drapieżców, lecz tego rodzaju rzeczy dostrzega się jedynie, gdy porównuje się istotę ludzką z przedstawicielami tak zwanych niższych poziomów ewolucji.

Gridley uniósł rewolwer i wycelował w najbliższego Pheliańczyka, którym okazał się ktoś inny niż Skruk.

— Spadajcie! – powiedział. – Wasze gęby przerażają tę młodą damę.

— Ja Gluf – rzekł Pheliańczyk. – Ja zabiję.

— Gdybym mógł cię zrozumieć, pewnie zgodziłbym się z tobą – odparł Jason – ale wasze gęste bokobrody i mikroskopijne czoła świadczą, że macie niewiele oleju w głowie.

Nie chciał go zabić, ale wiedział, że nie mógł pozwolić, aby tamten podszedł za blisko. Jeśli jednak on sam miał jakieś opory co do zabijania, dziewczyna najwyraźniej nie podzielała jego zahamowań, bo mówiła bez przerwy, ewidentnie nakłaniając go do działania a kiedy zorientowała się, że jej nie rozumiał, dotknęła brązowym palcem wskazującym jego pistoletu, po czym znacząco wskazała na Glufa.

Tamten był teraz o piętnaście kroków od nich, a Jason zdał sobie sprawę, że jego kompani zaczęli go okrążyć. Wiedział, że musi coś zrobić i to natychmiast, po czym wiedziony pobudkami natury humanitarnej, wypalił z colta, celując ponad głowami zbliżających się Pheliańczyków. Suchy trzask wystrzału sprawił, że tamci czterej zastygli w bezruchu, ale gdy uświadomili sobie, że żaden nie został ranny, zaczęli głośno podrwiwać, szydzić i rzucać inwektywami, zaś Gluf, wiedziony wyłącznie pragnieniem pochwylenia dziewczyny, aby wraz z towarzyszami móc wreszcie wrócić do Pheli, postąpił naprzód, zamachując się groźnie maczugą. Wtedy też Jason Gridley oddał drugi, tym razem już celny strzał. Gluf stanął jak wryty, zeszywniał, obrócił się na pięcie i upadł bezwładnie na twarz.

Kierując broń w stronę pozostałych Pheliańczyków, Gridley wypalił ponownie, bo zdał sobie sprawę, że te groźne pałki na krótki dystans były równie skuteczne jak jego colt. Kolejny Pheliańczyk padł martwy, a wówczas Skruk i jego jedyny pozostały przy życiu kompan, odwrócili się i rzucili do ucieczki.

— No cóż – rzekł Gridley, taksując wzrokiem ciała czterech hienodonów i dwóch mężczyzn – to wspaniały, mały kraj, ale jakoś nie przypuszczam, aby ktoś mógł żyć tu dość długo, aby się tym nacieszyć.

Jana, Czerwony Kwiat Zoramu stała patrząc na niego z podziwem. Wszystko w tym nieznanym wzbudzało jej zainteresowanie, potęgowało ciekawość i pobudzało wyobraźnię. Pod żadnym względem nie przypominał innego znanego jej mężczyzny. Jego ubranie też było obce. Podobnie jak broń, która buchała ogniem i dymem, przy wtórze głośnego huk, który wprawił ją w oszołomienie i strach, ale chyba najbardziej zdumiał ją fakt, że ani trochę nie obawiała się tego mężczyzny. Strach przed obcymi nie tylko był u niej wrodzony, ale od wczesnego dzieciństwa uczono ją, że ze strony mężczyzn nie należących do jej plemienia może spodziewać się wszystkiego co najgorsze i powinna uciekać przed nimi, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Być może zjednał ją sobie uśmiechem, albo szczerością spojrzenia, które wzbudziło w niej natychmiastową ufność i przekonanie. Jakkolwiek by nie było, fakt pozostaje faktem, że Czerwony Kwiat Zoramu nie próbowała uciec od Jasona Gridleya, który całkiem zagubił się w tym dziwnym świecie, co samo w sobie było rzeczą dość smutną, bez konieczności dodawania, że teraz jeszcze na jego barki spadła odpowiedzialność za ochronę dziwnej, młodej kobiety, która nie rozumiała nic z tego co do niej mówił i której słów on także nie pojmował.

## JANA I JASON

Tar-gash i Thoar patrzyli z zadziwieniem na wrak samolotu, a Tarzan pospiesznie przeszukał go, poszukując ciała pilota. Człowiek-małpa odetchnął z ulgą stwierdziwszy że w maszynie nie było ciała, a w chwilę potem odkrył ślady stóp na ziemi, po drugiej stronie wraku – odciski obutych stóp, które musiały z całą pewnością należeć do Jasona Gridleya. To upewniło go, że Amerykanin nie zginął, ani nie doznał poważniejszych obrażeń przy upadku. Zaraz potem odkrył coś jeszcze, co wprawilo go w spore zakłopotanie. Obok śladów Gridleya, ujrzał inne, mniejsze odciski stóp obutych w sandały.

Nie potrzebował wiele czasu, by ustalić, że dwie osoby – Gridley i najwyraźniej jakaś kobieta z jednego z pellucidarskich plemion, która mu towarzyszyła, podeszli do samolotu, po tym jak maszyna się rozbiła, spędzili jakiś czas w jego pobliżu, po czym zawrócili w stronę skąd przyszli. Jako że trop był wyraźnie widoczny, Tarzanowi nie pozostało nic innego, jak tylko podążyć za nim.

Dowody wskazywały na to, że Jason Gridley został zmuszony do opuszczenia maszyny jeszcze w powietrzu i wyskoczył bezpiecznie na spadochronie, ale gdzie i w jakich okolicznościach zetknął się ze swoją towarzyszką, Tarzan nawet nie próbował zgadywać.

Trudno mu było odciągnąć Thoara od aeroplanu, ta dziwna rzecz tak pobudziła jego ciekawość, że nie chciał odejść

od maszyny, zadając dziesiątki pytań na jej temat.

Reakcja Tar-gasha była odmienna. Popatrzył na samolot, ze zdawkowym zaciekawieniem, po czym zapytał krótko:

— Co to jest?

— To jest to co przeleciało nad nami, i co wzięłeś za latającego gada – odparł Tarzan. – Powiedziałem wtedy, że jest w tym jeden z moich przyjaciół. Coś się stało i ta rzecz spadła, ale mój przyjaciel uszedł cało.

— To nie ma oczu – zauważył Tar-gash. – Jak może widzieć, aby móc latać?

— To nie było żywe – odparł Tarzan.

— Słyszałem jak warczało – stwierdził Sagoth, wciąż przekonany, że to jakaś dziwna forma żywej istoty.

Przeszli kawałek po śladach pozostawionych przez Gridleya i Janę, po tym jak opuścili samolot i napotkali zwłoki większego pteranodona. Miał zmiażdżony i pokiereszowany łeb, prawie oddzielony od reszty ciała, a z czaszki sterczały odłamki gładkiego drewna – drzazgi, które Tarzan rozpoznał jako fragmenty śmigła aeroplanu – i w jednej chwili zrozumiał co było powodem rozbicia się maszyny Gridleya.

Pół mili dalej cała trójka natknęła się na kolejne dowody, niektóre dość zaskakujące. Na ziemi tam gdzie spadł, walał się rozwinięty, otwarty spadochron, a w niewielkiej odległości od niego spoczywały zwłoki czterech hienodonów i dwóch włośchatych mężczyzn.

Oględziny zwłok upewniły, że obaj mężczyźni i dwa hienodony zginęli od kul. Wszędzie wokół ziemia była zdeptana i dało się na niej dostrzec ślady sandałów towarzyszkii Jasona. Czujne oko Tarzana bez trudu rozpoznało, że dwaj mężczyźni, tubylcy musieli brać udział w walce jaka się tu rozegrała.

O tym, że obaj zabici pochodzili z tego samego plemienia świadczyły odciski ich sandałów, identycznego kroju, podczas gdy obuwie towarzyszkii Gridleya wyglądało całkiem inaczej.

Gdy tak krążyli, w poszukiwaniu dalszych dowodów, zauważył, że dwaj mężczyźni, którzy uciekli, pobiegli szybko w stronę wąwozu, pokonując pewien dystans, a kiedy ci się oddalili, Jason i jego towarzyszka udali się zapewne na poszukiwanie samolotu. Później wrócili na miejsce walki, po czym oni także skierowali się w stronę gór, jednak skręcając wyraźnie w prawo, w przeciwieństwie do umykających tubylców.

Thoar także był żywo zainteresowany śladami, pozostawionymi przez uczestników bitwy nieopodal spadochronu, ale nic nie powiedział, dopóki Tarzan nie zakończył swoich oględzin.

— Było tu czterech mężczyzn i kobieta, lub młody chłopiec towarzyszący memu przyjacielowi – powiedział Tarzan.

— Ci czterej to Pheliańczycy z nizin – rzekł Thoar – a ta kobieta pochodzi z Zoram.

— Skąd wiesz? – zapytał Tarzan, który zawsze lubił pogłębiać swoją wiedzę.

— Sandały tych z nizin nigdy nie są tak dopasowane do stopy jak obuwie plemion z gór – wyjaśnił Thoar – a podeszwa jest zwykle dużo cieńsza, wykonana ze skóry thaga, która nadaje się głównie dla ludów wędrujących po miękkiej trawie albo po terenach bagiennych. Sandały ludzi gór mają podeszwę z grubej skóry Maja, kuzyna Tandora. Jeśli przyjrzy się śladom, zauważy, że w ogóle nie są znoszone, podczas gdy w podeszwach sandałów tych Pheliańczyków widać parę dziur.

— Czy jesteśmy blisko Zoram? – spytał Tarzan.



— Nie – odparł Thoar – Zoram leży za najwyższym masywem górskim, na wprost nas.

— Kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy, Thoarze, powiedziałaś mi, że pochodzisz z Zoramu.

— Tak, to moja kraina – odparł Thoar.

— Wobec tego może ta kobieta to ktoś, kogo znasz?

— To moja siostra – odrzekł Thoar.

Tarzan z Małp spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Skąd wiesz? – zapytał.

— Odnalazłem odcisk w miejscu, gdzie nie było trawy, tylko miękka ziemia i ślad był tak wyraźny, iż bez trudu rozpoznałem jej sandały. Znam jej wyroby tak dobrze, że potrafię je rozpoznać po samych tylko szwach, w miejscu gdzie podeszwa łączy się z górną częścią sandała, a poza tym dostrzegłem wręby, które wskazują na rodzaj plemienia. Lud Zoramu ma trzy wręby w dolnej części lewej podeszwy nieco poniżej dużego palucha.

— Co twoja siostra mogła robić tak daleko od swojej krainy i czemu jest z moim przyjacielem?

— To całkiem proste – odrzekł Thoar. – Ci mężczyźni z Pheli próbowali ją porwać. Jeden z nich chciał wziąć ją na swoją kobietę, ale ona wymknęła się im, po czym była przez nich ścigana przez Góry Thipdarów, aż w tę dolinę, gdzie osaczyły ją jaloki. Zjawił się mężczyzna z twojej krainy, zabił jaloki i dwóch Pheliańczyków, zmuszając dwóch pozostałych do ucieczki. To oczywiste, że moja siostra nie zdołała mu uciec i została jego więźniem.

Tarzan z Małp uśmiechnął się.

— Tropy nie wskazują, aby próbowała mu uciec – stwierdził.

Thoar podrapał się po głowie.

— To prawda – odrzekł – i nie rozumiem, tego, bo kobiety z mojego plemienia nie zadają się z mężczyznami z innych plemion, i wiem doskonale, że moja siostra, Jana wolałaby umrzeć niż połączyć się z mężczyzną spoza Gór Thipdarów. Wielokrotnie to powtarzała, a Jana nie rzuca słów na wiatr.

— Mój przyjaciel nie wziąłby jej siłą – rzekł Tarzan. – Jeżeli z nim poszła, to tylko z własnej woli. I wydaje mi się, że gdy ich odnajdziemy, przekonasz się, że on po prostu odprowadza ją z powrotem do Zoramu, bo jest z tych mężczyzn, co nie pozwoliliby, aby kobieta wędrowała sama, bez ochrony.

— To się okaże – mruknął Thoar – ale jeśli wziął Janę wbrew jej woli, będzie musiał umrzeć.

Gdy Tarzan, Tar-gash i Thoar szli dalej tropem Jasona i Jany, grupka przygnębionych mężczyzn obeszła właśnie kraniec masywu Gór Thipdarów, pięćdziesiąt mil na wschód od nich, i weszła na Gyor Cors, czyli Wielkie Równiny Gyorów.

Grupa składała się z dziesięciu czarnych wojowników i jednego białego, lecz bez wątpienia nigdy w całej historii ludzkości, jedenastu mężczyzn nie było bardziej zagubionych i załamanych niż ta ekipa.

Muviro i jego wojownicy, najlepsi zwiadowcy w dziejach, byli przybici i zdruzgotani tym, że nie potrafili skutecznie odnaleźć drogi powrotnej do sterowca.

Spłoszone zwierzęta ogarnięte dziką paniką, przed którymi z trudem zdołali ująć z życiem, i w sumie chyba udało to się im cudem, do reszty zdeptały wszystkie ślady pozostawione wcześniej przez ekspedycję, i choć byli przekonani, że nie oddalili się zbyt daleko od polany, na którą taragi zagnały roślinożerców, nie potrafili jej odnaleźć, a teraz błakali się bezradnie i zgodnie z zaleceniami von Horsta, starali się

przebywać jak najwięcej na otwartej przestrzeni w nadziei, że przelatujący O-220 zdoła ich wypatrzeć. Von Horst bowiem był przekonany, że prędzej czy później, jego towarzysze wyruszą na ich poszukiwanie.

Na pokładzie O-220 coraz większy niepokój o bezpieczeństwo trzynastu zaginionych członków załogi zmienił się w przekonanie, że musiało dojść do katastrofy, kiedy Gridley nie wrócił w wyznaczonym przez siebie limicie czasu, przez jaki był w stanie utrzymywać samolot zwiadowczy w powietrzu.

Wtedy to Zuppner wysłał Dorfa z kolejną grupą poszukiwawczą, ale przed upływem siedemdziesięciu godzin powróciła ona donosząc o całkowitym fiasku wyprawy. Udało im się dotrzeć po śladach do polany, gdzie szakale pożywiały się gnijącym ściervem, ale nie napotkali żadnych innych tropów mających sugerować w którą stronę udali się ich towarzysze.

Każda z ekip poszukiwawczych była tak często atakowana przez dzikie zwierzęta, zaś ataki taragów były tak bezlitosne i zuchwałe, że Dorf w rozmowie z Zuppnerem stwierdził iż jego zdaniem, do tej pory pozostali, zaginieni członkowie wyprawy musieli paść ofiarą wielkich kotów.

— Dopóki nie napotkamy dowodów na potwierdzenie tej teorii, nie wolno nam tracić nadziei – odparł Zuppner – ani nie możemy rezygnować z dalszych prób ich odnalezienia, żywych lub martwych, a z całą pewnością nie znajdziemy ich, pozostając tutaj.

Nic już nie mogło opóźnić ich startu. Podczas gdy silniki się rozgrzewały, wciągnięto kotwicę, a z dolnych zbiorników próżniowych spuszczone powietrze. Kiedy wielki statek oderwał się od ziemi, Robert Jones odnotował w swoim

zatłuszczonym, wyświechtanym notesie – Odlecieliśmy stąd w południe.

Kiedy Skruk i jego towarzysz poddali tyły, pozostawiając zwycięskiego Jasona na polu walki, ten ostatni schował sześćostrzałowca do kabury i spojrzał na dziewczynę.

— No dobra – rzucił – i co teraz?

Pokręciła głową.

— Nie rozumiem cię – rzekła. – Nie mówisz językiem gilaków. Jason podrapał się w głowę.

— W tym cały problem – powiedział – i wygląda na to że nie możemy liczyć na miłą i satysfakcjonującą pogawędkę dopóki nie będziemy rozumieć się nawzajem. Zamierzam poszukać mojej maszyny i modłę się w duchu, aby mój karabin oraz cała amunicja ocalały. Podejrzewam, że samolot się nie zapalił, bo musiał spaść niedaleko, a nie widziałem dymu.

Jana słuchała z przejęciem i pokręciła głową.

— Chodź – powiedział Jason i zaczął iść w stronę, gdzie mogła spaść jego maszyna.

— Nie, nie w tę stronę – zawołała Jana, podbiegając i chwytając go za ramię, aby go zatrzymać, po czym wskazała w stronę wysokich szczytów Gór Thipdarów, gdzie leżało Zoram.

Jason podjął się trudnej próby wytłumaczenia za pomocą wymyślnego przez siebie języka gestów, że zamierza poszukać swego samolotu, który spadł w pobliżu, uznał jednak, że byłoby to niełatwe, nawet gdyby osoba, którą starał się nakłonić do swego planu, wiedziała czym jest aeroplan, i koniec końców tylko uśmiechając się pogodnie, ujął dziewczynę za rękę i delikatnie poprowadził w stronę, w którą postanowił pójść.

Ten pogodny uśmiech znów rozbroił Janę i choć wiedziała, że nieznajomy prowadził ją w inną stronę niż ta, gdzie znajdowały się jaskinie jej ludu, dała się poprowadzić, nie stawiając oporu, choć czoło miała marsowe, gdy próbowała zrozumieć czemu nie bała się lecz zgodziła się pójść z tym nieznajomym, który przecież nie był nawet gilakiem, bo nie posługiwał się ich językiem.

Półgodzinne poszukiwania zostały nagrodzone odnalezieniem wraku samolotu, który odniósł znacznie mniejsze uszkodzenia niż spodziewał się Jason.

Najwyraźniej, spadając maszyna musiała wyrównać lot i wylądowała ślizgiem. Oczywiście była zniszczona tak, że o jej naprawie nie było mowy, nawet gdyby Gridley dysponował potrzebnymi częściami, ale nie zapaliła się, a Jason odzyskał swój karabin na grubą zwierzynę i cały zapas amunicji.

Jana była bardzo zainteresowana samolotem i obejrzała z uwagą każdą jego część. Nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie pragnęła zadawać pytań, tak jak teraz, bo nigdy dotąd nie widziała czegoś tak niezwykłego. I choć była w towarzystwie jedyne go człowieka, który mógł odpowiedzieć na jej pytania, nie była go w stanie zrozumieć. Przez chwilę prawie go znienawidziła, a wtedy on uśmiechnął się do niej, uścisnął jej dłoń, ona zaś natychmiast mu wybaczyła i odpowiedziała uśmiechem.

— Dokąd teraz? – zapytał Jason. – Jeżeli o mnie chodzi, każde miejsce jest równie dobre jak inne.

Zdając sobie sprawę że całkiem się zagubił, Jason podejrzewał że jedyną jego szansą na ponowne spotkanie z towarzyszami jest wypatrzenie przez O-220, jeżeli sterowiec wzbije się w powietrze i polecą tą samą trasą co on, a póki

co mógł udać się dokądkolwiek, każdy kierunek był równie dobry. W godzinę 0-220 mógł pokonać dystans, który on zdołałby przebyć w ciągu kilku ziemskich dni forsownego marszu. Tak więc nawet gdyby oddalał się od kotwiczowiska, sterowiec z łatwością mógłby go dogonić i prześcignąć, gdyby poszukiwania skierowały się właśnie w tę stronę. Gridley spojrzał więc pytająco na dziewczynę wskazując najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, próbując dać jej w ten sposób do zrozumienia, że jest gotów pójść w wybranym przez nią kierunku, Jana zaś, wyczuwając o co mu chodziło, wskazała w stronę strzelistych Gór Thipdarów.

— Tam – rzekła – leży Zoram, kraina mego ludu.

— Twoja logika jest bezbłędna – rzekł Jason – i bardzo chciałbym zrozumieć co mówisz, bo jestem pewien że ktoś kto ma tak piękne zęby nie może być nieciekawym.

Jana nie czekała by podyskutować na ten temat, lecz niezwłocznie ruszyła w kierunku Zoram, a obok niej maszerował Jason Gridley z Kalifornii.

Umysł Jany pracował na pełnych obrotach i dziewczyna doszła do wniosku, że nie zdoła długo znosić dręczącej ją niezaspokojonej ciekawości. Musiała znaleźć jakiś sposób porozumienia się z tym ciekawym nieznanym, a jedynym rozwiązaniem jakie przyszło jej na myśl, to nauczenie mężczyzny swego języka. Ale jak miała tego dokonać! Nie pamiętała, aby ona sama czy ktokolwiek z jej ludu miał kiedykolwiek okazję uczyć kogoś ich języka. Wcześniej nawet nie brała takiej ewentualności pod uwagę. Gdyby było inaczej, co wątpliwe, należałoby przyznać, że ta dziewczyna z epoki kamiennej cechowała się wyższą inteligencją.

To nie było przypadkowe rozwiązanie, lecz wymagało zdolności rozumowania. Daj maszynę parową komuś kto nigdy nie słyszał o parze i każ mu ją uruchomić – problem Jany był niemal równie trudny. Ale ogrom nagrody dodawał jej otuchy, któż bowiem nie pragnąłby zaspokoić ciekawości, zwłaszcza jeśli tym kimś jest młoda, piękna kobieta, a obiektem jej ciekawości – wyjątkowo interesujący młody mężczyzna. Stroje i mody mogą się zmieniać, ale nie ludzka natura.

I tak Czerwony Kwiat Zoramu wskazała na siebie smukłym, brązowym palcem wskazującym na siebie i powiedziała – Jana. Powtórzyła to kilka razy, po czym wskazała palcem na Jasona i uniosła brwi w pytającym geście.

— Jason – odparł, bez trudu zrozumiałwszy jej intencje.

I tak rozpoczęło się to powolne, żmudne zadanie, w miarę jak dwójka wędrowców maszerowała w stronę podnóża Gór Thipdarów.

Kiedy tak szli, w poszukiwaniu Zoramu, Jason miał większą okazję by przyjrzeć się swej towarzyszce i doszedł do wniosku, że natura osiągnęła szczyt fizycznej perfekcji w osobie tej małej dzikuski. Każda linia i krągłość tego smukłego, brązowego ciała była istnym peanem symetrii, ponieważ Czerwony Kwiat Zoramu była żywą poezją piękna. Jeżeli uważał, że miała piękne zęby, musiał przyznać iż równie uroczo prezentowały się jej oczy, nos czy reszta jej rysów twarzy. A kiedy dobyte krzemienne noża, aby pomóc mu oskórować zabitą zwierzynę i przygotować mięso do upieczenia, zręczność i wprawa jaką się wykazała, posługując się tym najprostszym i najbardziej prymitywnym narzędziem, czy niemal nadludzka pewność z jaką znajdowała gniazda z jajami albo jadalne owoce i warzywa, zdał sobie sprawę, że jej doskonałość nie była

jedynie fizyczna i coraz bardziej mu zależało, by zrozumieć jej język i móc się z nią porozumieć, choć miał świadomość, że może go czekać rozczarowanie i zawód, jeżeli dzięki znajomości języka odkryje ograniczenia jej umysłu.

Kiedy Jana się zmęczyła, szła pod drzewo i przygotowując sobie posłanie z traw, układała się na nim i natychmiast zasypiała, a kiedy ona spała, Gridley czuwał, bo w tym pierwotnym świecie zagrożeń nie brakowało i cały czas trzeba było mieć się na baczności. Równie często jak polował dla pożywienia, musiał używać broni by chronić ich oboje przed groźnymi zwierzętami, aż spotkania te stały się równie prozaiczne i powszednie jak ciągłe unikanie śmierci przez przechodniów na zatłoczonych ulicach miast, na zewnętrznej skorupie.

Kiedy Jason musiał się przespać, Jana czuwała, niekiedy zaś odpoczywali bez spania, zwykle pod jakimś drzewem, one bowiem gwarantowały najlepszą ochronę przed największym zagrożeniem, groźnymi, żarłocznymi thipdarami, od których wzięły nazwę te góry. Odrażające, latające gady stanowiły stałe zagrożenie, lecz natura wytworzyła przeciwko nim tak skuteczne środki ochrony, że dziewczyna częściej słyszała dochodzący z oddali trzepot błoniastych skrzydeł, niż którekolwiek z nich zdołało dostrzec jedną z tych istot.

Jason nie potrafił określić jak daleko zawędrowali ani jak długo wspinali się pod górę, ale był pewien, że musiało minąć sporo ziemskiego czasu odkąd spotkał tę dziewczynę, do momentu gdy natknęli się na, zdawałoby się nieprzebytą przeszkodę, gdyż do tej pory udało mu się osiągnąć spory postęp w posługiwaniu się jej językiem i ku uciesze Jany zaczęli nawet wymieniać pewne drobne zdania. Jana pogodnym



śmiechem kwitowała co bardziej rażące błędy w wymowie lub składni.

Teraz jednak dotarli do ogromnej rozpadliny, o stromych ścianach, której nawet Jana nie byłaby w stanie pokonać. Jason uznał, że mógł to być uskoki, powstały wskutek osiadania masywu, biegł on bowiem równoległe do głównej osi pasma górskiego.

Przez długi czas Jana szukała sposobu na zejście do rozpadliny. Nie chciała skręcić z lewo, bo w ten sposób zawróciłaby w stronę wąwozu do którego zeszła, kiedy ścigał ją Skruk ze swymi kompanami, i wiedziała jak trudne, niemal niemożliwe do sforsowania były pionowe ściany tego straszego parowu. Nie chciała pójść w lewo także z tego względu, żeby nie napotkać ponownie Pheliańczyków, dlatego poprowadziła Jasona w prawo i to po tej stronie szukała zejścia na dno rozpadliny.

Jason zrozumiał, że zejście zajmie im sporo czasu, ale z drugiej strony miał świadomość, że w Pellucidarze czas jako taki nie istniał. Nie stanowił on czynnika, z którym należało się liczyć – ponieważ go nie było, i gdy poważnie się nad tym zastanowił, trochę się zdziwił, że on, który zawsze był niewolnikiem czasu, z taką łatwością i w tak naturalny sposób przystosował się do panujących w Pellucidarze, osobliwych warunków. Nie chodziło tylko o kwestię czasu, i o to że się tu nie liczył, lecz o to, że jego brak wywierał znaczący wpływ na całe istnienie. Bez czasu nie było sposobu na zliczenie, ile trwa wykonanie takiej czy innej czynności, gdyż to w przyszłość patrzą niewolnicy czasu oczekując nagrody lub kary. Kiedy nie ma czasu, nie ma także przyszłości. Jason Gridley podobnie jak

Tarzan, urzeczony tą niezwykłą krainą przestał przejmować się losem swoich towarzyszy.

Co z nimi będzie to będzie, a on nic nie mógł na to poradzić. Nie było ich z nim a on nie mógł im w żaden sposób pomóc, a poza tym skoro tak trudno jest wyobrazić sobie przyszłość w krainie wiecznego południa, jak ktoś miałby snuć długoterminowe plany mające dotyczyć zarówno jego, jak i innych?

Jason Gridley przestał się tym zamartwiać, pokręcił głową i znalazł pocieszenie w kontemplowaniu profilu Czerwonego Kwiatu Zoramu.

— Czemu tak mi się przyglądasz? – zapytała dziewczyna, bo teraz mogli się już rozumieć nawzajem.

Jason Gridley trochę się zaczerwienił i pospiesznie odwrócił wzrok. Jej pytanie padło nagle i trochę go zaskoczyło. Skądinąd dopiero teraz zdał sobie sprawę, że faktycznie często na nią patrzył. Już miał odpowiedzieć, ale zmitygował się i nie odezwał się słowem. Czemu tak się jej przyglądał? Odpowiedź że robił to dlatego, iż była piękna, wydała mu się głupia.

— Czemu tego nie powiesz, Jasonie? – spytała.

— Ale czego? – odparował.

— Tego co jest w twoich oczach, kiedy na mnie patrzysz – odparła.

Gridley spojrział na nią ze zdumieniem. Chyba tylko skończony głupiec nie pojąłby, co próbowała w ten sposób zasugerować, a Jason Gridley bynajmniej się do nich nie zaliczał.

Czy to możliwe, że patrzył na nią w ten sposób? Czy kompletnie postradał rozum, podświadomie pozwalając sobie myśleć w ten sposób o tej małej barbarzyńce, która chwyciła

mięso obiema dłońmi i odrywała kawałki błyszczącymi, białymi zębami, która chodziła niemal całkiem nago, jak dzikie zwierzęta i podobnie jak one nie dbając o zachowanie choćby szczątkowej skromności? Czy to możliwe, że jego oczy mówiły tej niewyedukowanej dzikusce, że w głębi duszy, w skrytości serca ją pokochał? Ograniczenia będące skutkami tysiąca lat cywilizacji na tę myśl wzbudziły w jego umyśle poczucie nieopisanej grozy.

W jego pamięci pojawił się obraz wyniosłej i dumnej Cynthii Furnois z Hollywood, córki sławnego reżysera, Abelarda Furnoisa z domu Abe Fink. Przypomniawszy sobie drobniostki spostrzeżenia najdrobniejszych szczegółów zachowań społecznych i wystudiowanej perfekcji jej własnych manier, które go niekiedy przerażały. Ujrzał też arystokratyczne rysy Barbary Green, córki starego Johna Greena, wywodzącego się z Teksasu, handlarza nieruchomości z Los Angeles. To prawda, że stary John nie był purystą, a jego brak poszanowania dla kolejności ułożenia sztuców na stole często przyprawiał nieomal o palpitację serca co bardziej wrażliwe pod tym względem osoby, takie jak pani Green czy Barbara, którym tę delikatność wpajano żmudnie na uczelniach Montmartre'u i Coconut Grove, jednak Barbara przez dwa lata pobierała nauki w Marlborough i znał jej fiksacje i słabostki.

Oczywiście Cynthia była zepsutą, małą snobką, co więcej nie tylko z wierzchu, lecz do szpiku kości, a może nawet do samego dna jej płytkiej, egoistycznej duszy, podczas gdy snobizm Barbary, jak podejrzewał, był całkiem sztuczny, udawany. Stanowił skutek mylnego pojmowania sztucznych zachowań i efektywnych postaw niedorobionych celebrytów i nowobogackich, od których roило się w całym Hollywood.

Tak czy owak jednak, te dwie kobiety uosabiały na swój sposób obraz środowiska społecznego, do którego przywykł, i kiedy próbował odpowiedzieć na pytanie Jany, nie potrafił jej sobie wyobrazić, siedzącej przy kolacji w towarzystwie osób tego autoramentu. Oczywiście Jana była wymarzoną towarzyszką podczas takiej przygody jak ta, którą teraz wspólnie przeżywali, ale współczesny mężczyzna nie mógł przez cały czas gonić za przygodą w świecie rodem z epoki kamiennej. Jeżeli w jego oczach pojawił się jakiś inny przekaz, skierowany pod adresem Jany, poza wyrazem przyjacielskiej życzliwości, zrobiło mu się przykro, bo zdał sobie sprawę, będąc uczciwym tak wobec niej, jak i względem siebie, że pomiędzy nimi nigdy nie wydarzy się nic więcej niż to, co teraz.

Kiedy Jason zawahał się z odpowiedzią, Jana Czerwony Kwiat Zoramu wejrzała w jego duszę i z jej ust powoli zniknął uśmiech nieśmiałego wyczekiwania. Może była małą, dziką barbarzynką z epoki kamiennej, ale nie była głupia i była kobietą.

Powoli wyprostowała swe szczupłe ciało, odwróciła się od Jasona i ruszyła w dalszą drogę wzdłuż krawędzi szczeliny, ku wielkiej rozpadlinie, przez którą zeszła z wyższych partii gór, kiedy ścigał ją Skruk, ze swymi kompanami.

— Jano – zawołał – nie złość się. Dokąd idziesz?

Przystanęła i unosząc dumnie podbródek obejrzała się, przez ramię posyłając mu miażdżące spojrzenie.

— Idź w swoją stronę, jaloku – powiedziała – a Jana pójdzie w swoją.

## DO GNIAZDA THIPDARÓW

Ciężkie chmury zgromadziły się wokół strzelistych szczytów Gór Thipdarów – czarne, gniewne chmury, które spływały po północnych stokach, rozlewając się daleko na wschód i zachód.

— Znów nadchodzą wody – rzekł Thoar. – Spadną na Zoram. Wkrótce spadną też tutaj.

Zrobiło się ciemno i chmury zasnuły niebo, przesłaniając słońce wiecznego południa.

Tarzan ujrzał przed sobą nowy pejzaż – posepny, odpychający, niegościnnie krajobraz. Po raz pierwszy zobaczył Pellucidar w cieniu i ten widok nie przypadł mu do gustu. Ta zmiana wywarła niemal piorunujący efekt na Thoarze i Targashu. Sprawiali wrażenie przygnębionych, nieomal przerażonych. Zresztą nie tylko na ludziach zanik wiecznego słońca wywołał osobliwy skutek, nagle bowiem z górnych partii gór nadeszły zwierzęta, poszukujące słonecznego światła. Były śmiertelnie przerażone i zaskoczone, o czym mógł świadczyć fakt, że drapieżniki i ich ofiary truchtały jedno przy drugim i że żadne z nich nie zwróciło uwagi na trzech mężczyzn.

— Czemu nas nie atakują, Thoarze? – zapytał Tarzan.

— Wiedzą że spadnie woda – odparł tamten – i boją się spadającej wody. Zapomniały o głodzie i swoich waśniach, a jedyne czego pragną to uciec przed grozą.

— Czy zagrożenie jest aż tak duże? – spytał człowiek-małpa.

— Nie, jeśli wejdziemy na wyżej położone tereny – odparł Thoar. – Niekiedy parowy i żleby błyskawiczne wypełniają się wodą, ale na wyżej położonych miejscach zagrożeniem są tylko ogniste włócznie wylatujące z czarnych chmur. Jeśli jednak zostaniemy na otwartej przestrzeni, nawet one nie będą dla nas groźne, bo z reguły celują w drzewa. Nie wchodźcie pod drzewa, kiedy chmury miotają ogniste włócznie.

Kiedy chmury odcięły dopływ słonecznych promieni, natychmiast zrobiło się chłodniej. Przenikliwy wiatr powiał z góry, a trzech nadzy mężczyźni zadygotali z zimna.

— Zbierzcie drewno – rzekł Tarzan. – Rozpalimy ognisko, aby się ogrzać.

I tak we trzech zebrali chrust, a Tarzan przygotował ognisko, a potem usiedli wokół, ogrzewając swe nagie ciała, podczas gdy po obu ich stronach sunęły fale ogarniętych paniką stworzeń zmierzających w stronę światła.

Rozpadało się. To nie były pojedyncze krople, lecz dosłownie strugi deszczu, które zalewały ich i dławily. Spływały strugami w dół górskiego zbocza, wypełniając żleby i zagłębienia terenu, zmieniając wąwozy w rozszalałe potoki.

Porywisty wiatr zmienił tę ulewę w oślepiający maelstrom, który ograniczał pole widzenia zaledwie do kilku stóp. Przerażone zwierzęta gnały w popłochu na oślep, stając się największym zagrożeniem tej burzy. Błysnęło, rozległ się grzmot i zwierzęta przeszły z paniki w stan szaleńczej trwogi.

Pośród grzmotów i zawodzenia wiatru dały się słyszeć rozdzierające wrzaski i ryki potworów z innego czasu, a w powietrzu powyżej trzepocąc skrzydłami, skrzeczące gady walczyły by wzlecieć ku światłu, zmagając się z potęgą żywiołów. Wielkie pteranodony strącone na ziemię niezdarnie

stawały na nogi, choć nie przywykły do chodzenia, a przez cały ten czas trzej dzicy mężczyźni kulili się wokół wygasłego ogniska, z którego nie zostały już nawet popioły.

Tarzan miał wrażenie, że burza trochę trwała, ale podobnie jak jego towarzysze, przywykł do trudów i niewygód prymitywnego życia. Tam gdzie człowiek cywilizowany mógłby przeklinać los i złorzeczyć na bezlitosne żywioły, trzej dzicy mężczyźni siedzieli w stoickim milczeniu, kuląc się w strugach deszczu, bo każdy z nich wiedział, że to oberwanie chmury nie będzie trwało wiecznie, z drugiej strony zaś, zdawał sobie sprawę, że nic co mógłby powiedzieć lub zrobić, nie osłabi siły ulewy.

Gdyby nie przykład dany przez Tarzana i Thoara, Tar-gash pognałby ku światłu słonecznemu w ślad za spłoszonymi zwierzętami, choć nie wpadł w panikę tak jak one, lecz bardziej niż rozumem, kierował się swoim instynktem. Ale był zadowolony pozostając w wybranym przez nich miejscu i kucał wraz z nimi, pogrążony w milczącej niedoli i oczekując na ponowne pojawienie się słońca.

Deszcz zelżał, zawodzący wiatr ucichł, chmury rozwiały się, a słońce znów zaczęło spoglądać z góry na parujący świat. Trzej dzicy mężczyźni wstali i otrząsnęli się.

— Jestem głodny – rzekł Tarzan.

Thoar wskazał dokoła, gdzie spoczywały ciała pomniejszych stworzeń zmiażdżonych przez większe, ogarnięte paniką zwierzęta, próbujące dotrzeć w bezpieczne miejsce.

Teraz nawet Thoar zmuszony był zjeść swoją porcję mięsa na surowo, bo nie mieli tu suchego chrustu, aby można było rozpalić ognisko, jednak dla Tarzana i Tar-gasha nie okazało się to wielkim utrudnieniem. Kiedy Tarzan się pożywiał, w jego

oczach pojawił się cień uśmiechu. Przypominał sobie kapryśnego starego arystokratę, z którym spożywał kiedyś kolację w jednym z londyńskich klubów i który omal nie dostał ataku apopleksji, ponieważ zamówiony przezeń drób był trochę niedopieczony.

Kiedy we trzech się najedli, wstali, by kontynuować poszukiwania Jany i Jasona, okazało się jednak że ulewny deszcz skutecznie zmył wszelkie ślady, za którymi podążali.

— Nie znajdziemy już ich śladów – powiedział Thoar – dopóki nie dotrzemy do miejsca skąd wyruszyli, kiedy deszcz przestał padać. Po lewej mamy głęboki wąwóz, którego ściany zapowiadają trudną wspinaczkę, przed nami zaś jest szczelina która rozciąga się wzdłuż podnóża gór, w obu kierunkach, na znaczną odległość. Jeśli jednak pójdziemy w prawo, znajdziemy dogodne miejsce abyśmy mogli zejść do parowu i pokonać go. Oni też pewnie poszli tą drogą. Może niedługo znów wpadniemy na ich trop. Póki co jednak poszli dalej, przecięli parów i zaczęli wspinać się ku wyższym partiom gór, nie natknęli się wszelako na ślady mogące świadczyć, że Jana lub Jason także szli tą drogą.

— Może dotarli do twojej krainy inną drogą – podsunął Tarzan.

— Być może – przyznał Thoar. – Chodźmy dalej do Zoram. Nic innego zrobić nie możemy. Tam będziemy mogli zebrać ludzi z mego plemienia i wraz z nimi wyruszymy w góry na dalsze poszukiwania.

W drodze na szczyt Thoar niekiedy prowadził ich szlakiem, którym od niepamiętnych czasów wędrowały drapieżniki, kiedy indziej zaś przechodzili po granitowych skałach, tak stromych i niebezpiecznych że nawet Tarzan zdumiał się,



że udało im się to przeżyć. Na srogiej grani opróżnili gniazdo thipdara z jaj i zaczęli się pożywiać, gdy nagle Thoar zrobił się czujny i zaczął nasłuchiwać. Do uszu człowieka – małpy doszedł cichy dźwięk przywodzący na myśl odległy trzepot skrzydeł.

— Thipdar – powiedział Thoar – a my nie mamy się gdzie schronić!

— Jest nas trzech – zauważył Tarzan. – Czego mielibyśmy się obawiać?

— Nie znasz tych stworzeń – odparł Thoar. – Trudno je zabić, a one nigdy nie rezygnują, dopóki nie zginą. Mają bardzo małe mózgi. Czasami, kiedy je rozcinamy, w ogóle trudno znaleźć w nich mózg, a skoro nie mają mózgu, nie boją się niczego, nawet śmierci, bo nie wiedzą czym jest śmierć, prawie nie odczuwają też bólu. Ból tylko wzbudza w nich wściekłość, sprawiając, że stają się jeszcze straszniejsze. Może udałoby się nam go zabić, ale szkoda, że nie ma tu drzewa.

— Skąd wiesz, że nas zaatakuje? – zapytał Tarzan.

— Leci w tę stronę. Na pewno nas zauważy, a kiedy one widzą żywą istotę, atakują.

— Zaatakował cię kiedyś taki stwór? – zapytał Tarzan.

— Tak – odparł Thoar – ale tylko kiedy w pobliżu nie było drzewa ani jaskini. Ludzie z Zoramu nie wstydzą się przyznać, że boją się potężnych thipdarów.

— Skoro jednak zabijałeś je w przeszłości, czemu tym razem nie miałyby się nam udać? – dopytywał się człowiek-małpa.

— Może się uda – odparł Thoar – ale nigdy dotąd nie walczyłem z taką istotą sam, lecz wspólnie z gromadą moich plemieńców. Samotny łowca, który wyrusza na polowanie i nie wraca to dla nas powód, by lękać się thipdarów. Nawet kiedy

jest nas wielu, by walczyć z tymi istotami, zawsze kilku ginie, a wielu jest rannych.

— Nadlatuje – rzekł Tar-gash, wskazując ręką.

— Nadlatuje – powiedział Thoar, mocniej chwytając włócznię.

Do ich uszu napłynął dźwięk przypominający spuszczenie pary przez zawór spustowy.

— Zobaczył nas – rzekł Thoar.

Tarzan odłożył włócznię na ziemię, u swoich stóp, wyjął pęk strzał z kołczanu i założył jedną na cięciwę. Tar-gash zamachnął się powoli swoją pałką w przód i w tył, po czym warknął groźnie.

Zaraz potem pojawił się wielki gad, odgłos trzepoczących skrzydeł od czasu do czasu zagłuszony był przez groźny syk. Trzej mężczyźni czekali z niecierpliwością.

Nie było żadnych wstępów. Potężny pteranodon zapikował prosto na nich. Tarzan wypuścił strzałę, która dosięgła celu, zagłębiając się w piersi pterodaktyla. Syk zmienił się w gniewne skrzeczenie a zaraz potem trzy strzały, jedna po drugiej wbiły się w ciało stwora.

O tym, że stworzenie spodziewało się cieplejszego przyjęcia mógł świadczyć fakt, iż natychmiast wzbiło się w górę, przelatując nad ich głowami, jakby zamierzało zrezygnować z ataku, gdy nagle, z szybkością niepojętą dla istoty o takich gabarytach, wykonało błyskawiczny zwrot jak krogulec i zanurkowało wprost na plecy Tarzana.

Atak stwora był tak szybki, że o jakiegokolwiek obronie nie było mowy. Człowiek-małpa poczuł szpony zagłębiające się do połowy w jego nagim ciele i równocześnie został podźwignięty w górę, a jego stopy oderwały się od ziemi.

Thoar uniósł włócznię, a Tar-gash zamachnął się pałąką, żaden jednak nie odważył się zaatakować, z obawy by nie zranić przyjaciela. Tak więc stali tylko beczynn timer, patrząc jak potwór unosi Tarzana z Małp, hen w górę ponad szczytami Gór Thipdarów.

Stali i patrzyli w milczeniu, dopóki istota nie znikła im z oczu za odległym szczytem, wciąż trzymając w szponach ciało człowieka-małpy. W końcu jednak Tar-gash odwrócił się i spojrzał na Thoara.

— Tarzan nie żyje – rzekł Sagoth.

Thoar z Zoramu ze smutkiem pokiwał głową. Tar-gash bez słowa odwrócił się i zaczął schodzić w stronę doliny, skąd przyszli. Jedyne co jednoczyło tych dwóch odwiecznych wrogów, odeszło na zawsze, i Tar-gash zamierzał niezwłocznie powrócić na tereny łowieckie swego plemienia.

Przez chwilę Thoar patrzył w ślad za nim, po czym wzruszywszy ramionami odwrócił się i ruszył w stronę Zoramu.

Gdy pteronodon niósł go ponad granitowymi szczytami, Tarzan rozluźnił mięśnie, zwieszając się wiotko i bezwładnie w jego szponach, bo uznał, że jeśli los ma dla niego w zanadrzu szansę na ucieczkę, raczej nie nadarzy się ona w powietrzu, a gdyby zaczął szamotać się albo spróbował podjąć walkę ze swym oponentem, nagrodą za jego wysiłki byłaby śmierć na postrzępionych skałach poniżej. Jego jedyną nadzieją było zachowanie przytomności i siły do walki, kiedy stworzenie wyląduje wraz z nim na ziemi. Wiedział, że niektóre drapieżne ptaki zabijały swoje ofiary zrzucając je ze znacznej wysokości, ale miał nadzieję, że pteronodony z Pellucidaru nie wyrobiły w sobie tego niepokojącego zwyczaju. Gdy obserwował panoramę górskich szczytów przesuujących się pod nim zdał

sobie sprawę, że został uniesiony dość daleko od miejsca gdzie go pochwycono – pokonał z wielkim drapieżcą odległość co najmniej dwudziestu mil.

W końcu, gdy pokonali przerażający, głęboki wąwóz, w niewielkiej odległości od niego pteronodon zatoczył krąg nad strzelistym granitowym szczytem, i zaczął powoli opadać, a Tarzan z Małp, ujrzał gniazdo z małymi thipdarami czekającymi niecierpliwie na kolejne kąski, które przyniesie im rodzic.

Gniazdo znajdowało się na szczycie wyniosłej granitowej iglicy. Cały wierzchołek miał rozmiar zaledwie kilku jardów kwadratowych, ściany opadały pionowo w dół na kilkaset stóp, by połączyć się z granitowym masywem, nad którym wznosiła się iglica. Było to doprawdy bardzo ryzykowne miejsce, by staczać w nim walkę o życie.

Tarzan z Małp ostrożnie wyjął z pochwy swój nóż myśliwski. Powoli uniósł lewą rękę i przesuwając ją wzdłuż ciała, ponad lewe ramię, dotknął nią łapy thipdara. Jego palce zacisnęły się ostrożnie wokół łuskowatego odnóża, przypominającego ptasie, tuż powyżej szponów.

Gad powoli opadał w stronę gniazda. Upiorne diabliki poniżej zaczęły skrzeczeć i posykiwać z niecierpliwością. Stopy Tarzana wisiały w powietrzu niemal tuż nad ich pyskami, gdy człowiek-małpa pchnął nagle nożem w górę, uderzając w pierś thipdara.

To nie było przypadkowe pchnięcie. Nikłe skądinąd szanse Tarzana na przetrwanie zależały od siły i celności tego pojedynczego ciosu. Wielki pteronodon wydał z siebie ochryply wrzask, zeszywniał konwulsyjnie w powietrzu, a gdy runął w dół, wypuścił ofiarę ze swoich szponów, zaś człowiek-małpa

spadł do górskiego gniazda, pomiędzy wygłodniałe młode pterodaktyla.

Na szczęście dla Tarzana, było ich tylko trzy i wciąż były bardzo młode, choć ich zęby okazały się ostre, a szczęki mocne.

Uderzając szybko nożem na lewo i prawo, Tarzan wygramolił się z gniazda mając ledwie kilka pomniejszych zadrapań i ukąszeń na nogach. Na krawędzi skalnego wierzchołka, w poprzek iglicy spoczywało ciało zabitego thipdara. Tarzan pchnął je mocno i patrzył jak spada na skały trzysta stóp niżej. Następnie skupił swą uwagę na wierzchołku iglicy, choć nie robił sobie w związku z tym większych nadziei, bo to co miał okazję ujrzeć „z lotu ptaka”, upewniło go, że szanse na pomyślne zejście z tej strzelistej turni są zerowe, lub prawie żadne.

Młode thipdary syczały i wrzeszczały, ale nie próbowały wyleźć z gniazda, gdy Tarzan zajął się bliższymi oględzinami granitowej iglicy, na której strzelistym wierzchołku najprawdopodobniej przyjdzie mu zakończyć swą karierę poszukiwacza przygód.

Układając się płasko na brzuchu, wyrzwał poza krawędź, i tak, przesuając się powoli po obwodzie skalnej iglicy zbadał uważnie jej ściany, koncentrując się na każdym, najdrobniejszym nawet szczególe.

Przepelził wzdłuż krawędzi wierzchołka raz po raz, aż zanotował w pamięci każdy występ i każdą szczelinę, i potencjalny uchwyt dla dłoni i stóp, jaki był w stanie dostrzec z tej wysokości. Kilukrotnie powracał w jedno miejsce, a następnie zdjął uplecioną z pnączy linkę, którą miał przerzuconą przez ramię i ująwszy oba końce w jedną rękę, zarzucił pętlę ponad krawędzią iglicy. Starannie odnotowywał

odległość na jaką zdołała opaść ze szczytu – a była ona wyjątkowo mizerna – bo cóż znaczy dwadzieścia pięć stóp w porównaniu z trzystustopową odległością dzielącą wierzchołek iglicy od jej podstawy.

Puszczając jeden koniec linki pozwolił, by opadła na całą długość, a gdy zauważył, w którym miejscu jej dolny koniec dotknął granitowej skały, ucieszył się, że mógł zejść przynajmniej na tę wysokość, i może jeszcze dwadzieścia pięć stóp niżej. Potem będzie musiał zdać się na łut szczęścia.

Ponownie podciągając linkę, przerzucił ją przez wystający granitowy głaz, pozwalając by końce linki opadły poza krawędź klifu. Następnie mocno schwycił oba końce linki jedną ręką i opuścił się poza krawędź. Dwadzieścia stóp niżej znajdował się występ, dający mu niepewne, ale jednak jakieś oparcie dla stóp, oraz wąska szczelina, w którą mógł wsunąć palce lewej dłoni. Niemal dokładnie przed jego twarzą znalazł się skalny występ, i, jak wiedział, poniżej było wiele podobnych. To właśnie na nich opierał nikłą szansę powodzenia swego planu.

Zaczął prawą ręką uważnie, z namysłem ciągnąć za jeden koniec linki. Kamienny występ, na którym stanął oferował tak niepewne oparcie, że Tarzan nie odważył się ściągać więcej niż kilka cali linki na raz, aby ten ruch nie wytrącił go z równowagi. Powoli ściągał linkę, aż górny koniec przesunął się ponad skałą, o którą był zaczepiony i cała linka spadła z góry, na niego. Gdy to się stało, na chwilę, odruchowo wstrzymał oddech z obawy, by nawet ten nikły ciężar nie strącił go na ostre kamienie poniżej.

Teraz zaczął się powolny proces ściągnięcia linki, bez pomocy, jedną ręką i przesuwania jej cal po calu pomiędzy palcami, aż w

jego dłoni znalazł się koniec plecionego sznura. Zarzucił go na górną część występu, który miał przed sobą, zaczepiając najlepiej jak tylko mógł, po czym, ponownie ujmując oba końce prawą ręką, był gotów zejść o kolejne dwadzieścia pięć stóp niżej.

Ten etap schodzenia był najbardziej przerażający, gdyż linka ledwie się trzymała kamiennej wypukłości i Tarzan zdawał sobie sprawę iż mogła się z niej ześlizgnąć praktycznie w każdej chwili. Dlatego odetchnął z niewysłowioną ulgą, gdy znów odnalazł oparcie dla stóp, dotarłszy niemal do samego końca linki, na której się opuszczał.

Od tego miejsca powierzchnia iglicy była bardziej szorstka. Pokrywały ją liczne szczeliny i poziome pęknięcia, z góry niewidoczne, ale dzięki nim, pozostały etap zejścia w porównaniu z poprzednim był już nad wyraz prosty i niebawem Tarzan znów stanął obiema stopami na twardym gruncie. Dopiero teraz miał po raz pierwszy okazję oszacować poziom i liczbę odniesionych obrażeń.

Nogi miał poranione od zębów i pazurów młodych thipdarów, ale te skaleczenia były niczym w porównaniu z ranami pozostawionymi przez szpony dorosłego osobnika, na jego ramionach i plecach. Czuł, że były to głębokie rany, ale ich nie mógł zobaczyć, podobnie jak zakrzepłej krwi, pokrywającej jego zbrązowiałą skórę.

Czuł ból promieniujący z ran a mięśnie miał zdrętwiałe i zeszywniałe, ale teraz mógł obawiać się już tylko ewentualnego zatrucia krwi, a człowiek-małpa niespecjalnie się tym przejmował, gdyż od dzieciństwa był wielokrotnie pokąsany i podrapany przez liczne drapieżniki.

Krótką analiza obecnego położenia uświadomiła mu, że nie miał szans na pokonanie w pojedynkę ogromnego wąwozu, który oddzielał go od miejsca skąd został tak brutalnie porwany i rozdzielony ze swymi towarzyszami. Wraz z tym odkryciem pojawiło przekonanie, że prawdopodobieństwo iż ludzie do których prowadził go Tar-gash są jego przyjaciółmi z ekipy O-220 jest praktycznie zerowe. W tej sytuacji próba odnalezienia Thoara i Tar-gasha w tym oszalamiającym labiryncie turni, parowów i żlebów mijala się z celem. Tarzan postanowił więc znaleźć drogę wyjścia z tych gór i wrócić na równiny, do puszczy, która wydawała mu się o wiele bardziej kusząca niż te niegościnnie, nagie skały. W tym celu zdecydował się pójść po linii najmniejszego oporu, szukając najprostszych dróg oferujących możliwość zejścia na równiny.

Poniżej, patrząc w różnych kierunkach widział wierzchołki drzew i skierował się, najogólniej rzecz biorąc, w tę właśnie stronę. W miarę schodzenia droga stała się łatwiejsza, choć kilka razy musiał jeszcze posiłkować się liną opuszczając się na niższe poziomy. Wreszcie strome zbocza ustąpiły miejsca innym, równiejszym na których wznosił się ten potężny masyw i tu także na spłachetkach gołej ziemi pojawiła się skąpa jeszcze roślinność. Zrazu tylko trawa i krzewy, potem karłowate drzewka, aż w końcu pierwsze leśne zagajniki, i tam też napotkał leśną ścieżkę.

Ta ścieżka otwierała przed nim niezliczone możliwości. Bo wiodła z początku przez las, ale potem pięła się pod górę, na skalną półkę w ścianie klifu, biegnącą ponad głębokim wąwozem.

Nie widział zbyt długich fragmentów ścieżki, bo ciągnęła się ona wokół wielkich głazów albo wystających, ostrych skał.



Wędrując nią zdecydowanym, pewnym krokiem, milczący i czujny Tarzan z Małp zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie gdzieś przed nim, tym samym szlakiem wędrował ktoś jeszcze.

Lekki wietrzyk napływający z kanionu poniżej niósł ze sobą zapach istoty, która podążała przed Tarzanem, oraz jego własny zapach ku wierzchołkowi góry, było zatem wykluczone, by zarówno człowiek-małpa, jak i ten kto szedł przed nim zdołali w ten sposób wyczuć się nawzajem, ale było coś w odgłosie kroków, który nawet słyszany z daleka uświadomił Tarzanowi, że nie są to kroki człowieka, i że zapewne już wkrótce dowie się za kim szedł, bo odległość pomiędzy nimi wyraźnie się zmniejszała.

Ścieżka była wąska, i od czasu do czasu, pokonując jakiś parów lub płytki żleb zdarzały się miejsca skąd można było pójść dalej w górę lub w dół.

Spotkanie z dzikim zwierzęciem w takim miejscu mogłoby być co najmniej kłopotliwe, ale Tarzan już podjął decyzję i nie miał w zwyczaju zawracać, niezależnie od tego, czy na swej drodze przyszło mu spotkać przeszkodę w postaci człowieka czy też zwierzęcia. Poza tym był miał przewagę nad idącym przed nim stworzeniem, czymkolwiek ono było, bo zbliżał się do niego od tyłu i był prawie pewien, że nie zdołało wyczuć jego obecności. Tarzan wiedział bowiem, iż żadna istota nie potrafiła poruszać się ciszej od niego, jeśli tego chciał, a teraz właśnie podążał wąską ścieżką bezszelestnie, jak cień samego cienia.

Ciekawość sprawiła, że przyspieszył kroku, chcąc dowiedzieć się jakie zwierzę przed nim wędruje, i kiedy to uczynił, odgłos kroków tamtego stworzenia przybrał na sile. Tarzan na tej podstawie domyślił się, że tropił jakąś ciężką czworonożną bestię, której łapy zaopatrzone były od spodu w miękkie

poduszki – tyle zdołał ustalić, poza tym jednak nie miał pojęcia co to za stwór, a kręty szlak sprawiał, że owa istota wciąż pozostawała poza jego zasięgiem wzroku. Cichy tropiciel szedł więc dalej, dopóki nie nabrał pewności, że znalazł się w niewielkiej odległości za swoją ofiarą, gdy nagle, tuż przed nim rozległ się przerażający warkot a potem ryk rozwścieczonej bestii.

Było coś w tonie tego straszliwego głosu, co podsycało ciekawość Tarzana. Po głośności ryku domyślił się, że musiał on dobyć się z gardzieli ogromnej bestii, bo ten dźwięk sprawił że całe okoliczne wzgórza zadrżały w posadach.

Podejrzewając, że zwierz został zaatakowany, albo zamierzał zaatakować jakąś inną istotę, Tarzan, wiedziony ciekawością pobiegł truchtem i kiedy pokonał kolejny zakręt ścieżki, wyłaniając się spoza ogromnego głazu, jego oczom ukazał się widok, który skłonił go do natychmiastowego działania. Sto stóp dalej ścieżka kończyła się u wylotu wielkiej jaskini. Stał tam chłopiec – szczupły, przystojny chłopiec w wieku dziesięciu – może dwunastu lat, pomiędzy chłopcem a Tarzanem stał ogromny niedźwiedź jaskiniowy.

Chłopiec spostrzegł Tarzana i w pierwszej chwili jego oczy przepełniła nadzieja, ale zaraz potem, najwyraźniej uświadomiwszy sobie że nowo przybyły nie należy do jego plemienia, znów poddał się ogarniającemu go poczuciu beznadziejności, nie zrejterował jednak, lecz stał dzielnie, z włócznią i krzemiennym nożem w gotowości.

Ta scena pozwoliła człowiekowi-małpie domyślić się całej historii. Niedźwiedź, powróciwszy do swej jaskini napotkał wychodzącego z niej młodzieńca, podczas gdy ten drugi, bez

wątpienia równie zaskoczony, znalazł się w sytuacji bez wyjścia, z odciętą przez zwierza jedyną drogą ucieczki.

Zgodnie z prymitywnymi prawami dżungli, które kierowały nim od wczesnego dzieciństwa, Tarzan z Małp nie poczuwał się do odpowiedzialności, by przyjmować na siebie niebezpieczną rolę wybawcy, ale w jego sercu zawsze pałał ogień rycerskości, które to dziedzictwo zawdzięczał swym angielskim rodzicom i przez które nieraz zdarzało mu się ryzykować własnym życiem dla dobra innych. To dziecko nienazwanego plemienia w tym nieznanym świecie nie mogło liczyć na litość ze strony dzikiego zwierzęcia ani nawet dzikich ludzi, nie należących do tego samego szczepu co on. Być może Tarzan z Małp nie przyznałby się, że widok tego dziecka wywarł na nim jakikolwiek wpływ, lecz w istocie cała ta sytuacja mocno nim wstrząsnęła – po pierwsze dlatego, że miał przed sobą małego chłopca, po drugie, że był on bezbronny.

Ktoś mógłby zastanawiać się i analizować dokonania człowieka czynu, podczas gdy on sam nie zaprzęta sobie tym głowy – po prostu działa – i tak rzecz się miała z Tarzanem z Małp. Dostrzegł sytuację kryzysową i był gotów stawić jej czoło, od kiedy bowiem zorientował się, że na szlaku przed nim jest jakieś zwierzę, miał broń w gotowości; lata doświadczenia wśród prymitywnych ludów i dzikich bestii nauczyły go, że warto być zawsze przygotowanym.

Uplecioną z pnączy linkę przerzucił przez lewe ramię, a w lewej dłoni trzymał włócznię, łuk i trzy strzały, w prawym ręku zaś trzymał przygotowaną już czwartą strzałę.

Jedno spojrzenie na znajdującą się przed nim bestię przekonało go, że tylko dzięki połączeniu umiejętności i odrobiny szczęścia mógł liczyć na pokonanie tego

gigantycznego monstrum, za pomocą względnie skromnej broni, jaką dysponował, mógł jednak przynajmniej odwrócić uwagę zwierza od chłopaka i podtrzymać ten stan rzeczy dopóki młodzik nie zdoła stąd jakoś uciec. Dlatego też zaledwie w kilka chwil po tym jak jego oczy spostrzegły tę scenę, brzęknęła cięciwa łuku i ciężka strzała wbiła się głęboko w grzbiet niedźwiedzia, tuż przy kręgosłupie, podczas gdy dziki okrzyk Tarzana miał uzmysłwić bestii o obecności wroga za jego plecami.

Rozszalały z bólu i zaskoczony rozlegającym się za nim głosem, zwierz najwyraźniej połączył jedno z drugim i w okamgnieniu odwrócił się na wąskiej, kamiennej półce. Pierwsze co przyszło Tarzanowi na myśl, to że nigdy w całym swoim życiu nie zetknął się z takim przykładem dzikiej, zwierzęcej wściekłości, odmalowującej się w wyrazie jego rozdziawionego szeroko, najeżonego długimi kłami oślinionego pyska, gdy wielki jaskiniowy niedźwiedź ujrzał tego, który zadał mu ból.

Jedna po drugiej, trzy strzały pograżyły się w piersi drapieżnika, który warcząc rzucił się na człowieka – małpę.

Tarzan ani przez moment nie ruszył się z miejsca. Balansując ciężką włócznią, odchylił rękę, w której ją dzierżył możliwie jak najdalej za prawe ramię, po czym cisnął nią, wykorzystując całą siłę swych potężnych mięśni i ciężar ciała.

Niedźwiedź był już prawie przy nim, w chwili, gdy oręż opuszczał dłoń człowieka-małpy, a ten nie czekał na skutek swego rzutu, lecz odwrócił się i szybko pognął w dół ścieżki, podczas gdy z tyłu, niemal tuż za nim dało się słyszeć dziki warkot i ciężkie kroki drapieżnika, co potwierdziło tylko słuszność powziętej przez Tarzana strategii.

Był pewien, że na tej wąskiej, kamiennej półce, o ile nie natknie się na jakąś nieprzewidzianą przeszkodę, zdoła prześcignąć niedźwiedzia, bo tylko Ara – błyskawica jest szybsza od Tarzana z Małp.

Zawsze istniała możliwość, że natknie się na wracającą do gawry samicę niedźwiedzia, a w tym wypadku, jego położenie stałoby się naprawdę niewesołe, ale rzecz jasna taka sytuacja wydawała się mało prawdopodobna, a póki co, zadał wielkiej bestii dostatecznie dużo ciężkich ran, by pozbawić ją sił i prędzej czy później doprowadzić do jej śmierci. O tym, że zwierz posiadał naprawdę ogromne zapasy witalności mogła świadczyć siła i dzikość podjętego przezeń pościgu. Niedźwiedź wydawał się niezmordowany i choć Tarzan pod tym względem mu dorównywał, stwierdził wkrótce, że jego oponent jest wyjątkowo nieznośny i niewygodny, dając mu się aż tak bardzo we znaki. Zaczął się więc zastanawiać nad sposobami zakończenia tej ucieczki i w tym celu przepatrywał przez chwilę ściany klifu wznoszące się nad ścieżką, po której biegł i w końcu wypatrzył to, czego szukał – występ skalny pośród lica granitowego klifu, o jakieś dwadzieścia pięć stóp ponad ścieżką.

Plecioną linkę trzymał już zwiniętą w lewym ręku, a drugi koniec linki – ten z pętlą, w prawej i kiedy znalazł się w odległości rzutu od granitowego występu, nie wahał się ani chwili i rzut okazał się celny. Niedźwiedź zbliżał się, gnając ciężko w jego stronę.

Człowiek-małpa pociągnął mocno, jeden raz za koniec linki, by upewnić się, że została mocno zaczepiona o kamienny występ po czym zwinnie, jak mała małpka Manu, zaczął się wspinać.

**TAM DOKĄD MOŻE SIĘ UDAĆ  
TYLKO PRAWDZIWIY MĘŻCZYŻNA**

Nie potrzeba było instynktu Sherlocka Holmesa, by wydedukować, że Jana była wściekła, a Jason miał dość oleju w głowie, by zrozumieć przyczynę jej niezadowolenia. Przypisywał to naturalnej kobiecej złości wywołanej świadomością, że mylnie sądziła, iż jej urok zdołał podbić jego serce. Osądzał Janę w oparciu o swą wyimaginowaną znajomość kobiecej psychologii. Wiedział, że była piękna i wiedział że zdawała sobie z tego sprawę. Opowiedziała mu, że wielu mężczyzn z Zoramu chciało wziąć ją na swoją partnerkę, a sam ją uratował od jednego adoratora, który ścigał ją przez cały masyw groźnych Gór Thipdarów nie wahając się narazić w ten sposób jej życia. W tej sytuacji uznał za rzecz naturalną, iż Jana miała wysokie mniemanie o swoich wdziękach i wierzyła, że każdy mężczyzna musiał ulec jej urokowi, ale nie widział powodu czemu miałyby się złościć tylko dlatego, iż nie udało się jej go oczarować. Razem byli bardzo szczęśliwi. Nie pamiętał kiedy poprzednio tak długo przebywał w towarzystwie jakiejś dziewczyny, ani cieszył się z towarzystwa osoby płci przeciwnej. Żałował, że cokolwiek zdołało rzucić cień na ich przyjaźń i szybko zdecydował, że mężczyzna powinien zignorować tego rodzaju napady kobiecej złości, i zachowywać się wobec niej tak jak dotychczas, dopóki Jana się nie opamięta. Nic więcej nie mógł zrobić,

bo przecież nie pozwoliłby Janie kontynuować wędrówki do Zoramu w pojedynkę. Co prawda, nie było mu przyjemnie, kiedy nazywała go Jalokiem, co jak wiedział stanowiło w Pellucidarze wyjątkowo obraźliwy epitet, ale póki co, puścił to w niepamięć, a ona w końcu da sobie spokój i go przeprosi. Dlatego szedł za nią, ale przeszedł zaledwie kilka kroków, gdy odwróciła się do niego jak tygrysica, wyszarpując z pochwy, krzemienny nóż.

— Mówiłam, idź w swoją stronę – zawołała. – Nie chcę cię więcej widzieć. Jeżeli pójdziesz za mną, zabiję cię.

— Nie mogę pozwolić ci iść samej, Jano – rzekł półgłosem.

— Czerwony Kwiat Zoramu nie chce ochrony od kogoś takiego jak ty – odparła dumnie.

— Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, Jano – rzucił błagalnie. – Idźmy razem tak jak przedtem. Nic nie poradzę, że... – Zawahał się i zamilkł.

— Nie dbam o to, że mnie nie kochasz – powiedziała. – Nienawidzę cię. Nienawidzę cię, bo twoje oczy kłamią. Czasami usta kłamią, lecz to nas nie rani, bo nauczyliśmy się oczekiwać fałszu płynącego z ust, ale kiedy oczy kłamią, to kłamię również serce i cały człowiek jest fałszywy. Nie mogę ci ufać. Nie chcę twej przyjaźni. Niczego od ciebie nie chcę. Odejdź.

— Nie rozumiesz, Jano – zawahał się.

— Rozumiem, że jeśli spróbujesz za mną pójść, zabiję cię – rzekła.

— Wobec tego będziesz musiała mnie zabić – odparł – ale i tak pójdę za tobą. Nie mogę pozwolić abyś szła sama, niezależnie czy mnie nienawidzisz, czy nie. – I kiedy skończył, ruszył wolno w jej stronę.

Jana stała patrząc na niego i ściskając w dłoni krzemienny nóż, a w jej oczach pojawiły się gniewne błyski.

Jason Gridley z rękoma opuszczonymi do boków podszedł do niej, jakby wystawiał swą pierś na cios. Krzemienne ostrze śmignęło w górę. Na chwilę zawisło w powietrzu, na wysokości ramienia dziewczyny, a w chwilę potem Czerwony Kwiat Zoramu odwróciła się i pobiegła wzdłuż krawędzi rozpadliny.

Biegła bardzo szybko i znacznie wyprzedziła Jasona, którego ruchy krępowało ubranie, oraz broń i amunicja. Zawołał do niej raz i drugi, prosząc, by się zatrzymała ale nie usłuchała i mógł tylko podążać za nią, najszybciej jak potrafił. Czuł się zraniony i wściekły, ale najbardziej ze wszystkiego żałował, że łącząca ich dotąd, cudowna przyjaźń została bezpowrotnie zerwana.

Powoli zaczął uświadamiać sobie, że był z Janą bardzo szczęśliwy i że to ona zaprzętała niemal w całości jego myśli. Nawet wspomnienie zaginionych towarzyszy zostało zepchnięte na dalszy plan, wobec odpowiedzialności za bezpieczeństwo tej dziewczyny i jej bezpieczne odprowadzenie w rodzinne strony.

— Zrobiła ze mnie małą – pomyślał. – Do kroćset, Odyseusz nigdy nie spotkał potężniejszej Kirke. Ani nawet w połowie tak cudnej – dodał, uświadamiając sobie uroki powabnej barbarzynki.

A dała jasno dowód, że była barbarzynką, grożąc mu nożem. Mimo to, nie mógł się nie uśmiechnąć, gdy zdał sobie sprawę, że w ostatecznym rozrachunku, wszystko co zrobiła okazało się takie kobiece. Z westchnieniem pokręcił głową i pomaszerował w ślad za Czerwonym Kwiatem Zoramu.

Od czasu do czasu, Jason widział Janę w oddali, przed sobą i miał wrażenie, że nie szła tak szybko jak wcześniej, lecz i tak



nie mógł jej dogonić. Przez cały czas obawiał się, że mogła zostać zaatakowana przez jakąś dziką bestię i zginąć, zanim zdołałby ocalić ją celnym strzałem z karabinu. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiała się zatrzymać i odpocząć, a wówczas liczył, że ją dogoni i może nawet przekona, by przestała się na niego złościć na nowo nawiązując z nim nić dawnej przyjaźni.

Najwyraźniej jednak Czerwony Kwiat Zoramu nie zamierzała odpoczywać, choć Amerykanin już dawno osiągnął taki poziom zmęczenia, że obawiał się, iż musi przerwać swój pościg, aby trochę odsapnąć i odzyskać siły. Mimo to brnął dalej po zdradliwym gruncie, podczas gdy ciężar broni i amunicji coraz bardziej wzrastał i miał wrażenie, że jego karabin zrobił się ciężki jak armata polowa. Nie zamierzając się poddać pokonał jedno wzgórze i zaczął się wspinać na następne. Jego nogi pracowały mechanicznie, niczym jakaś autonomiczna machina tortur, nad którą nie panował i która pchała go nieustannie naprzód, podczas gdy cały jego organizm aż wyl, domagając się odpoczynku.

Do zmęczenia dołączyły jeszcze głód i pragnienie. Ponieważ wiedział, że w Pellucidarze tylko tak można było mierzyć upływ czasu, zdał sobie sprawę, że odkąd ostatni raz odpoczywał, pokonał naprawdę spory szmat drogi. Gdy wspiał się na szczyt kolejnego niskiego wzniesienia, ujrzał dokładnie przed sobą Janę.

Stała na skraju rozpadliny, ogromnego wąwozu rozpościerającego się pomiędzy górami i najwyraźniej nie bardzo wiedziała dokąd ma pójść dalej. Droga, którą zamierzała podążać była zablokowana przez rozpadlinę i parów. Droga po lewej zawracała w dolinę, w kierunku przeciwnym do tego,

gdzie leżało Zoram, a gdyby zawróciła, musiałaby ponownie spotkać Jasona.

Patrzyła ponad krawędzią rozpadliny, próbując zorientować się czy dałoby się zejść na dół po skalnej ścianie, gdy zobaczyła zbliżającego się do niej Jasona. Odwróciła się gniewnie ku niemu.

— Zawróć – zawołała – albo skoczę!

— Proszę, Jano – rzucił błagalnie – pozwól mi iść z tobą. Nie będę cię drażnił. Nawet nie będę się do ciebie odzywał, chyba że tego zechcesz, ale pozwól abym ci towarzyszył i chronił przed dzikimi zwierzętami.

Dziewczyna zaśmiała się.

— Ty masz mnie chronić! – zawołała tonem ociekającym sarkazmem. – Nawet nie znasz niebezpieczeństw jakie czekają na drodze. Bez twojej dziwnej włóczni, która pluje ogniem i śmiercią, byłbyś bezradny nawet wobec ataków pomniejszych zwierząt, a w wysokich Górach Thipdarów są zwierzęta tak wielkie i straszne, że połknęłyby ciebie i twoją ognistą włócznię na jeden kęs. Wróć do swego ludu, człowiecze z innego świata, wróć do swoich delikatnych kobiet, o których mi mówiłeś. Tylko prawdziwy mężczyzna może podążać tam, dokąd zmierza Czerwony Kwiat Zoramu.

— Prawie mnie przekonałaś – rzekł Jason ze smutnym uśmiechem – że jestem tylko poczwarką, ale nawet poczwarka musi mieć ikrę, dlatego pójdę za tobą, Czerwony Kwiecie Zoramu, dopóki jakieś wyłupiastookie jurajskie monstrum nie porwie mnie z tej doliny łez.

— Nie wiem o czym mówisz – ucięła Jana – ale jeśli za mną pójdziesz, zginiesz. Pamiętaj co mówiłam – tylko prawdziwy mężczyzna może podążać tam, dokąd zmierza Czerwony Kwiat

Zoramu. – I jakby na potwierdzenie swych słów, odwróciła się i prześlizgnąwszy się przez krawędź urwiska w jednej chwili zniknęła mu z oczu.

Podbiegając do skraju rozpadliny, Jason Gridley spojrział w dół i zobaczył, kilka jardów niżej, Janę schodzącą powoli po skalnej ścieżce. Jason wstrzymał oddech. Wydawało się niemożliwe, aby jakakolwiek istota znalazła na licu klifu oparcie dla dłoni i stóp. Wzdrygnął się i oblał się zimnym potem, na widok tego, co robiła dziewczyna.

Stopa za stopą żmudnie schodziła po kamiennej ścianie, podczas gdy mężczyzna, kładąc się na brzuchu i wystawiając głowę za krawędź urwiska, obserwował ją w milczeniu. Nie odważył się do niej odezwać, w obawie że mógłby ją zdekoncentrować, a kiedy, zdawałoby się, całą wieczność później, dotarła na samo dno, poczuł się rozedrgany jak liść i po raz pierwszy zdał sobie sprawę z poziomu nerwowego napięcia, jakie go przepełniało.

— Boże! – wymamrotał. – Cóż za wspaniałe pokaz siły woli, odwagi i umiejętności!

Czerwony Kwiat Zoramu nie odwróciła się i ani razu nie spojrziała w górę, lecz ruszyła dalej, maszerując pod górę przez parów, wypatrując jakiegoś miejsca, w którym mogłaby wyjść z wąwozu.

Jason Gridley spojrział w straszną przepaść. Tylko prawdziwy mężczyzna może podążać tam dokąd zmierza Czerwony Kwiat Zoramu – pomyślał.

Patrzył w ślad za dziewczyną, aż znikła mu z oczu za stertą zwalonych skał, gdzie wąwóz zakręcał w prawo. Wiedział, że o ile nie zdoła zejść do wąwozu, Jana na zawsze zniknie z jego życia.

Tylko prawdziwy mężczyzna może podążać tam, dokąd zmierza Czerwony Kwiat Zoramu!

Jason Gridley wstał. Poprawił skórzany pasek karabinu przewieszając broń przez plecy. Przesunął olstra rewolwerów do tyłu, aby także nie krępowały mu ruchów. Zzuł buty i zrzucił je w przepaść. Potem położył się na brzuchu i powoli opuścił się poza krawędź, a z wnętrza wąwozu para oczu obserwowała go zza sterty pogruchotanych kamieni. Zrazu w tych oczach widać było gniew, później sceptycyzm, a wreszcie zaskoczenie i trwogę.

Tylko prawdziwy mężczyzna może podążać tak dokąd zmierza Czerwony Kwiat Zoramu!

Jason Gridley ostrożnie wynajdywał oparcia dla dłoni i stóp, każde tak niepewne, że wydawało się, iż nawet samo oddychanie może go strącić w otchłań. Głód, zmęczenie i pragnienie poszły w niepamięć, w miarę jak koncentrował wszystkie zmysły na zachowaniu zimnej krwi.

Przywierając do skalnej ściany nie odważył się odwrócić głowy na tyle, by spojrzeć w dół i choć miał wrażenie, że tkwił tam przez całą wieczność, opuszczając się cal po calu, coraz niżej, nie miał pojęcia jaki dystans udało mu się pokonać. Zadanie jakie sobie postawił było tak niesamowite, że ani przez chwilę nie ośmielił się nawet mieć nadziei na jego pomyślnie ukończenie. Nie czuł się ani przez moment pewnie, wyszukując kolejne oparcia dla rąk i nóg, wręcz przeciwnie, każde następne wydawało się bardziej ryzykowne od poprzedniego aż w końcu doszedł do punktu, w którym poszukując miejsca gdzie mógłby postawić stopę nie znalazł niczego takiego. Nie mógł ruszyć się w prawo ani w lewo, w górę zresztą też nie. Najwyraźniej osiągnął kres swych zasobów, a mimo to się nie poddał.

Stawiając obolałe i krwawiące stopy na poprzednich oparciach, zaczął ostrożnie szukać niżej nowych uchwytów dla dłoni, a gdy je znalazł – niewielkie wypukłości na powierzchni twardego granitu – pozwolił, by jego stopy zsunęły się z występów. Opuścił całe ciało na długość wyprostowanych ramion, przytrzymując się palcami niewielkich występów na skale. Kiedy tak wisiał, rozpaczliwie poszukując stopami jakiegoś oparcia, skarcił się w duchu, że nie pozbył się ciężkiej broni i amunicji. I to dlaczego? Bo groziło mu niebezpieczeństwo i bał się, że może umrzeć? Nie, martwiło go, że z ich powodu nie będzie w stanie dłużej powisieć na licu skały i kiedy runie w przepaść, jego ostatnia, nikła nadzieja ponownego ujżenia Czerwonego Kwiatu Zoramu przypadnie na zawsze. Może o czymś świadczy fakt, że balansując na granicy życia i śmierci, oczyma duszy nie widział twarzy Cynthii Furnois ani Barbary Green.

Poczuł, że zaczynają mu słabnąć palce i ześlizgują się z uchwytu. Koniec nadszedł nagle. Ciężar jego ciała oderwał jedną jego rękę od skały, i w następnej chwili druga też ześlizgnęła się z niewielkiej wypukłości, której się trzymała, a Jason Gridley spadł o jakieś osiemnaście cali w dół, na samo dno wąwozu. Gdy jego stopy dotknęły litej skały, Jason nie był w stanie uwierzyć, że los sprzyjał mu aż do tego stopnia. Nieomal bał się spojrzeć, ale w końcu spuścił wzrok i zrozumiał, że udało mu się zejść bezpiecznie ze szczytu urwiska. Kolana ugięły się pod nim, a kiedy osunął się na ziemię, dziewczyna obserwująca go z wyższej części wąwozu, zalała się łzami.

Nieopodal niego, ze ściany wąwozu tryskało źródółko, tworząc nieduży strumyk, spływający w dół, w stronę dna kanionu i kotliny. Kiedy Jason doszedł już trochę do siebie,

znalazł swoje buty i pokuśtykał ku wodzie. Tu zaspokoił pragnienie i obmył stopy, możliwie jak najlepiej oczyszczając skaleczenia i obwiązując je z grubsza kawałkami porozrywanej na paski, chusteczki. Następnie ponownie wzuł buty i ruszył pod górę, w ślad za Janą.

Daleko w górze, prawie u szczytu tego niewyobrażalnego masywu ujrzał zbierające się, złowrogie chmury. To były pierwsze chmury jakie zobaczył w Pellucidarze, ale tylko z tego względu wydały mu się ważne i godne uwagi. Domyślał się, że zwiastowały deszcz, ale jak mógł podejrzewać cały bezmiar zapowiadanego przez nie kataklizmu?

Daleko przed nim, Czerwony Kwiat Zoramu wspinała się pod górę po stromej ścieżce, prowadzącej do krawędzi rozpadliny i na wyższe tereny, ku którym zdążała. Kiedy patrzyła na karkołomne wyczyny Jasona, ryzykującego dla niej życiem, przepełniły ją strach i wyrzuty sumienia, ale gdy bezpiecznie zszedł na dno rozpadliny, jej nastrój się zmienił, i z typową dla kobiet przekorą znów zaczęła się od niego oddalać. Nieomal dotarła na szczyt wzniesienia, kiedy rozpętała się burza a wraz z nią pojawiła się świadomość, że idący za nią mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które mu obecnie groziło, a które było znacznie poważniejsze niż te, podczas zejścia z urwiska.

Bez chwili wahania, Czerwony Kwiat Zoramu odwróciła się i szybko zbiegła po stromej ścieżce, po której do niedawna tak mozolnie się wspinała. Musiała do niego dotrzeć przed wodą. Musiała go doprowadzić w jakieś wyżej położone miejsce, na ścianie wąwozu, wiedziała bowiem, że dno parowu już wkrótce zmieni się w rwącą, spienioną kipieli, rozlewającą się od jednej ściany urwiska do drugiej, a głębokość tych wartkich

wód może sięgać nawet dwustu stóp. Woda już płynęła po dnie kanionu, rozlewając się w dół, bystrymi strużkami, tworzącymi kaskady i katarakty, porywającymi ze sobą ziemię i kamienie. Nigdy w życiu Jana nie spotkała się wcześniej z tak silną burzą. Grzmiało i błyskało, wiatr hulał, a strugi zacinającego deszczu oślepiały, a mimo to, dziewczyna nie zważając na śmiertelne zagrożenie, szła po omacku w dół, wiedzona misją miłosierdzia. O tym, że była ona skazana na porażkę miała przekonać się już wkrótce, bo poziom wody w wąwozie podnosił się coraz bardziej, sięgał nieomal jej stóp, a końca ulewy nie było widać. Tam w dole nic nie mogło przeżyć. Mężczyzna musiał zostać zmyty i porwany przez prąd już dawno temu.

Jason był martwy! Czerwony Kwiat Zoramu stała przez chwilę, wpatrując się w przybierające wody poniżej. Poczowała chęć, by rzucić się w te odmęty. Nie chciała już żyć, ale coś ją powstrzymało, być może instynkt przetrwania ludzi pierwotnych, których cała egzystencja była ciągłym zmaganiem się ze śmiercią i którzy nie znali innego stanu i nie potrafili pogodzić się z rezygnacją i dobrowolną kapitulacją przed wrogiem, dlatego Jana odwróciła się i zaczęła brnąć pod górę, podczas gdy wody poniżej podnosiły się, usiłując ją dogonić, a woda płynąca z góry starała się zepchnąć ją ze ścieżki, na zatracenie.

Jason Gridley w Kalifornii i Arizonie był świadkiem niejednego oberwania chmury i wiedział jak szybko wąwozy i parowy mogą wypełnić się wartkimi strumieniami. Widział szeroką na milę rzekę formującą się zaledwie w ciągu paru godzin, w San Simon Flats, a kiedy ujrzał rwący nurt pochłaniający dno parowu, i uświadomił sobie, że nigdy dotąd

nie widział podobnego zjawiska na tak wielką skalę, nie tracąc czasu zaczął szukać schronienia w wyższych partiach wzniesienia, jednak ściany kanionu były strome, a jego mozolna wspinaczka przebiegała przeraźliwie wolno, podczas gdy poziom rwących wód podnosił się błyskawicznie. Mimo to nie tracił nadziei, ujrzał bowiem przed sobą, nieco powyżej, łagodne wzniesienie sięgające krawędzi rozpadliny.

W miarę jak brnął ku bezpiecznej wyżynie, spieniona kipiela wciąż się podnosiła i zaczęła nawet obmywać mu stopy, a strugi deszczu spychały go w tył, do tego stopnia że częstokroć, przez dobrą minutę nie udawało mu się ani odrobinę posunąć się naprzód.

Rwące wody, wypełniające wąwóz sięgały mu teraz do kolan i przez moment wartki prąd nawet zbił go z nóg. Chwytając się gruntu powyżej, zgubił karabin, ale kiedy broń znikła w rozszalałych odmętach szybko się pozbierał i przynajmniej na pewien czas odzyskał równowagę.

Walczył by brnąć przed siebie i pod górę, aż w końcu dotarł do wyżej położonego punktu, gdzie jak był przekonany, rwąca woda nie powinna dotrzeć i przykucnął tam, częściowo osłonięty granitowym nawisem skalnym, podczas gdy Tarzan, Thoar i Tar-gash kulili się w innej części gór, czekając w niemej niedoli, aż burza do reszty wyładuje swój gniew.

Zastanawiał się, czy Jana zdołała umknąć powodzi, ale do tego stopnia wierzył w jej mistrzowskie umiejętności radzenia sobie z fanaberiami dzikiego pellucidarskiego życia, że praktycznie nie obawiał się o jej bezpieczeństwo podczas tej burzy.

W swym chłodnym, ciemnym i wilgotnym schronieniu próbował opracować plany na przyszłość. Jakie miał szanse



na odnalezienie Czerwonego Kwiatu Zoramu, pośród tego dzikiego chaosu niebotycznych szczytów, skoro nie wiedział nawet w którą stronę się udawała, zmierzając do swojej krainy, zwłaszcza że nie było tu żadnych szlaków ani ścieżek, a wszelkie ślady jakie mogła pozostawić musiały zostać do reszty zmyte przez ulewę i zakryte przez wodę wypełniającą teraz całe wnętrze wąwozu?

Wydawało się, że pozostało mu jedynie podążać na oślep, bo przecież nie wiedział gdzie leżało Zoram, znał tylko z grubsza ogólny kierunek, nie wiedział też gdzie mogli się teraz znajdować jego towarzysze z ekspedycji O-220.

W końcu deszcz ustał, słońce zaczęło zalewać swymi promieniami parujący świat, a Jason w jednej chwili poczuł, że na nowo budzi się w nim nadzieja. Tak pobudzony, powrócił do poszukiwań, które już teraz nie wydawały mu się całkiem daremne, i pozbawione szans powodzenia.

Próbując skoncentrować się na ogólnym kierunku, gdzie, jak mówiła mu Jana, znajdowało się Zoram, zwrócił się twarzą w stronę czegoś co wyglądało jak wklęsłe siodło pomiędzy dwoma strzelistymi szczytami, górującymi nad całym tym masywem. Nie doskwierało mu już pragnienie, a głód też nieco osłabł. Zresztą szanse na szybkie znalezienie czegoś do jedzenia wydawały się nikłe, jako że ulewa najwyraźniej przegnała z wyższych partii gór wszystkie zwierzęta, los wszelako uśmiechnął się do niego. W wymyłym przez wodę skalnym zagłębieniu odnalazł gniazdo z jajami, które przetrwały potęgę nawałnicy. Nie wiedział jakie stworzenie zniosło te jaja, ale nie dbał o to czy były to jaja ptaka czy gada. Były świeże, stanowiły pożywienie i były tak duże, że wystarczyły dwa, aby zaspokoić jego głód.

Niedaleko od miejsca, gdzie je znalazł rosło karłowate poskręcane drzewko i najadłszy się, zabrał pozostałe trzy jajka by ukryć je tam, przed czujnym wzrokiem przelatujących gadów i drapieżnych ptaków. Tu także rozebrał się, rozwiesił ubranie na gałęziach drzewa, aby wyschło na słońcu po czym położył się pod drzewem, by się przespać, a w upalnych promieniach wiecznego pellucidarskiego południa nie było mu wcale źle.

Nie potrafił określić jak długo spał, ale gdy się obudził był całkowicie wypoczęty i odświeżony. Wstał, przepełniony nową pewnością siebie i zrobił sobie krótką gimnastykę, zanim ponownie się ubrał. Był w połowie ćwiczeń naciągających gdy nagle znieruchomiał w przyływie konsternacji – jego ubranie znikło! Rozejrzał się pospiesznie dokoła, w poszukiwaniu swoich rzeczy albo śladów stworzenia, które je zwędziło, nie znalazł jednak ani tego pierwszego, ani tym bardziej drugiego.

Na ziemi pod drzewem leżała koszula, która spadłszy, najwyraźniej umknęła uwadze złodzieja. I tak, to właśnie ona oraz dwa rewolwery i pasy z amunicją leżące obok niego, gdy spał, były wszystkim co mu pozostało.

W Pellucidarze panuje taki upał, że ubranie nosi się raczej z przyzwyczajenia niż konieczności i bywa ono uciążliwie krępujące, jednak człowiek cywilizowany tak przywykł do zakrywania swego ciała, że pozbawiony przyodziewku, traci on niemal do zera całą swą skuteczność, samodzielność i pomysłowość.

Nigdy jeszcze, w całym swoim życiu Jason Gridley nie czuł się równie bezradny i bezsilny, jak w tej chwili, gdy stanął w obliczu konieczności poruszania się po tym świecie mając na sobie tylko podartą koszulę i pas z nabojami. Zdał sobie

jednak sprawę, że poza butami nie stracił niczego co byłoby mu niezbędne, zarówno jeżeli chodziło o wygodę, czy o skuteczność, jednak największą konsternację wzbudziła w nim świadomość, że ta niemiła przygoda spotkała go gdy podążał śladem obiektu swych poszukiwań i jak miałby stanąć przed Czerwonym Kwiatem Zoramu tak niestosownie ubrany?

Oczywiście Jana także była ubrana dość skąpo, jednak w jej przypadku to nie miało większego znaczenia. Kiedy jednak Jason Gridley zdał sobie sprawę, jak idiotycznie musiał w tej chwili wyglądać, na samą myśl aby pokazać się w ten sposób Janie, na jego policzkach pojawiły się silne rumieńce.

W snach czasem wyobrażał sobie siebie w podobnie absurdalnych sytuacjach, teraz wszelako, gdy ów sen stał się rzeczywistością, Gridley doceniał, że jakimś zrzędzeniem podświadomości nie do końca uświadamiał sobie pełnię swego zażenowania wywołanego obecną sytuacją, a co za tym idzie nie stracił zbyt wiele pewności siebie.

Chcąc nie chcąc, podarł koszulę na pasy i zrobił z niej prymitywną przepaskę biodrową, po czym zapiął na biodrach pas z nabojami i wyruszył w świat niczym Adam uzbrojony w dwa colty.

Gdy tak szedł w poszukiwaniu Zoramu, przekonał się, że największym utrudnieniem wiążącym się ze stratą ubrania były ból i dyskomfort wywołany chodzeniem boso po szorstkiej granitowej skale, podczas gdy podeszwy stóp miał już mocno podrapane, wskutek schodzenia z urwiska. Zdołał jednak, do pewnego stopnia pokonać te niewygody, kiedy po powrocie w góry zwierzyny łownej, udało mu się ustrzelić niedużego gada, z którego skóry zrobił sobie prymitywne sandały.

Promienie słońca zalewające jego nagie ciało nie wywierały aż takiego efektu na jego skórę jak słońce w świecie zewnętrznym, w analogicznych warunkach, ale i tak przydały jej złocistobrazowego koloru, a to z kolei dodało mu jeszcze większej pewności siebie, teraz bowiem, gdy pożegnał się z dawną bielą skóry zrozumiał, że to właśnie ona sprawiała poczucie przeraźliwej nagości, w przeciwieństwie do innych stworzeń. Ta biel sugerowała słabość i miękkość, a w jego wnętrzu wzbudzała niepokojące poczucie niższości, teraz jednak, gdy nabrał nowej opalenizny a jego stopy stwardniały i przywykły do nowych warunków, nie miał już wrażenia, jakby przez cały czas chodził nago.

Spał i jadł wiele razy, a co za tym idzie miał świadomość, że od jego rozstania z Janą minęło sporo czasu, według zewnętrznej ziemskiej rachuby. Jak dotąd jednak nie zobaczył ani jej, ani żadnej innej istoty ludzkiej, choć często stawał oko w oko z groźnymi dzikimi zwierzętami oraz gadami, doświadczenie nauczyło go jednak jak ich unikać, bez konieczności skorzystania z broni palnej, po którą zamierzał sięgać wyłącznie w skrajnych, wyjątkowych sytuacjach, nie mógł bowiem przewidzieć, z uwagi na brak możliwości określenia upływu czasu, kiedy skończą mu się naboje.

Pokonał grań masywu i napotkał za nią znacznie bardziej malowniczą i swojską krainę. Wciąż była ona dzika, nieokiełznana i kamienista, ale było tu więcej roślinności i w wielu miejscach górskie zbocza porastały lasy rozciągające się aż po najdalsze szczyty. Były tu liczniejsze strumienie i spora obfitość drobnej zwierzyny dzięki czemu nie musiał obawiać się że zacznie przymierać głodem. Aby ograniczyć zużycie cennej amunicji zrobił sobie nową broń – włócznię, którą

zawdzięczał swoim kontaktom z Janą, oraz łuk i strzały, zapożyczone od Tarzana z Małp i Wazirów. Zanim nauczył się nimi posługiwać, umarłby pewnie z głodu, gdyby nie jego colty, ale w końcu zyskał sporą wprawę w korzystaniu z nowego oręża i to ona teraz zapewniała mu ciągły zapas pożywienia.

Jason Gridley dawno stracił nadzieję, że odnajdzie swój statek czy towarzyszy, pogodził się też z perspektywą, że już nigdy nie opuści tego miejsca, wyobrażając sobie resztę życia spędzoną w Pellucidarze, z pomocą prymitywnej broni walcząc o przetrwanie z dzikimi stworzeniami z wewnętrznego świata.

Przede wszystkim brakowało mu ludzkiego towarzystwa i nie mógł się już doczekać, kiedy spotka jakieś plemię wśród którego mógłby zamieszkać, choć zdawał sobie sprawę, dzięki temu czego dowiedział się od Jany, że może nie być mu łatwo zaskarbić sobie zaufanie czy też zyskać przyjaźń któregoś z pellucidarskich plemion, gdyż z założenia traktowały obcych z jednakową wrogością. Nie porzucał wszelako nadziei, a jego oczy były stale czujne, wypatrując wszelkich oznak bytności człowieka – okazało się jednak, że nie dane mu było czekać długo.

Do reszty stracił poczucie orientacji, w kwestii umiejscowienia Zoram i wędrował tak bez celu, od jednego obozowiska do drugiego, wierząc wbrew nadziei, że choćby przypadkiem natknie się na Zoram, gdy nagle wiatr wiejący z dołu przyniósł do jego nozdrzy kwaśną woń dymu. W jednej chwili przepełniło go podniecenie, bo dym oznaczał ogień, a ogień oznaczał człowieka.

Schodząc ostrożnie z góry w stronę skąd wiał wiatr, jego wypatrujące energicznie oczy napotkały wzbijającą się w górę smużkę dymu, płynącą z wąwozu, na wprost niego. To był

kamienny parów o stromych ścianach. Ta, od której zmierzał wydawała się wyjątkowo stroma, a ta ku której się kierował była o wiele niższa i w wielu miejscach uszkodzona przez erozję lub z jakichś innych przyczyn naturalnych, które powodowały jej stopniowe osypywanie się na dno wąwozu.

Podkradając się ukradkiem do krawędzi parowu, Jason Gridley zajrzał na dno wąwozu. Środkiem trawiastego podłoża płynął wartki, górski strumyk. W pewnych od siebie odstępach rosły ogromne drzewa przydając temu miejscu osobliwego wrażenia, jakby patrzyło się na dziwaczny park – a skojarzenie z parkiem spotęgowane było jeszcze przez cudowne kwiaty porastające murawę, lub rozkwitające na samych drzewach.

Przy niedużym ognisku, nad brzegiem potoku przykucnął wojownik o zbrązowiałej od słońca skórze, którego uwaga skupiona była na niewielkim ptaku, opiekanym powoli nad ogniskiem. Jason ujrawszy wojownika jął zastanawiać się nad najlepszym sposobem zbliżenia się do niego, aby przekonać go o swych przyjaznych zamiarach i przemoc naturalną podejrzliwość względem obcych, która jak wiedział, u tych dzikich plemieńców była cechą wrodzoną. Uznał że najlepiej będzie jeśli po prostu śmiało podejdzie do nieznanego, z gołymi rękami, i już miał wprowadzić swój plan w czyn, kiedy jego uwaga została zwrócona na wierzchołek klifu, po przeciwległej stronie wąskiego parowu.

Nie było żadnego dźwięku, który mógłby wychwycić, a przeciwległy szczyt klifu nie znajdował się w zasięgu jego wzroku. Nie wiedział zatem co zwróciło jego uwagę, chyba że był to przykład owych subtelnych sił percepcji, które tkwią w nas od urodzenia, są niejako przyrodzone i stanowią ten

tajemniczy atrybut naszego umysłu, który nazywamy niekiedy szóstym zmysłem.

Tak czy siak, jego wzrok podążył ku miejscu na szczycie klifu, po przeciwnej stronie, gdzie stała istota jakiejś żaden żywy człowiek na skorupie zewnętrznej nigdy dotąd nie widział – był to wielki, opancerzony dinozaur, ogromny gad mierzący od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu stóp długości a w najwyższym miejscu nad ziemią, czyli w zadzie mający dobre dwadzieścia pięć stóp. Jego względnie nieduży, spiczasty łeb przypominał łeb jaszczurki. Na grzbiecie stworzenia wznosiły się cienkie płyty rogowe, układające się naprzemiennie, przy czym największa z nich miała prawie trzy stopy wysokości i tyle samo długości, ale ich grubość nie przekraczała jednego cala. Gruby, masywny ogon, zakończony długimi wyrostkami rogowymi był wyposażony w dwa rzędy takich wyrostków w górnej jego części i sięgały prawie aż do jego końca. Każdy z tych kolczastych wyrostków miał prawie trzy stopy długości. Stworzenie poruszało się na czterech łapach, jak jaszczurka, a jego krótkie przednie łapy sprawiały że pysk zwierzęcia zwieszał się nisko nad ziemią, przydając mu dość niezdarne i niezgrabne wyglądu.

Stworzenie wydawało się obserwować mężczyznę w wąwozie, i nagle ku zdumieniu Jasona, podparłszy się na tylnych łapach, dało susa naprzód, odrywając się od krawędzi urwiska. W pierwszej chwili Jason był przekonany, że ogromne stworzenie roztrzaska się na miazgę na dnie parowu, ale ku zdumieniu Gridleya ogromne monstrum nie runęło ciężko w dół lecz zaczęło szybować płynnie w powietrzu, z pomocą kostnych płyt grzbietowych, które

nachyliły się do pozycji poziomej, zmieniając tę osobliwą istotę w rodzaj gigantycznego ożywionego szybowca.

Świst powietrza towarzyszący lotowi stworzenia zwrócił uwagę wojownika kucającego przy ognisku. Mężczyzna zerwał się na nogi, chwytając leżącą tuż obok włócznie, a równocześnie Jason Gridley prześlizgnął się ponad krawędzią klifu i zeskoczył po nierównym zboczu w stronę samotnego wojownika, dobywając rewolwerów z kabur przy pasie.



## JASKINIA CLOVIAN

Gdy Tarzan wspiął się po linie, niedźwiedź, który był tuż za nim i szybko się zbliżał, zatrzymał się gwałtownie, przysiadając na zadzie, by wytracić impet i znalazł się dokładnie pod nim. Wtedy to zdarzył się jeden z tych nieprzewidzianych wypadków, przed którymi nie sposób się ustrzec.

Tak się złożyło, że granitowy występ, na który Tarzan zarzucił swoją linkę, miał u góry krawędź ostrą jak nóż i pod wpływem ciężaru mężczyzny, który na niej zawisł, linka pękła, a Władca Dżungli spadł wprost na grzbiet jaskiniowego niedźwiedzia.

Wydarzenia te rozegrały się z tak wielką szybkością, że można by się zastanawiać czy to niedźwiedź czy Tarzan był bardziej zaskoczony. Jednak prymitywne istoty, pragnące przeżyć nie mogą sobie pozwolić, by zaskakujące zdarzenie pozbawiło ich możliwości działania. W tej sytuacji obie istoty uznały że to wydarzenie było zaplanowane i spodziewane.

Niedźwiedź podniósł się na tylne łapy i otrząsnął, próbując zrzucić z grzbietu człowieka – małpę, Tarzan zaś objął go za szyję muskularnym, zbrązowiałym od słońca ramieniem i mocno ścisnął, równocześnie dobywając z pochwy swój nóż myśliwski. To było ryzykowne miejsce, aby toczyć tu walkę o życie. Po jednej stronie wznosił się nad nimi stromy klif, po drugiej zaś otwierała się głęboka, mroczna przepaść

i niewiele brakowało by właśnie w tę otchłań runęli obaj, gdy niedźwiedź jaskiniowy rozpaczliwie próbował zrzucić ze swego grzbietu wczepionego weń kurczowo przeciwnika.

Warkot i ryki czworonoga rozbrzmiewały wśród potężnych szczytów Gór Thipdarów, ale człowiek-małpa walczył w milczeniu, raz po raz zatapiając ostrze noża w grzbiecie szamoczącej się bestii, próbującej za wszelką cenę strącić go z siebie, choć najwyraźniej teraz już i ona uważała, by nie zbliżyć się zanadto do krawędzi rozpadliny.

Walka nie mogła jednak trwać w nieskończoność i wreszcie ostrze noża odnalazło kręgosłup zwierza. Niedźwiedź targnął spazmatycznie całym ciałem, a Tarzan pospiesznie ześlizgnął się z jego grzbietu. Znalazł bezpieczne oparcie dla stóp, na kamiennej półce, podczas gdy martwy już zwierz ześlizgnął się poza krawędź i runął na dno wąwozu, zabierając ze sobą cztery strzały oraz włócznię Tarzana.

Człowiek-małpa odnalazł swoją linkę leżącą na kamieniach, tam gdzie spadła, i zwinąwszy ją, ruszył z powrotem po ścieżce, w poszukiwaniu łuku, który porzucił uciekając, jak również, by odnaleźć chłopca.

Kilka kroków dalej, minąwszy występ skalny znalazł się twarzą w twarz z młodzieńcem. Na jego widok chłopak się zatrzymał, z włócznią w gotowości i poluzowując krzemienisty nóż w pochwie. Niósł łuk Tarzana, ale na widok człowieka – małpy upuścił łuk na ziemię, aby móc lepiej się bronić, na wypadek gdyby nieznajomy go zaatakował.

— Jestem Tarzan z Małp – powiedział Władca Dżungli. – Przychodzę jako przyjaciel, nie po to, by zabijać.

— Ja jestem Ovan – rzekł chłopiec. – Jeżeli nie przybyłeś do naszej krainy zabijać, to zapewne chcesz porwać dla siebie

kobietę, a tym samym obowiązkiem wojownika Clovian jest zabić cię.

— Tarzan nie szuka kobiety – odparł człowiek-małpa.

— Wobec tego co robi w Clovi? – dopytywał się chłopak.

— Zgubił się – odrzekł człowiek-małpa. – Tarzan przybywa z innego świata poza Pellucidarem. Został rozdzielony ze swymi przyjaciółmi i nie potrafi odnaleźć drogi powrotnej do nich.

— Dlaczego zaatakowałeś niedźwiedzia? – spytał nagle Ovan.

— Gdybym go nie zaatakował, zabiłby cię – odparł człowiek-małpa.

Ovan podrapał się w głowę.

— Wydaje mi się – rzekł w końcu – że nie ma innego powodu. Tak postąpiliby mężczyźni z mego własnego plemienia, lecz ty do niego nie należysz. Jesteś wrogiem i dlatego nie mogę pojąć, czemu tak postąpiłeś. Chcesz powiedzieć że choć nie należę do twego plemienia, i tak ocaliłbyś mi życie?

— Oczywiście – odparł Tarzan.

Ovan patrzył długo i wnikliwie na stojącego przed nim przystojnego olbrzymia.

— Wierzę ci – rzekł w końcu – choć tego nie rozumiem. Nigdy dotąd nie słyszałem o czymś takim i nie wiem czy mężczyźni z mego plemienia w to uwierzą. Nawet jeśli powiem im co dla mnie zrobiłeś, mogą chcieć cię zabić bo uważają, że nie należy ufać wrogom.

— Gdzie jest wasza wioska? – spytał Tarzan.

— Niedaleko stąd – odparł Ovan.

— Udam się tam z tobą – rzekł Tarzan – i porozmawiam z waszym wodzem.

— Dobrze – zgodził się chłopiec – możesz pomówić z wodzem Avanem. To mój ojciec. A jeśli on i inni mężczyźni postanowią,

że trzeba cię zabić, postaram się pomóc ci, bo ocaliłeś mi życie, kiedy ryth omal mnie nie dopadł.

— Co robiłeś w jaskini? – spytał Tarzan. – Przecież to było oczywiste że mieszkają w niej dzikie zwierzęta.

— Ty też podążałeś tą ścieżką – odparł chłopiec. – Choć tak się złożyło, że szedłeś za rythem. Ja miałem pecha, że znalazłem się przed nim.

— Nie wiedziałem, dokąd prowadzi ścieżka – wyznał człowiek-małpa.

— Ja również – powiedział Ovan. – Nigdy dotąd nie polowałem, chyba że w towarzystwie starszych mężczyzn, teraz jednak osiągnąłem wiek męski i nadszedł czas bym stał się wojownikiem. Dlatego opuściłem jaskinie mego ludu, by w pojedynkę upolować moją pierwszą zdobycz, tylko w ten sposób bowiem, mężczyzna może się stać wojownikiem. Zobaczyłem tę ścieżkę i choć nie wiedziałem dokąd prowadzi, poszedłem nią i już niebawem usłyszałem za sobą kroki rytha, kiedy zaś dotarłem do jaskini i zobaczyłem, że tam właśnie kończy się ścieżka, zrozumiałem że już nigdy nie zobaczę jaskiń mego ludu i że nigdy nie zostanę wojownikiem, kiedy zjawił się wielki ryth i zobaczył jak tam stoję, bardzo się rozeźlił, ale i tak podjąłbym z nim walkę. Może udałoby mi się go zabić, choć to raczej mało prawdopodobne.

— A wtedy pojawiłeś się ty i z pomocą tego wygiętego patyka posłałeś małą włócznię w grzbiet rytha, tak go to rozjuszyło, że zapomniał o mnie i odwrócił się, by ruszyć za tobą w pościg, dokładnie tak, jak to przewidziałeś. Zaiste w krainie skąd pochodzisz muszą żyć dzielni wojownicy. Gdzie ona jest? Czy wasi wojownicy są wielkimi myśliwymi, a twój wódz jest potężny i ma wielką władzę w tej krainie?

Tarzan próbował wyjaśnić, że jego kraina nie znajdowała się w Pellucidarze, ale wykraczało to poza możliwości pojmowania Ovana, dlatego też Tarzan zmienił temat rozmowy i zamiast mówić o sobie zaczął wypytywać chłopaka o różne sprawy, i kiedy tak szli krętą ścieżką w kierunku Clovi, Ovan prawił o odwadze mężczyzn ze swego plemienia i o urodzie tamtejszych kobiet.

— Avan, mój ojciec, jest wielkim wodzem – ciągnął – a mężczyźni z mojego plemienia są wielkimi wojownikami. Często walczyliśmy z mężczyznami z Zoramu i dotarliśmy nawet do Daroz, które leży za Zoramem, bo w naszym plemieniu zawsze więcej jest mężczyzn niż kobiet, a wojownicy muszą szukać sobie wybranek w Zoramie i Daroz. Nawet teraz, Carb udał się do Zoramu z dwudziestoma wojownikami, by porwać tamtejsze kobiety. Zoramianki są bardzo piękne. Kiedy będę trochę większy, też pójdę do Zoramu i wezmę sobie kobietę.

— Jak daleko jest z Clovi do Zoramu? – zapytał Tarzan.

— Niektórzy mówią, że niedaleko a inni, że znacznie dalej – odparł Ovan – Słyszałem jak mówili, że do Zoramu idzie się dalej niż gdy się stamtąd wraca, bo wojownicy zwykle jedzą sześć razy w drodze z Clovi do Zoramu, podczas gdy wracając, silny mężczyzna może odbyć tę podróż jedząc tylko dwukrotnie a mimo to, zachowując siły.

— Ale czemu droga powrotna miałaby być krótsza niż wyprawa w tamtą stronę? – dopytywał się człowiek-mała.

— Bo kiedy wracają zwykle są ścigani przez wojowników z Zoramu – odparł Ovan.

Tarzan uśmiechnął się w duchu, rozbawiony naiwnością rozumowania Ovana, choć z drugiej strony znów był pod wrażeniem tego, jak panujące w Pellucidarze osobliwe warunki

wywołują jedyne w swoim rodzaju anomalie, spośród których istotnymi była niemożliwość odmierzenia odległości czy odmierzenia upływu czasu.

Gdy dwaj wojownicy zmierzali w stronę Clovi, chłopiec stopniowo wyzbył się podejrzliwego nastawienia wobec Tarzana i obecnie traktował go niemalże jak członka swego plemienia. Zauważył rany od szponów thipdara na plecach i ramionach Tarzana, a kiedy wyciągnął od swego towarzysza całą opowieść, nie mógł się nadziwić jego odwadze, pomysłowości i sile, które pozwoliły temu przybyszowi ujść z życiem z sytuacji, którą każdy Pellucidarczyk uznałby za beznadziejną i nie do rozwiązania.

Ovan zauważył, że rany były zaognione i zdał sobie sprawę że musiały sprawiać Tarzanowi sporo bólu i niedogodności, toteż gdy dotarli do najbliższego potoku, uparł się, że trzeba je starannie oczyścić, po czym zebrał liście z pewnego konkretnego krzewu, zgniótł je i wyciśnięty z nich sok wtarł w otwarte rany.

Ból zaognionych ran był niczym w porównaniu z dojmującym cierpieniem jakie towarzyszyło oczyszczaniu ran przez Ovana, a mimo to chłopiec nie zauważył, aby na ciele nieznajomego zadrżał choćby jeden mięsień. Ovan wiedział, że przybysz musiał bardzo cierpieć, a jednak nie okazał tego, i tym samym podziw chłopaka dla nowego towarzysza podróżny wzrósł jeszcze bardziej.

— Może boleć – powiedział – ale nie dopuści, by rany zaczęły gnić, a potem już szybko się zagoją.

Przez krótki czas po tym jak podjęli marsz, ból jaki odczuwał Tarzan był naprawdę rozdzierający, jednak stopniowo poczał

słabnąć, aż minął zupełnie i od tej pory człowiek-małpa nie czuł już żadnych niedogodności.

Droga wiodła do lasu, gdzie rosły proste, mocne młode drzewa, i tu Tarzan zmitrężył na tyle długo, by sporządzić nowy łuk, oraz zrobić pół tuzina dodatkowych strzał. Ovana zaciekał nóż myśliwski Tarzana o stalowym ostrzu oraz jego łuk i strzały, choć potajemnie gardził tym ostatnim, uważając strzały za małe włócznie dla dzieci.

Kiedy jednak zgłodnieli, a Tarzan jedną strzałą powalił górską owcę (muflona), pogarda zmieniła się u chłopaka w podziw i od tej pory nie tylko wyrażał się wobec łuku i strzał z wielkim szacunkiem, ale wręcz błagał Władcę Dżungli, by nauczył go jak wyrabiać te rzeczy i posługiwać się nimi.

Mały Clovianin, był dobrym towarzyszem podróży i szybko zaprzyjaźnił się z człowiekiem-małpą. Ovan miał bowiem cichą godność i powagę typową dla dzikiego zwierzęcia, nie hołdował też gadulstwu, które jest zarazem chlubą i przekleństwem cywilizowanego człowieka – w spokojnym pliocenie nie było chłopięcych oratorów.

— Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił Ovan, zatrzymując się na skraju wąwozu. – Poniżej leżą jaskinie Clovian. Mam nadzieję, że Avan, nasz wódz przyjmie cię jak przyjaciela, ale tego ci obiecać nie mogę. Może byłoby dla ciebie lepiej abyś poszedł w swoją stronę, i nie zachodził do jaskiń Clovian. Nie chcę abyś zastał zabity.

— Nie zostanę zabity – zaproponował Tarzan. – Przychodzę jako przyjaciel.

W głębi serca wiedział jednak, że istniało spore prawdopodobieństwo, iż ci prymitywni dzikusy nigdy nie

zaakceptują obcego i nie potraktują go przyjaźnie, jako równego sobie.

— Chodź więc – rzekł Ovan i zaczął schodzić do wąwozu.

W dalszej części, ścieżka prowadziła pod górę, wzdłuż ściany parowu w głąb jaru. Tu ścieżka wiodła niemal poziomo, była dobrze utrzymana i często z niej korzystano, widać też było, że do jej zbudowania wykorzystano spore umiejętności inżynierskie. To nie była górską ścieżką, którą chodziły zwierzęta, lecz raczej dzieło inteligentnych, aczkolwiek dzikich i prymitywnych ludzi.

Nie dotarli zbyt daleko wzdłuż ścieżki, gdy Ovan cicho zagwizdał a w chwilę potem z załomu ścieżki napłynęła odpowiedź, i kiedy dwaj wędrowcy pokonali zakręt, Tarzan ujrzał przed sobą rozległą, naturalną półkę skalną nad którą wznosił się kamienny nawis, w głębi tej wnęki, powstałej w ścianie klifu spostrzegł ciemne wejście do jaskini.

Na płaskiej, mierzącej około dwóch akrów powierzchni skalnej półki, zebrała się setka mężczyzn, kobiet i dzieci.

Wzrok wszystkich zwrócony był w stronę miejsca, w którym pojawili się przybysze i na widok Tarzana, wojownicy zerwali się na nogi, chwytając za włócznie i noże. Kobiety przywołały do siebie dzieci i czym prędzej wycofały się z nimi w stronę wejścia do jaskini.

— Nie lękajcie się – zawołał chłopiec. – To tylko Ovan i jego przyjaciel, Tarzan.

— My zabijemy – warknęło kilku wojowników.

— Gdzie jest Avan, wódz? – dopytywał się chłopak.

— Tutaj jest Avan, wódz – rozległ się szorstki, gardłowy głos, a Tarzan odwrócił wzrok, by spojrzeć na rosnącego, krzepkiego dzikus, który wyłonił się u wejścia do jaskini.



— Co tam masz, Owanie? – zapytał wódz. – Jeśli przyprowadziłeś jeńca, powinienes był go najpierw rozbroić.

— Nie jest jeńcem – odparł Ovan. – To obcy, przybył do Pellucidaru i przychodzi do nas nie jako wróg, lecz jako przyjaciel.

— To obcy – odparł Avan – i powinienes był go zabić. Poznał drogę do jaskini Clovian i jeśli go nie zabijemy, wróci do swego ludu i poprowadzi go przeciw nam.

— On nie ma ludu i nie wie jak ma wrócić do swej krainy – odparował chłopak.

— Wobec tego nie mówi prawdy, gdyż jest to niemożliwe – rzekł Avan. – Nie ma takiego człowieka, który nie znałby drogi do swojej krainy. Odsuń się od niego Owanie, a ja go ubiję.

Chłopak wyprężył się jak struna zasłaniając Tarzana swoim ciałem.

— Ten kto chciałby zabić przyjaciela Ovana – oznajmił – musi wpierw zabić Ovana.

Wysoki wojownik stojący obok wodza położył dłoń na ramieniu chłopaka.

— Ovan zawsze był dobrym chłopcem – powiedział. – Nie ma w Clovi nikogo w jego wieku, kto potrafiłby zawrzeć w swych słowach tak wiele mądrości. Skoro mówi, że ten przybysz to jego przyjaciel i nie chce abyśmy go zabili, musi mieć po temu powód i powinniśmy go wysłuchać, zanim postanowimy zgładzić obcego.

— Dobrze – powiedział wódz – może masz rację, Ulanie. Zobaczymy. Mów, chłopcze, i powiedz nam dlaczego nie powinniśmy zabić obcego.

— Ponieważ ryzykując własnym życiem, ocalił moje. Starł się w walce z wielkim rythem, któremu nie byłem w stanie uciec

i który zabiłby mnie, gdyby nie on. Nie próbował mnie też skrzywdzić, a któż spośród wrogów Clovian czy choćby spośród ludu Zoramu i Daroz, co są z naszej krwi, nie zabiłby młodzika Clovian, który wnet ma stać się wojownikiem? Nie tylko jest bardzo dzielny, ale jest także wielkim myśliwym. Byłoby dobrze dla plemienia Clovian, gdyby przyjęło go i zaprosiło, by żył pośród nas, jako przyjaciel.

Avan pochylił głowę w zadumie.

— Kiedy wróci Carb, zwołamy radę i podejmiemy decyzję co czynić dalej. – powiedział. – A tymczasem przybysz musi pozostać tu, jako więzień.

— Nie pozostanę jako więzień – zaproponował Tarzan. – Przyszedłem jako przyjaciel i jako przyjaciel pozostanę, albo nie zostanę w ogóle.

— Pozwólmy, by został jako przyjaciel – powiedział Ulan. – Szedł z Ovanem i nie zrobił mu nic złego. Czemu mielibyśmy uznać, że mógłby skrzywdzić nas, skoro nas jest wielu a on tylko jeden?

— Może przyszedł ukraść kobietę – podsunął Avan.

— Nie – zaprzeczył Ovan – nie po to tu jest. Pozwólmy mu zostać a ja własnym życiem zaręczam, że nikogo nie skrzywdzi.

— Niech zostanie – odezwał się jeden z wojowników, bo Ovan był ulubieńcem całego plemienia i przywykli do tego, by mu ustępować, ale choć to robili, nie był ani trochę rozpieszczony.

— Dobrze – rzekł Avan. – Niech zostanie. Ale Ovan i Ulan będą za niego odpowiedzialni.

Tylko nieliczni Clovianie zaakceptowali Tarzana bez cienia podejrzliwości, a wśród nich Maral, matka Ovana i Rela – jego siostra. Te dwie zaakceptowały go bez wahania, bo Ovan

uczynił tak samo. Od początku też mógł liczyć na przyjaźń Ułana. Zresztą Ułan był dla niego ważnym sojusznikiem, gdyż dzięki swej inteligencji, odwadze i zdolnościom stanowił ważną postać w radzie Clovian.

Tarzan, nawykły do plemiennego życia prymitywnych ludów, w naturalny sposób zajął miejsce wśród nich, nie zwracając uwagi na tych, którzy go lekceważyli, obserwując skrupulatnie etykę plemiennego życia i dopasowując się do zwyczajów Clovian. Lubił rozmawiać z Maral, z uwagi na jej pogodną naturę i inteligencję. Powiedziała mu, że pochodzi z Zoramu, lecz została porwana przez Avana, gdy ten, podówczas jeszcze młody wojownik postanowił wziąć sobie kobietę. Przypisywał jej urodę temu, iż pochodziła z Zoramu, bo zgodnie z powszechnym przekonaniem Clovian, to właśnie Zoramianki były najpiękniejszymi spośród wszystkich kobiet.

Ułan od początku go polubił, i jako pierwszy spośród Clovian był jego orędownikiem. Pod wieloma względami, Ułan różnił się od swoich ziomków. Wydawał się być pierwszym spośród nich, który odkrył, że mózg może być wykorzystywany do innych celów niż tylko zapewnianie podstawowych potrzeb. Nauczył się marzyć i korzystać z mózgu by wędrować po ścieżkach przyjemności, dzięki którym zabawiał siebie i innych – wymyślając fantastyczne historie, które rozśmieszały, a kiedy indziej przerażały jego gorliwych słuchaczy; był także twórcą rysunków i zaprezentował je Tarzanowi z prawdziwą dumą. Poprowadziwszy człowieka – małpę do kamiennej jaskini, która pełniła funkcję schronienia, magazynu i twierdzy dla całego plemienia, zapalił prostą żagiew, której blask oświetliwszy ściany ukazał znajdujące się na niej rysunki, dzieło Ułana. Przedstawiono na niej mamuta, tygrysa szablozębnego

i niedźwiedzia jaskiniowego, a także wielkiego jelenia, hienodona i inne znane zwierzęta, jak również kilka takich, których Tarzan nie znał, a jedną z tych istot widział tylko w Palul-donie, gdzie nazywano je gryfem. Ulan powiedział mu, że był to gyor i że spotykano je na Gyor Cors, Wielkich Równinach Gyorów, leżących na krańcu masywu Gór Thipdarów, za Clovi.

Rysunki były zaledwie szkicami, ale wykonano je bardzo sprawnie. Inni członkowie plemienia uważali je za naprawdę cudowne, bo Ulan był pierwszym, który je zrobił i nie potrafili zrozumieć jak tego dokonał. Może gdyby był słabeuszem, z powodu swego daru straciłby wśród swoich ziomków mir, na szczęście jednak był sławnym myśliwym i wojownikiem, toteż jego talenty tylko przydawały mu sławy i estymy. Był szanowany przez wszystkich.

Ale choć oni i kilkoro innych zachowywali się wobec niego przyjaźnie, większość plemienia odnosiła się wobec Tarzana z podejrzliwością, bo nigdy za ich pamięci do ich wioski nie zaszedł obcy, który nie byłby wrogiem. Czekali na powrót Carba i wojowników, którzy mu towarzyszyli, a wówczas, mieli nadzieję, uzyskają w radzie większość, by skazać obcego na śmierć.

W miarę jednak jak lepiej poznawali Tarzana, nastawiali się wobec niego przychylniej, zwłaszcza gdy towarzyszył im podczas polowań, bo dzięki swym umiejętnościom i wprawie bardzo szybko zyskiwał sobie ich szacunek, a jego dziwna broń, na którą zrazu patrzyli z pogardą, wkrótce stała się dla nich obiektem głębokiego podziwu.

Stało się zatem tak, że im dłużej Carb nie wracał, tym bardziej rosły szanse Tarzana na przyjęcie go do plemienia na równych warunkach, a ci których zdołał do siebie przekonać

pomogą mu kiedyś – jak wierzył – w poszukiwaniach jego towarzyszy, bo znali te okolice i ich wsparcie bardzo by mu się przydało.

Był przekonany, że Jason Gridley, jeśli jeszcze żył, zaginął gdzieś wśród tych oszałamiających gór, i gdyby tylko zdołał go odnaleźć, mógłby w końcu, z pomocą Clovian zlokalizować obóz ekspedycji O-220.

Jadł i spał z Clovianami wiele razy, towarzyszył im też podczas kilku polowań. Było południe, kiedy tu przybył i wciąż trwało południe, nie mógł więc wiedzieć czy minął dzień, czy może miesiąc. Kucał przy ognisku Maral, rozmawiając z nią i Ulanem, kiedy od strony jaru dobiegł gwizd oznaczającej dla Clovian przybycie przyjaznej grupy, a w chwilę potem zza załomu klifu wyłonił się młodzieniec i wszedł do wioski.

— To Tomar – oznajmiła Maral. – Może przynosi wieści o Carbie.

Młodzieniec podbiegł na środek skalnego płaskowyzu na którym stała wioska i zatrzymał się. Stał tam przez chwilę, w dramatycznej pozie, z uniesioną ręką nakazując, by wszyscy się uciszyli, po czym przemówił:

— Carb wraca – zawołał. – Zwycięscy wojownicy Clovi wracają z najpiękniejszą kobietą Zoramu. Wielki jest Carb! Wielcy są wojownicy Clovi!

Natychmiast zapomniano o przygotowywaniu posiłku i innych rutynowych czynnościach, gdy plemię wyległo przed jaskinię by oczekiwać tam przybycia zwycięskiego oddziału wojennego.

A ten właśnie się pojawił, wyłaniając się zza załomu klifu i wychodząc na skalny płaskowyz – dwudziestu wojowników prowadzonych przez Carba, a pośród nich dziewczyna,

z rękoma skrępowanymi za plecami i skórzaną pętlą zarzuconą na szyję – wolny koniec rzemienia był trzymany przez krzepkiego wojownika.

Największe zaciekawienie człowieka-mały wzbudził Carb, bo jego pozycja w plemienu a może nawet jego życie zależały od decyzji tego człowieka, który, jak wszystko na to wskazywało miał wielkie wpływy w radzie tego ludu. Carb najwyraźniej był człowiekiem odznaczającym się wielką siłą fizyczną, regularne rysy, jakimi się odznaczał sprawiały, że mógł uchodzić za przystojnego. Uroda fizyczna stanowiła spory atrybut tego ludu, jednak w jego przypadku walory urody psuły cienkie, okrutne usta i zimne, pozbawione współczucia oczy.

Człowiek-mała po krótkim przyjrzeniu się Carbowi przeniósł wzrok na twarz branki, i urzekła go niezwykła uroda tej dziewczyny. W rzeczy samej, pomyślał Tarzan, można ją nazwać najpiękniejszą kobietą Zoramu, wątpił bowiem aby istniało wiele w tym świecie czy na zewnętrznej skorupie, które mogłyby przewyższać tę ślicznotkę, w kwestii fizycznego piękna.

Wódz – Avan stojący pośrodku kamiennej półki przywitał powracających wojowników. Otaksował wzrokiem zdobycz i słuchał z uwagą, podczas gdy Carb zrelacjonował mu co istotniejsze szczegóły wyprawy.

— Niezwłocznie zwołamy radę – oznajmił Avan – by zadecydować, kto posiadzie brankę i równocześnie uporamy się z inną jeszcze sprawą, która oczekiwała na powrót Carba i jego wojowników.

— O co chodzi? – dopytywał się Carb.

Avan wskazał na Tarzana.

— Jest tu obcy, który chce przyłączyć się do plemienia i stać się jednym z nas.

Carb spojrział lodowatymi oczami na człowieka-małą, a jego oblicze spochmurniało.

— Czemu go nie zgładzono? – zapytał. – Skończmy z tym natychmiast.

— Nie tobie o tym decydować – skwitował wódz Avan. – Tylko wojownicy podczas rady mogą mówić co ma się stać.

Carb wzruszył ramionami.

— Jeśli rada nie zadecyduje o zgładzeniu go, sam go zabiję – powiedział. – Ja, Carb nie pozwolę, by w wiosce gdzie mieszkam, pośród nas żył wróg.

— Wobec tego niezwłocznie zwołajmy radę – rzekł Ulan – jeśli bowiem Carb znaczy więcej niż rada wojowników, powinniśmy o tym wiedzieć.

W jego głosie dało się wyczuć nutę sarkazmu.

— Maszerowaliśmy długo bez jedzenia czy snu – odparł Carb. – Najpierw zjedzmy i prześpijmy się, nim zwołamy radę, bo podczas rady wyjść mogą sprawy, które będą wymagały całej naszej siły – to rzekłszy spojrział znacząco na Ulana.

Inni wojownicy, którzy towarzyszyli Carbowi także chcieli zjeść i odpocząć przed udaniem się na radę, a wódz Avan przystał na ich żądania.

Branka nie odezwała się ani słowem odkąd zjawiała się w wiosce, a teraz odwróciła się do Maral, której polecono ją nakarmić i dopilnować, aby się przespała. Zdjęto jej więzy z przegubów i podprowadzono do ogniska wybranki wodza, przy którym stanęła, z wyrazem dumnej wzgardy malującym się na jej pięknej twarzy.

Żadna z kobiet nie przejawiała chęci, by upokarzać i dręczyć branę – co zdumiało Tarzana, dopóki nie wyjaśniono mu powodu takiego zachowania, nieraz bowiem miał okazję widzieć jakich okrucieństw dopuszczały się na kobietach więźniarkach kobiety rdzennych, afrykańskich plemion, w których ręce miały nieszczęście trafić owe biedaczki.

Zwłaszcza Maral zachowywała się wobec dziewczyny życzliwie.

— Czemu miałabym zachowywać się inaczej? – spytała, kiedy Tarzan zwrócił uwagę na ten fakt. – Nasze córki, czy którakolwiek z nas może praktycznie w każdej chwili zostać pochwycona przez wojowników z innego plemienia, i gdyby rozeszły się wieści, że byłyśmy okrutne względem ich kobiet, z całą pewnością odpłaciliby nam z nawiązką, a poza tym dlaczego miałybyśmy nie odnosić się życzliwie względem kobiety, która resztę swego życia spędzi wśród nas. Jest nas za mało i stale przebywamy razem. Gdybyśmy zachowywały się wobec siebie wrogo, i gdybyśmy się kłóciły, nasze życie nie byłoby tak szczęśliwe. Odkąd tu przybyłeś, nie widziałeś żeby kobiety Clovian się kłóciły – i nie zobaczyłbyś tego nawet gdybyś spędził tu resztę życia. Były wśród nas swarliwe kobiety, podobnie jak kiedyś były kalekie dzieci, ale pozbyliśmy się, i jednych i drugich, dla dobra plemienia.

Odwróciła się do dziewczyny.

— Usiądź – rzekła przyjaźnie. – W garnku jest mięso. Jedz, a potem możesz się przespać. Nie bój się, jesteś wśród przyjaciół. Ja też pochodzę z Zoramu.

W tej samej chwili dziewczyna popatrzyła na kobietę, która do niej mówiła.



— Jesteś z Zoramu? – spytała. – Wobec tego musisz wiedzieć co czuję. Chcę wrócić do Zoramu. Wolałabym raczej umrzeć niż żyć gdzieś indziej.

— Pogodzisz się z tym – rzekła Maral. – Ja czułam to samo, ale gdy się tu trochę zadomowiłam, stwierdziłam, że Clovianie bardzo przypominają lud Zoramu. Byli dla mnie dobrzy i będą dobrzy dla ciebie, i ty też będziesz szczęśliwa, tak jak ja. Kiedy przyznają ci mężczyznę zaczniesz inaczej patrzeć na życie.

— Nie połączę się z żadnym z ich mężczyzn – zawołała dziewczyna, tupiąc obutą w sandał stópką. – Jestem Jana, Czerwony Kwiat Zoramu i sama wybiorę sobie mężczyznę.

Maral ze smutkiem pokręciła głową.

— Ja też tak kiedyś mówiłam – rzekła – ale się zmieniłam i ty też się zmienisz.

— Nie ja – zaproponowała dziewczyna. – Spotkałam tylko jednego mężczyznę, z którym mogłabym się połączyć i nigdy nie będę kobietą innego.

— Ty jesteś Jana, siostra Thoara? – zapytał Tarzan.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem, jakby dopiero teraz zauważyła go po raz pierwszy, i przez chwilę świdrowała go wzrokiem.

— Ach – rzekła – ty jesteś tym obcym, którego chce zgładzić Carb.

— Tak – odrzekł człowiek-małpa.

— Co wiem o moim bracie, Thoarze?

— Polowaliśmy razem. Wracaliśmy do Zoramu, kiedy się rozdzieliliśmy. Szliśmy po śladach pozostawionych przez ciebie i mężczyznę, który był z tobą, kiedy nadeszła burza i je zmyła. Twój towarzysz to mężczyzna, którego szukałem.

— Co wiesz o mężczyźnie, który był ze mną? – spytała dziewczyna.

— To mój przyjaciel – odrzekł Tarzan. – Co się z nim stało?

— Został pochwycony przez wezbrane wody w wąwozie podczas burzy i najprawdopodobniej utonął – odparła ze smutkiem Jana. – Pochodzisz z jego krainy?

— Tak.

— Skąd wiedziałeś, że był ze mną? – spytała.

— Rozpoznałem jego ślady, tak jak Thoar poznał twoje.

— Był wielkim wojownikiem – powiedziała – i bardzo dzielny mężczyzną.

— Jesteś pewna, że nie żyje? – zapytał Tarzan.

— Jestem pewna – odparła Jana, Czerwony Kwiat Zoramu.

Milczeli przez dłuższą chwilę, pogrążeni w myślach o Jasonie Gridleyu.

— Byłeś jego przyjacielem – rzekła Jana. Podeszła i usiadła obok niego. A potem nachyliła się ku niemu. – Oni cię zabiją – wyszeptała. – Znam ludzi z tych plemion lepiej niż ty i znam Carba. Dopnie swego. Byłeś przyjacielem Jasona, i ja również. Gdybyśmy mogli uciec, mogłabym doprowadzić cię do Zoramu, a jeśli jesteś przyjacielem Thoara i moim, lud Zoramu cię przyjmie.

— Czemu szepczesz? – rozległ się za nimi ochrypły, szorstki głos, a gdy się odwrócili, zobaczyli wodza – Avana. Ten, nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Maral. – Zabierz tę kobietę do jaskini – powiedział. – Zostanie tam, dopóki rada nie zadecyduje kto zostanie jej mężczyzną, a tymczasem ja postawię wojowników przed wejściem do jaskini, aby Zoramianka nie uciekła.

Gdy Maral gestem wskazała Janie drogę do jaskini, kobieta wstała i równocześnie spojrzała znacząco na Tarzana. Człowiek-małpa wstał i rozejrzał się pospiesznie dokoła. Na skalnej półce zebrało się około stu członków plemienia, podczas gdy w pobliżu ścieżki prowadzącej w dół do jaru i stanowiącej jedyną drogę ucieczki, rozłożył się leniwie tuzin wojowników. W pojedynkę mógłby się jakoś przebić, ale z dziewczyną byłoby to niemożliwe. Pokręcił głową, a z jego ust, gdy odwrócił się do Avana tyłem popłynęło jedno krótkie słowo.

— Czeka!

W chwilę potem Czerwony Kwiat Zoramu weszła do ciemnej jaskini Clovian.

— Co do ciebie, mężczyzno z innej krainy – rzekł Avan, zwracając się do Tarzana – dopóki rada nie zadecyduje o twoim losie jesteś naszym więźniem. Wejź przeto do jaskini i zostań tam, dopóki rada wojowników się nie wypowie.

Tuzin wojowników stało na jego drodze do wolności, ale byli rozleniwieni i gnuśni, nie spodziewali się kłopotów. Zuchwały bieg ku wolności mógłby sprawić, że Tarzan zostawiłby ich daleko w tyle nim zdążyliby się zorientować, że podjął próbę ucieczki. Był pewien, że decyzja rady nie będzie dla niego korzystna, a gdy zostanie ogłoszona, otoczy go cała gromada wojowników Clovian, czujnych i gotowych zapobiec jego ucieczce. Teraz był najdogodniejszy moment, lecz Tarzan z Małp nie podjął próby wyrwania się na wolność – miast tego odwrócił się i ruszył w stronę wejścia do jaskini – bo Jana, Czerwony Kwiat Zoramu poprosiła go o pomoc, a on nie mógł porzucić siostry Thoara i przyjaciółki Jasona Gridleya.

## PHELIAŃSKIE MOCZARY

Gdy Jason Gridley zeskoczył po zboczu wąwozu w stronę samotnego wojownika, który wstał, by stawić czoło atakowi ogromnego gada, szybującego ku niemu w zawrotnym tempie, od przeciwległego skraju rozpadliny, przypomniał sobie, że widział kiedyś odrestaurowany wizerunek podobnego wymarłego gada i rozpoznał to stworzenie jako jurajskiego stegozaura, ale jakże nieadekwatny był ów wizerunek, zarówno pod względem jego gigantycznych rozmiarów, jak i przerażającego, groźnego nastawienia, bo z samego tylko obrazka nie sposób się było tego domyślić.

Jason patrzył na samotnego wojownika, stojącego w obliczu niechybnej zguby, lecz jego zachowanie nie zdradzało nawet cienia lęku. W prawej dłoni trzymał niedużą włócznię a w lewej toporny, krzemienny nóż. Wiedział, że umrze, ale nie zamierzał tanio sprzedać swojej skóry. Nie poddawał się panice ani trwodze, nie próbował również uciekać. Odległość pomiędzy Jasonem a stegozaurem była za duża jak na strzał z rewolweru, lecz Amerykanin liczył, że przynajmniej zdoła w ten sposób odwrócić uwagę gada od jego ofiary, a może nawet go spłoszy odgłosami wystrzałów, i wypalił dwa razy, zeskakując na dno parowu. O tym, że przynajmniej jeden strzał dosięgnął gada, mógł świadczyć jego głośny rozdzierający ryk, jaki wydał z siebie w tej samej chwili.

Stegozaur, zwróciwszy uwagę na Jasona za sprawą wystrzału z rewolweru oraz bólu jaki zadał mu ten nowy wróg, użył ogona jak steru i przekrzywiając kostne wyrostki grzbietowe skręcił w stronę Amerykanina.

Gdy huk dwóch wystrzałów rozdarł ciszę wąwozu, wojownik skierował wzrok w stronę mężczyzny zeskakującego po zboczu i zaraz potem ujrzał jak wielki gad kieruje się ku nowo przybyłemu. Wrodzony instynkt oraz wyszkolenie w połączeniu z doświadczeniem nauczyły tego prymitywnego dzikusa, że wszyscy inni mężczyźni, o ile nie należeli do jego plemienia byli dla niego wrogami. Do tej pory w swoim życiu zetknął się tylko z jednym przypadkiem, który przeczył tym naukom i wydawało mu się niepojęte, że ten obcy zamierzał z własnej woli ryzykować życiem dla niego. Jednakże inne wyjaśnienie raczej nie wchodziło w grę, a co za tym idzie, skonsternowany wojownik, zamiast salwować się ucieczką, teraz szybko podbiegł do Jasona, by połączywszy z nim siły odeprzeć atak olbrzyma.

Od momentu, kiedy stegozaur skoczył ze szczytu klifu, szybował w powietrzu z szybkością zdającą się przeczyć jego masywnej budowie, i to wszystko co wydarzyło się w tym czasie trwało zaledwie kilka chwil – zaś Jason Gridley stanął oko w oko ze śmiercią niemalże zanim zdążył zastanowić się nad potencjalnymi rezultatami swej spontanicznej interwencji.

Z szeroko rozdziawioną paszczą i wydając przenikliwe ryki, przerażające stworzenie pomknęło w jego stronę, ale teraz przynajmniej stanowiło łatwy cel, a Jason Gridley nie omieszkał wykorzystać tej dogodnej sytuacji.

Wypalił pospiesznie z obu rewolwerów, próbując trafić w maleńki mózg stwora, którego umiejscowienia mógł się

jedynie domyślać i w poszukiwaniu którego kule z obu coltów wwierciły się w podniebienie stegozaura, przez jego otwarty pysk. Miał nadzieję że bestia nie będzie w stanie długo znosić tej zabójczej kanonady i się nie pomylił. Dziwne, przeraźliwe dźwięki, oraz ból i szok wywołany przez kule wgryzające się w jego czaszkę – tego już było dla stegozaura za wiele. Zaledwie o kilkanaście stóp od Gridleya, stwór skierował się ostro w górę i przeleciał nad jego głową, obrywając przy tym jeszcze dwie czy trzy kule w miękkie podbrzusze. Wciąż rycząc z bólu i wściekłości, stwór spikował w dół i wylądował na ziemi, za Gridleyem.

Niemal natychmiast jednak odwrócił się i ponowił atak. Tym razem biegł na czterech łapach, a Jason przekonał się, że stworzenie na twardym gruncie radziło sobie równie dobrze jak w powietrzu, bo pomimo znacznych rozmiarów, poruszało się z wielką szybkością i zwinnością.

Kiedy tak stał, naprzeciwko zawracającego stworzenia, obok niego pojawił się wojownik.

— Zaatakuj go z jednej strony – rzekł wojownik – a ja z drugiej. Uważaj na jego ogon. Użyj włóczni. Dyrodora nie przestraszysz byle hałasem.

Jason Gridley szybko uskoczył w bok, by wykonać polecenie i uśmiechnął się w duchu na myśl o naiwnej sugestii tamtego, że jego colt miał jedynie przepłoszyć stwora. Wojownik zajął miejsce naprzeciwko nadbiegającego stworzenia, ale z drugiej strony, zanim jednak zdążył cisnąć włócznią, albo nim Jason zdążył oddać kolejny strzał, gadzina runęła do przodu, orząc pyskiem ziemię, i przewróciła się na bok, martwa.

— Nie żyje! – rzucił ze zdumieniem wojownik. – Co mogło go zabić? Żaden z nas nie rzucił włócznią.

Jason wsunął colty do kabur.

— To one go zabiły – powiedział, poklepując rewolwery.

— Hałasy nie zabijają – powiedział sceptycznie wojownik. – To nie ujadanie jaloka ani warknięcia rytha rozdzierają ciało człowieka. Syk thipdara nikogo nie zabije.

— To nie hałas go zabił – odparł Jason. – Jeśli jednak obejrzysz jego łeb, a zwłaszcza podniebienie, przekonasz się co się dzieje, gdy zaczynają przemawiać moje pukawki.

Idąc za sugestią Jasona, wojownik zbadał pysk i łeb dyrodora a kiedy spostrzegł ziejące rany, popatrzył na Jasona z wyraźnym szacunkiem.

— Kim jesteś – spytał – i co robisz w krainie Zoram?

— Mój Boże! – wykrzyknął Jason. – Jestem w Zoramie?

— Tak.

— A ty jesteś jednym z mężczyzn z Zoramu? – dopytywał się Amerykanin.

— Tak, ale kim ty jesteś?

— Powiedz mi, czy znasz Janę, Czerwony Kwiat Zoramu? – zapytał Jason.

— Co wiesz o Czerwonym Kwicie Zoramu, nieznajomy? – odparował tamten. I nagle jego oczy rozszerzyły się pod wpływem nowej myśli. – Powiedz mi – zawołał – jakim imieniem zwą cię w krainie skąd przybywasz?

— Nazywam się Gridley – odrzekł Amerykanin. – Jason Gridley.

— Jason! – zawołał tamten – tak, Jason Gridley, to się zgadza. A teraz mówże, człowieku, gdzie jest Czerwony Kwiat Zoramu? Co z nią zrobiłeś?

— O to samo chciałem zapytać ciebie – odrzekł Jason. – Zostaliśmy rozdzieleni i od tej pory jej szukam. Ale skąd mnie

znasz?

— Szedłem za tobą, już od dawna – odparł tamten – lecz spadły wody i zmyły twoje ślady.

— Czemu za mną szedłeś? – dopytywał się Jason.

— Szedłem za tobą, ponieważ byłeś z Czerwonym Kwiatem Zoramu – padła enigmatyczna odpowiedź. – Szedłem za tobą, by cię zabić, ale on powiedział, że nie zrobisz jej krzywdy, i stwierdził że ona idzie z tobą z własnej woli. Czy to prawda?

— Szła ze mną z własnej woli przez pewien czas – odparł Jason – a potem mnie zostawiła, lecz ja nic jej nie zrobiłem.

— Wobec tego może on miał rację – skonstatował wojownik. – Zaczekam aż ją znajdę, i jeśli jej nie skrzywdziłeś, nie zabiję cię.

— Kogo masz na myśli, kiedy mówisz „on”? – spytał Jason. – W Pellucidarze nie ma nikogo, kto mógłby coś o mnie wiedzieć, może poza Janą.

— A nie znasz Tarzana? – zapytał wojownik.

— Tarzan! – wykrzyknął Jason. – Widziałeś Tarzana? Czy on żyje?

— Widziałem go. Polowaliśmy razem i szliśmy za tobą i Janą, ale on już nie żyje. Umarł.

— Umarł? Jesteś pewien że nie żyje?

— Tak, jest martwy.

— Jak to się stało?

— Pokonywaliśmy górską grań, kiedy został pochwycony i porwany przez thipdara.

Tarzan nie żyje! Tego się właśnie obawiał, ale oto zyskał dowód na coś co wydawało się nie do uwierzenia. Z trudem był w stanie objąć umysłem znaczenie słów, które usłyszał, gdy przypominał sobie siłę i witalność tego człowieka ze stali.



Wydawało się niewiarygodne, aby ten olbrzym mógł pożegnać się z życiem, że pod jego zbrązowiałą od słońca skórą nie przesuwają się już falujące mięśnie, że jego dzielne serce przestało bić.

— Bardzo go lubiłeś? – zapytał wojownik zwracając uwagę, że tamten nagle zamilkł i posmutniał.

— Tak – odparł Jason.

— Ja również – przyznał wojownik – ale ani Tar-gash, ani ja nie mogliśmy go ocalić. Thipdar uderzył tak szybko i odleciał, zanim zdążyliśmy użyć naszych włóczy.

— Kto to jest Tar-gash? – zapytał Jason.

— To Sagoth, jeden z włóchatych ludzi – odparł wojownik. – Żyją w lesie i są często wykorzystywani przez Mahary jako wojownicy.

— I on był z tobą i Tarzanem? – dopytywał się Jason.

— Tak. Byli razem, kiedy ujrzałem ich po raz pierwszy, ale teraz Tarzan nie żyje, a Tar-gash wrócił do swojej krainy. Ja zaś muszę kontynuować poszukiwania Czerwonego Kwiatu Zoramu. Ocaliłeś mi życie, człowieku z innej krainy, ale nie wiem czy nie skrzywdziłeś Jany. Może ją zabiłeś. Skąd mogę wiedzieć? Nie wiem co powinienem zrobić.

— Ja także szukam Jany – stwierdził Jason. – Poszukajmy jej razem.

— A kiedy ją znajdziemy, ona powie mi czy powinienem cię zabić czy nie – odrzekł wojownik.

Jason nie zapomniał o tym, że Jana była na niego zła. Omal sama go nie zabiła. Może byłoby jej łatwiej, gdyby pozwoliła aby to ten wojownik go zabił.

Bez wątplenia ten mężczyzna był jej ukochanym i gdyby znał prawdę, nie zawahałby się przed zgładzeniem rywala, ale ani

spojrzeniem ani słowem nie zdradził swych obaw, odpowiadając:

— Pójdę z tobą, a jeśli skrzywdziłem Czerwony Kwiat Zoramu, możesz mnie zabić. Jak cię zwa?

— Thoar – odparł wojownik.

Jana wspominała Jasonowi o swoim bracie, ale nie powiedziała mu, jak ma na imię, a jeśli nawet, to i tak je zapomniał, bo myślał teraz tylko o tym, że Thoar był ukochanym i być może także wybrankiem Czerwonego Kwiatu Zoramu, a jego reakcja na tę myśl nie należała do przyjemnych, choć nie potrafił wytłumaczyć czemu tak było. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był pewien że Thoar to wybranek Jany bo któż mógłby bardziej niż jej luby, pragnąć śmierci człowieka, który ją skrzywdził. Tak, ten człowiek z całą pewnością był wybrankiem Jany. Ta myśl wzbudziła w nim złość, bo przecież Jana wyraźnie dała mu do zrozumienia że nie miała swego wybranka. Ale to typowe dla kobiet, dywagował, wszystkie kobiety są z natury flirciarami, ot, choćby dla zabicia czasu były skłonne zrobić z mężczyzny idiotę, ale jej nie udało się go omamić. Nie dał się otumanić jej ponętnemu powabowi i dlatego tak się na niego wściekła – bo ucierpiała na tym jej próżność – i będąc bardzo prymitywną, młodą osóbką pierwsze co przyszło jej do głowy to – zabić go. Ależ z niej była diablica, że próbowała rozkochać go w sobie, choć przecież miała już lubego, myślał Jason, coraz bardziej rozpalając w sobie gniew, dopóki nie przyszło mu z pomocą jego zwykle poczucie humoru, ale nawet gdy się uśmiechał gdzieś w głębi duszy czuł się zraniony, choć nie pojmował, dlaczego.

— Gdzie ostatni raz widziałeś Janę? – zapytał Thoar. – Możemy wrócić tam i spróbować odnaleźć jej ślady.

— Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić – odrzekł Jason. – Jest mi bardzo trudno umiejscowić samego siebie, czy jakieś miejsce, w tej krainie gdzie nie ma stron świata.

— Możemy zacząć razem w miejscu gdzie znaleźliśmy ślady twoje i Jany – podsunął Thoar.

— Może to nie będzie konieczne, jeżeli znasz krainę po drugiej stronie tego masywu – odparł Jason. – Wracając w stronę gór od miejsca, gdzie pierwszy raz ujrzałem Janę, po lewej stronie miałem ogromny wąwóz. To w stronę tego wąwozu pobiegli dwaj mężczyźni z czterech, którzy ją ścigali, po tym jak zabiłem dwóch pozostałych. Jana próbowała znaleźć drogę na szczyt, na prawo od wąwozu, ale drogę zablokowała nam głęboka rozpadlina, biegnąca równolegle do podstawy gór i koniec końców musiała ponownie zawrócić w stronę wąwozu, do którego zeszła. Ostatni raz widziałem ją jak szła w wąwozie pod górę, zatem o ile wiesz, gdzie leży ten parów nie musielibyśmy wracać aż do miejsca, w którym spotkałem ją po raz pierwszy.

— Znam ten wąwóz – rzekł Thoar – i jeśli dwaj Phelianie tam zeszli, możliwe jest, że ją schwytali. Wobec tego poszukamy w okolicy wąwozu, a jeśli nie znajdziemy tam żadnych jej śladów udamy się do krainy Phelian, na nizinie.

Thoar poprowadził Jasona przez labirynt postrzępionych szczytów. Dla niego czas nie znaczył kompletnie nic; dla Jasona Gridleya był on tylko wspomnieniem. Kiedy znaleźli jedzenie – jedli, kiedy się zmęczeni – spali, a przed nimi nieprzerwanie jawiły się groźne skały, które trzeba było ominąć albo strome zbocza, na które należało się wspiąć. Dla Amerykanina wydawało się czymś wprost niewiarygodnym, że dziewczyna

mogłaby pokonać tę trasę, gdyby sam nie miał okazji podążać za Czerwonym Kwiatem Zoramu.

Od czasu do czasu zmuszeni byli iść niżej położonym szlakiem, wiodącym przez lasy porastające spore partie gór i tu napotykali więcej zwierzyny łownej, Jason zaś, z pomocą Thoara zrobił sobie przyodziewek ze skóry górskiego kozła. Było to dość prymitywne ubranie, ale spełniło swoje zadanie i dzięki niemu miał wolne ręce i nogi. Bardzo szybko zorientował się w zaletach tego ubioru i zastanawiał się dlaczego człowiek cywilizowany na zewnętrznej skorupie musiał przyoblekać się w bezużyteczne odzienie, którego nie wymagały od niego warunki pogodowe i panujące tam temperatury.

Kiedy Jason lepiej zaznajomił się z Thoarem, przestał odnosić się względem niego podejrzliwie i teraz patrzył na niego nieomal z podziwem, aż w końcu szczerze polubił tego dzikiego Pellucidarczyka, pomimo faktu, że jego nastawienie względem tamtego było nacechowane pewną dozą, jeśli nie jawnej animozji, to czegoś bardzo do niej zbliżonego. Jasonowi trudno było pojąć odczucia, które nim powodowały. Nie mogło być mowy o rywalizacji pomiędzy nim a tym prymitywnym wojownikiem, a mimo to nastawienie Jasona i jego zachowanie względem Thoara przywodziło na myśl postawę człowieka honoru względem równie honorowego przeciwnika bądź też rywala.

Rzadko, o ile w ogóle, rozmawiali o Janie, jednak była ona stale obecna w ich myślach. Jason często przyłapywał się, że wspominał każdy szczegół swej wędrówki z nią, najdrobniejsze nawet, charakterystyczne gesty i grymasy zapisały się na zawsze w jego pamięci – podobnie jak jej idealna

sylwetka i oblicze promieniujące olśniewającą urodą. Nawet gorzkie słowa jakie usłyszał od niej, gdy się rozstawali nie zdołały przyćmić radości jej miłego towarzystwa. Nigdy dotąd, w całym swoim życiu nie tęsknił za towarzystwem kobiety. Kilkukrotnie próbował uwolnić myśli od niej wspomnieniami o swojej przyjaźni z Cynthią Furnois czy Barbarą Green, ale wizja Czerwonego Kwiatu Zoramu wciąż pozostała w nim żywa, podczas gdy wspomnienia Cynthii i Barbary powoli zbladły i popadły w zapomnienie. To, że ta niewydukowana dzikuska, mimo iż niewątpliwie piękna, do tego stopnia nim owładnęła rozdrażniło jego ego i próbował uciec przed tym, pogrążając się w smutku jaki wywołała w nim wieść o śmierci Tarzana, ale jakimś sposobem nie potrafił do końca uwierzyć, że Tarzan nie żyje. To była jedna z tych rzeczy, która wydawała mu się absolutnie nieprawdopodobna.

Gdy wreszcie dał sobie z tym spokój, próbował zająć umysł rozmyślaniami nad losami von Horsta, Muviro i wojowników Waziri, oraz tego co mogło się dziać na pokładzie olbrzymiego sterowca, w poszukiwaniu którego jego oczy często przepatrywały bezchmurne, pellucidarskie niebo. Jednak niezależnie dokąd podążał myślami, choćby nawet do odległych wzgórz Tarzany w dalekiej Kalifornii, zawsze prędzej czy później powracał w nich do dziewczęcej sylwetki Czerwonego Kwiatu Zoramu.

Thoar ze swej strony znalazł w Amerykaninie bratnią duszę, cichego, spokojnego mężczyznę, zawsze gotowego dzielić trudy wędrówki i dzielnie stawiać czoło przeszkodom napotykanym na tym dzikim szlaku.

I tak dwaj mężczyźni dotarli w końcu do skraju wielkiego wąwozu, ale choć przemierzyli go w obu kierunkach pokonując

sporą odległość, nie znaleźli żadnych śladów Jany ani oznak, że w ogóle tędy przechodziła.

— Powinniśmy zejść na niziny – rzekł Thoar – do krainy Pheli i nawet jeśli jej nie znajdziemy, zawsze możemy ją pomścić.

Idea prymitywnej sprawiedliwości zawarta w słowach Thoara nie kłóciła się z kwestiami natury etycznej w umyśle cywilizowanego Amerykanina, wręcz przeciwnie, wydawało się czymś zgoła naturalnym, że on i Thoar mieliby stać się sądem i narzędziami wymiaru sprawiedliwości zarazem, człowiek bowiem bardzo szybko zrzuca z siebie cienką otoczkę cywilizacji, która jest jedyną rzeczą oddzielającą go od prymitywnych przodków.

I w ten właśnie sposób licząca być może sto tysięcy lat przepaść pomiędzy Thoarem z Zoramu a Jasonem Gridleyem z Tarzany została zamknięta. Wiedzeni tą samą nienawiścią zeszli po stokach Gór Thipdarów ku krainie Pheli, a w sercu każdego z nich płonęła żądza mord. Nie potrzeba tu było chciwego wytwórcy broni i amunicji, aby rozpętać wojnę.

Szli przez rozległe puszcze i pofalowane wzgórza, zmierzając ku krainie Pheli. Okolica obfitowała tu w najgroźniejszą zwierzynę i napotykali po drodze zjadłe drapieżniki, głupie, łatwo wpadające w gniew roślinożerne olbrzymy, i gigantyczne gady, pod których stopami trzęsła się ziemia. Tylko dzięki kombinacji wyższej inteligencji człowieka oraz odrobiny szczęścia udało im się dotrzeć do podmokłej krainy, gdzie leżało Pheli. Tu dominowały gady. Były ich tysiące najróżniejszych gatunków i rozmiarów. Wodne, ziemnowodne, mięso i roślinożerne, syczały, ryczały, walczyły i pożerały się wzajemnie, a Jason zaczął się nawet zastanawiać, kiedy te stworzenia znajdowały czas, by się rozmnażać. Zdumiewało

go również, że wśród tych drapieżników znajdowało się tyle roślinożernych gadów. Przerazająca orgia zagłady zdawała się stanowić zasadniczy cel istnienia sporej części tego gatunku, a mimo to znaczące rozmiary wielu z nich, w tym także kilku różnych gatunków roślinożerców stanowiło jasny dowód, że całkiem sporo tych stworzeń dożywało sędziwego wieku, gdyż w przeciwieństwie do ssaków, gady nie przestawały rosnać, przez całe swoje życie.

Bagna gdzie jak wierzył Thoar znajdowały się wioski Phelian, porastał gęsty las gigantycznych drzew, których gałęzie tak splatały się z sobą, że dwóm mężczyznom często łatwiej było wędrować po nich niż po zdradliwym, grząskim gruncie. Tu także gady były mniejsze, choć nie mniej liczne. Zdarzały się wszelako wyjątki a największe obawy wędrowców wzbudziły węże tak tytanicznych rozmiarów, że gdy ujrzał je po raz pierwszy, Jason nie mógł uwierzyć własnym oczom. Natknęli się na tę istotę nagle, gdy połykała właśnie trachodona, wielkiego jak słoń.

Ogromny roślinożerny dinozaur żył jeszcze i dzielnie walczył, by uwolnić się ze szczęk węża, ale nawet jego niepoślednia siła i mogący budzić grozę zestaw zębów, na który składało się ponad czterysta zębów w samej tylko dolnej żuchwie, nie pomogły w tej nierównej walce z kolosalnym stworzeniem, które powoli pożerało go żywcem.

Być może to ich mikre rozmiary, w połączeniu z intelektem i odrobiną szczęścia pozwoliły ocalić dwóch mężczyzn od szczęk tych przerażających stworzeń. A może zawdzięczali to głupocie samych gadów, które względnie łatwo pozwoliły mężczyznom aby się im wymknęli.

Na to straszne trzęsawisko grozy nie zapuszczały się nawet wielkie taragi czy równie groźne pellucidarskie lwy i lamparty, a to, jak mogli żyć tam ludzie wykraczało poza możliwości pojmwania Jasona. Prawdę mówiąc wątpił on, aby Phelianie czy jakakolwiek inna rasa ludzi mogła się tam osiedlić.

— Ludzie nie mogliby żyć w takim miejscu – rzekł do Thoara.  
– Pheli musi leżeć gdzie indziej.

— Nie – odparł jego towarzysz – członkowie mego plemienia przybywali tu więcej niż raz za ludzkiej pamięci, by pomścić uprowadzenie kobiety i opowieści jakie przynieśli ze sobą pozwoliły nam zapoznać się z warunkami istniejącymi w krainie Pheli. To tutaj.

— Możesz mieć rację – rzekł Jason – ale tak jak te węże, muszę najpierw zobaczyć wioski Phelian nim uwierzę, że tu są, a może nawet wówczas nie będę przekonany czy powinienem w to uwierzyć.

— Już niedługo – rzekł Thoar – ujrzysz Phelian w ich wiosce.

— Skąd to przypuszczenie? – spytał Jason.

— Spójrz w dół a zobaczysz to, czego szukałem – odparł Thoar, wskazując ręką.

Jason zrobił to i odkrył nieduży strumień płynący kręto przez moczary.

— Widzę jedynie potok – stwierdził.

— I tego właśnie szukałem – odrzekł Thoar. – Wszyscy moi ziomkowie, którzy tu byli mówią, że Phelianie mieszkają nad brzegiem rzeki, płynącej przez bagna. Miejscami teren się wznosi i to właśnie na tych wzgórzach Phelianie pobudowali swe domy. Nie żyją w jaskiniach jak my, lecz budują domy z wielkich drzew, tak mocnych, że nawet największe gady nie są w stanie się do nich wedrzeć.



— Ale czemu ktoś miałby chcieć żyć w takim miejscu? – dopytywał się Amerykanin.

— Aby jeść i rozmnażać się we względnym spokoju i zadowoleniu – odrzekł Thoar. – Phelianie, w przeciwieństwie do ludzi gór nie są rasą wojowników. Nie lubią walczyć, dlatego ukrywają swoje wioski daleko na bagnach, gdzie żaden mężczyzna nie odważyłby się przybyć i są dzięki temu niemal całkiem wolni od ludzkich wrogów. Poza tym mięsa jest tutaj tyle, że jadła zawsze mają w bród. Warunki są dla nich idealne, bardziej niż gdziekolwiek indziej w Pellucidarze i tu mogą znaleźć zadowolenie.

Szli teraz z największą ostrożnością, wiedząc, że w każdej chwili w ich zasięgu wzroku mogła pojawić się Pheliańska wioska. Niebawem też Thoar zatrzymał się i ukrył za pniem drzewa, które mijali, po czym wskazał rękę przed siebie. Jason spojrzał i zobaczył przed nimi nagie wzgórze, którego tylko część była widoczna spomiędzy drzew, ale nie ulegało wątpliwości, że owo wzgórze zostało wykarczowane i oczyszczone ręką człowieka, gdyż pozostało na nim wiele pni. W jego polu widzenia pojawił się tylko jeden dom, jeżeli można go było określić tym mianem. Był zbudowany z drewnianych bali o średnicy od jednej do dwóch stóp. Trzy czy cztery z tych kłód ułożone poziomo i umieszczone jedna na drugiej tworzyły ścianę, która ukazała się oczom Jasona. Druga boczna ściana biegła równoległe do pierwszej oddalona od niej o pięć czy sześć stóp, a w poprzek, na górnych kłodach ułożono fragmenty mniejszych drzewek, o średnicy około sześciu cali i rozłożone nie więcej niż o stopę jeden od drugiego. Wspierały one dach, tworzony przez kilka kłód, nieco dłuższych niż te, z których wzniesiono ściany. Kłody w dachu były ułożone jedna przy

drugiej, a szczeliny między nimi wypełniono gliną. Front budynku tworzyły krótsze kłody wbite w ziemię i ustawione pionowo, pozostawiony z przodu nieduży otwór miał pełnić funkcję drzwi. Jednak najbardziej zauważalnym elementem Pheliańskiej architektury były długie, zastrzone kołki, wbite w ziemię i wystające z niej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wzdłuż podstawy ścian i biegnące wokół całego budynku w odległości osiemnastu cali jeden od drugiego. Same kołki miały od sześciu do ośmiu cali średnicy i jakieś dziesięć stóp długości. Zastrzone u góry stanowiły zaporę przeciwko tym nielicznym stworzeniom, które, jakkolwiek pozbawione mózgu, mogłyby podjąć próbę sforsowania zasieków.

Podchodząc bliżej, dwaj mężczyźni mogli lepiej przyjrzeć się wiosce, którą rozlokowano po tej stronie wzgórza, do której się zbliżali. Rozmieszczono na szczycie cztery budynki, podobne do tego, który odkryli wcześniej. Wokół podstawy wzgórza rósł gęsty las, ale samo wzgórze było kompletnie pozbawione roślinności, dzięki czemu nic, dużego ani małego, nie mogłoby zbliżyć się do wioski Phelian niezauważone.

W wiosce nikogo nie było widać, ale Thoar nie dał się oszukać, bo podejrzewał że wszystko co rozgrywało się na zboczu wzgórza i w jego okolicy było śledzone przez wiele par oczu wyglądających przez otwory pomiędzy kłodami, z mrocznego wnętrza drewnianych budowli z bali, pod których niskimi sklepieniami Phelianie musieli wieść życie w kucki lub na leżąco, gdyż były one za niskie, aby można było stanąć wewnątrz w pozycji wyprostowanej.

— No dobra – rzekł Jason – jesteście. Co teraz?

Thoar spojrział tęsknym wzrokiem na dwa colty Jasona.

— Odmówiłeś ich użycia w obawie przed zmarnowaniem śmierci, którą plują z tych srebrnych otworów – powiedział – ale dzięki jednemu takiemu moglibyśmy wnet odnaleźć Janę, jeśli tu była, albo szybko ją pomścić, jeżeli jej tu nie ma.

— Wobec tego chodźmy – rzekł Jason. – Dla Czerwonego Kwiatu Zoramu gotów jestem poświęcić więcej niż tylko amunicję.

Mówiąc to, zszedł z drzewa i ruszył w stronę najbliższej Pheliańskiej sadyby. Thoar szedł tuż za nim, ale ani Gridley ani on nie spostrzegli oczu obserwujących ich spomiędzy drzew porastających gęsto zbocze wzgórza od strony rzeki, okrutnych oczu ani twarzy ozdobionych sumiastymi wąsami.

## HORIBOWIE

Avan, wódz Clovian postawił wojowników przed wejściem do jaskini, i kiedy Tarzan zbliżył się do wejścia do pieczary, zatrzymali go.

— A ty dokąd? – spytał jeden z nich.

— Do jaskini – odparł Tarzan.

— Po co? – zapytał wojownik.

— Chcę się przespać – odrzekł człowiek-małpa. – Wcześniej często tu wchodziłem i nikt mnie nie zatrzymywał.

— Avan wydał rozkaz, że żaden obcy nie może wejść do jaskini ani z niej wyjść dopóki nie zakończy się rada wojowników – zawołał wojownik.

W tym momencie podszedł do nich Avan.

— Wpuście go – powiedział. – Ma moje pozwolenie tam wejść, ale nie wypuszczajcie go stamtąd.

Władca Dżungli, bez słowa komentarza czy jakichkolwiek pytań wszedł do mrocznej jaskini Clovian. Minęło kilka chwil zanim jego oczy przywykły do słabego oświetlenia wewnątrz i pozwoliły mu zorientować się w otoczeniu.

Ta część jaskini, która była widoczna i którą już znał była naprawdę ogromna. Mógł dostrzec ściany po obu stronach, a także dość niewyraźną część ściany tylnej, reszta wszelako tonęła w ciemnościach, co mogło sugerować, że jaskinia ciągnęła się jeszcze dalej, w głąb wzgórza. Pod ścianami na siennikach z wysuszonych traw przykrytych skórąmi leżało

wielu wojowników oraz kilka kobiet i dzieci, niemal wszyscy pogrążeni byli we śnie. W bardziej oświetlonym miejscu, blisko wejścia grupka osób siedząc w kucki prowadziła szeptem ożywioną dyskusję, podczas gdy Tarzan w milczeniu zaczął kręcić się po jaskini w poszukiwaniu dziewczyny z Zoramu. To ona rozpoznała go pierwsza, zwracając jego uwagę cichym gwizdnięciem.

— Masz plan ucieczki? – zapytała, gdy Tarzan usadowił się na skórze, obok niej.

— Nie – odparł – jedyne co możemy zrobić to czekać na rozwój wydarzeń i wykorzystać sytuację, jeżeli okaże się sprzyjająca.

— Wydaje mi się, że dla ciebie ucieczka byłaby błahostką – rzekła dziewczyna. – Nie traktują cię jak więźnia, możesz swobodnie chodzić pośród nich i pozwolono ci zatrzymać broń.

— Teraz jestem więźniem – odparł. – Avan wydał strażnikom przy wejściu polecenie, aby mnie nie wypuszczali dopóki rada wojowników nie zadecyduje o moim losie.

— Zatem twoja przyszłość nie wygląda różowo – skwitowała Jana. – Jeżeli o mnie chodzi, już wiem co mnie czeka, ale nie dostanie mnie Carb, ani nikt inny!

Rozmawiali półgłosem, z długimi przerwami, ale kiedy Jana zmieniła temat rozmowy pytając o świat, z którego pochodził Jason, okresów milczenia było mniej i były o wiele krótsze. Nie dała Tarzanowi spokoju, lecz zasypywała go pytaniami, na których odpowiedzi częstokroć wykraczały poza jej możliwości pojmowania. Para, elektryczność i niezliczone działania cywilizowanych ludzi, których sensu i znaczenia nie była w stanie zrozumieć, podobnie jak pojęcia ciał niebieskich, instrumentów muzycznych albo ksiąg, a jednak pomimo swej

głębokiej ignorancji, okazała się nader inteligentna, a kiedy mówiła o sprawach dotyczących jej własnego świata, z którymi była obeznana, była zarówno intrygująca jak i zajmująca.

Naraz jeden z wojowników nieopodal otworzył oczy, usiadł i przeciągnął się. Rozejrzał się wokoło, po czym wstał. Zaraz potem jął budzić innych wojowników.

— Obudźcie się – mówił kolejno do każdego z nich – i idźcie na radę wojowników.

Kiedy zbliżył się do Tarzana i Jany, rozpoznał tego pierwszego i spojrzał na niego spode łba.

— Co ty tu robisz? – spytał oschle.

Tarzan wstał i spojrzał na Clovianina, ale nie odpowiedział na jego pytanie.

— Odpowiadaj – warknął Carb. – Czemu tu jesteś?

— Nie jesteś wodzem – odparł Tarzan. – Idź i zadawaj pytania kobietom i dzieciom.

Carb splunął wściekle.

— Idź! – rzucił Tarzan, wskazując w stronę wejścia. Przez moment Clovianin zawahał się, po czym ruszył dalej, by zbudzić pozostałych wojowników.

— Teraz na pewno cię zabiją – rzekła dziewczyna.

— On już wcześniej tak postanowił – odparł Tarzan. – To nic nowego.

Zamilkli oboje, czekając na srogi los, przeznaczony każdemu z nich. Wiedzieli, że na kamiennej półce przed jaskinią zebrali się, siadając w kręgu, wojownicy, ale nim podejmą decyzję, będzie między nimi sporo dyskusji, przechwałek i kłótni, w większości zbędnych, ale tak to już było z tymi, co tworzyli prawa, od niepamiętnych czasów, a dla współczesnych twórców

prawa największą przewagę stanowił fakt, iż znali oni więcej słów niż pierwsi ludzie-mały.

Gdy Tarzan i Jana czekali, do jaskini wszedł młodzieniec. Trzymał w ręku pochodnię, w blasku której przepatrywał wnętrze jaskini. Wreszcie odnalazł Tarzana i szybko podszedł do niego. Był to Ovan.

— Rada podjęła decyzję – powiedział. – Zabiją cię, a dziewczynę dostanie Carb.

Tarzan z Małp zerwał się na nogi.

— Chodź – rzekł do Jany. – Nie ma co czekać dłużej. Gdybyśmy zdołali przedrzeć się przez skalną półkę i dotrzeć do ścieżki, tylko naprawdę szybki wojownik mógłby nas dogonić. A jeśli jesteś moim przyjacielem, jak mówiłeś – zwrócił się do Ovana – nie piśniesz ani słowa, ale dasz nam szansę.

— Jestem twoim przyjacielem – odparł młodzieniec. – Dlatego tu przychodzę, ale nie zdołałbyś dotrzeć żywy do ścieżki. Wojowników jest zbyt wielu i wszyscy są przygotowani. Wiedzą, że jesteś uzbrojony i spodziewają się twojej ucieczki.

— Nie ma innej drogi – rzekł Tarzan.

— Jest – odparł chłopak – i zamierzam ją wam pokazać.

— Gdzie ona jest? – spytała Jana.

— Za mną – odparł Ovan i ruszył w głąb jaskini, oświetlonej migoczącym blaskiem pochodni, podczas gdy z tyłu za nim szła Jana i człowiek-mała.

Ściany jaskini zwężały się, podłoże stawało się coraz bardziej strome i miejscami naprawdę trudno im było się wspinać w półmroku. Wreszcie Ovan przystanął i uniósł pochodnię wysoko nad głową, ukazując małą, naturalną komorę, na której przeciwległym końcu widniała ciemna szczelina.

— W tej czarnej dziurze – powiedział – znajduje się ścieżka wiodąca na szczyt góry. Tylko wódz i pierwszy syn wodza wiedzą o niej. Gdyby mój ojciec dowiedział się, że wam ją pokazałem, zabiłby mnie, ale on się nigdy nie dowie, bo kiedy mnie znajdą, będę spał na skórach w jaskini, poniżej. Ścieżka jest stroma i trudna, ale to jedyna droga. Idźcie. To jedyny sposób, w jaki mogę odpłacić za uratowanie życia – to rzekłszy upuścił żagiew na ziemię, gdzie zgasła, pozostawiając ich w kompletnych ciemnościach. Więcej się nie odezwał, lecz Tarzan usłyszał odgłos stóp obutych w sandały, oddalający się i kierujący ku jaskini Clovian.

Człowiek-małpa sięgnął ręką w mroku i odnalazł dłoń Jany. Ostrożnie poprowadził ją przez egipskie ciemności w stronę skalnej szczeliny. Stąpając powoli, noga za nogą i przytrzymując się wolną ręką ściany, człowiek-małpa odnalazł w końcu wejścia do skalnej szczeliny.

Dwójka zbiegów, pnąca się pod górę po zwałach pogruchotanego granitu miała wrażenie jakby stała w miejscu. Gdyby czas można było mierzyć wysiłkiem mięśni i fizycznego dyskomfortu, tych dwoje mogłoby uznać, że minęła cała wieczność, odkąd weszli do czarnego otworu, w końcu jednak ciemność zaczęła się rozpraszać, i zrozumieli, że zbliżają się do wyjścia na szczyt góry – i rzeczywiście, wkrótce potem wyszli na teren skąpany w silnym blasku wiecznego południa.

— A teraz – odezwał się Tarzan – w którą stronę do Zoramu?  
Dziewczyna wskazała kierunek.

— Ale nie możemy tam dotrzeć prostą drogą – wyjaśniła – bo każdy szlak będzie strzeżony przez Carba i jego ziomków. Chyba nie sądzisz, że tak łatwo pozwolą nam uciec. Możliwe, że szukając nas, znajdą tę szczelinę i podążą za nami aż tutaj.



— To twój świat – powiedział Tarzan. – Znasz go lepiej niż ja. Co zatem sugerujesz?

— Powinniśmy zejść z gór, oddalając się od ziem Clovian – odparła Jana – bo to właśnie w górach będą nas szukać. Gdy zejdziemy na niziny możemy zawrócić wzdłuż podnóża masywu, aż znajdziemy się poniżej Zoramu, ale do tego czasu powinniśmy unikać gór.

Zejscie z gór było powolne, ponieważ żadne z nich nie znało tej części masywu. Nieraz na ich drodze pojawiały się głębokie rozpadliny i musieli zawracać, by je jakoś obejść.

Jedli wiele razy, a spali trzykrotnie i na tej podstawie Tarzan domyślał się, iż zejście zajęło im mnóstwo czasu, cóż jednak czas miał teraz dla nich za znaczenie?

W trakcie zejścia Tarzan dostrzegł parokrotnie rozległą równinę, rozciągającą się daleko, jak okiem sięgnąć. Ostatni etap schodzenia prowadził przez długi, kręty wąwóz, a kiedy w końcu dotarli do wylotu, znaleźli się na skraju ogromnej równiny, którą wcześniej zauważył Tarzan. Była niemal całkiem pozbawiona drzew i z miejsca gdzie stali, wydawała się gładka jak stół.

— To Gyor Cors – powiedziała Jana – obyśmy tylko nie spotkali Gyora.

— A co to jest Gyor? – zapytał Tarzan.

— Och, to straszliwe stworzenie – odparła Jana. – Ja nigdy go dotąd nie widziałam, ale niektórzy wojownicy z Zoramu byli na Gyor Cors i je widzieli. Są dwa razy większe od tandora, a na długość mają więcej niż czterech roślących mężczyzn, gdyby ułożyć ich na ziemi, jednego za drugim. Mają zakrzywione dzioby i trzy wielkie rogi, dwa nad oczami i jeden powyżej nosa. Z tyłu za łbem mają masywny kołnierz kostny pokryty

grubą, rogową skórą, która chroni je przed rogami swych pobratymców i włóczyniami ludzi. Nie jedzą mięsa, ale są bardzo drażliwe i łatwo wpadają w gniew, a wówczas atakują każde stworzenie jakie tylko zobaczą i tym samym Gyor Cors należą wyłącznie do nich.

— To wielka domena – przyznał Tarzan, taksując wzrokiem bezkresną przestrzeń pastwisk, ciągnącą się daleko jak okiem sięgnąć i unoszącą się łukowato ku górze, rozmywając się wśród odległych mgieł. – A to co powiedziałaś pozwala przypuszczać, że nie mają wrogów, którzy mogliby chcieć odebrać im te ziemie.

— Poza Horibami, nie – odparła Jana. – Polują na nie dla skór i mięsa.

— Kim są Horibowie? – zapytał Tarzan.

Dziewczyna aż się wzdrygnęła.

— To ludzie-węże – wyszeptała trwożliwym tonem.

— Ludzie-węże – powtórzył Tarzan. – A co to za jedni?

— Nie mówmy o nich. Są straszni. Gorsci niż Gyory. Ich krew jest zimna, a mężczyźni mawiają, że oni nie mają serc, bo brak im cech podziwianych przez ludzi, nie znają współczucia, przyjaźni ani miłości.

Górski strumień wyłobił w dnie wąwozu, którym wędrowali, głębokie koryto, a jego ściany były tak strome, że wygodniej im było iść wzdłuż strumienia, na równinę, by znaleźć łatwiejsze miejsce do przeprawy, jako że musieli pokonać potok w drodze do Zoramu.

Przeszli około mili od wylotu wąwozu. Wokół nich były niskie, łagodne wzgórza które stopniowo zlewały się z równiną poniżej. Tu i ówdzie dało się dostrzec nieduże drzewka, a sięgająca im do kolan, łagodnie falująca trawa czyniła z Gyor

Cors raj dla roślinożernych dinozaurów. Stojące w zenicie słońce oświetlało ten cichy i sielankowy pejzaż, ale Tarzan z Małp był niespokojny. Brak zwierząt wydawał się nietypowy dla kogoś, kto był obeznany z obfitością pellucidarskiej fauny, jednak człowiek-małpa wiedział, że w tej okolicy były jakieś stworzenia, a kiedy w jego nozdrza wdarła się dziwna i nieznana woń, instynktownie zaczął przeczuwać, że zdarzy się coś złego. Znajome wonie nie wzbudziły w nim takich reakcji, tu jednak miał do czynienia z zapachami, których nie potrafił rozpoznać i dziwnie nieprzyjemnymi jak dla człowieka. Kojarzyły się z wonią Histy-węża, a jednocześnie różniły się od niej.

Dla dobra Jany, Tarzan chciał, żeby jak najszybciej znaleźli bród i weszli na wyżej położone tereny, w drodze do Zoram, tamtejsze stworzenia bowiem były im już dobrze znane, podobnie jak zagrożenia, z którymi nauczyli sobie radzić, ale póki co, pionowe ściany rwącego potoku nie pozwalały na jego sforsowanie, teraz zaś okazało się, że płaskość terenu na Równinach Gyorów była jedynie iluzją, gdyż przecinały go liczne wąwozy, rozpadliny i niecki, niekiedy całkiem głębokie i wyjątkowo rozległe. Biegący w poprzek parów, biorący swój początek na względnie płytkim odcinku rzeki zmuszając ich do jeszcze większego nadłożenia drogi i poszukiwania dogodnego sposobu na jego obejście, ale w ten sposób musieli udać się w kierunku przeciwnym niż Zoram. Pokonali tą trasą około mili, aż znaleźli przejście, a dotarłszy na drugą stronę, dziewczyna dotknęła ramienia Tarzana i wskazała ręką. Człowiek-małpa w jednej chwili spostrzegł to samo co ona.

— Gyor – wyszeptała dziewczyna. – Połóżmy się na ziemi i ukryjmy w tej wysokiej trawie.

— Jeszcze nas nie zobaczył – powiedział Tarzan – i może nie pójdzie w tę stronę.

Żaden opis bestii, która dumnie wznosiła się w oddali przed nimi, nie był w stanie oddać jego tytanicznych rozmiarów, ani przerażającego wyglądu. Na pierwszy rzut oka, stwor przypominał Tarzanowi gryfy żyjące w Pal-ul-donie. Miał dwa wielkie rogi powyżej oczu, średni róg na nosie, rogowy dziób i wielki kostny kołnierz, albo kryzę powyżej szyi, pod względem umaszczenia także prezentował się podobnie, choć miał nieco łagodniejsze barwy, przeważały odcienie szarości z odrobiną żółci, na wysokości brzucha i pyska. Niebieskawe obwódki wokół oczu nie były aż tak wyraziście zarysowane a czerwień kryzy i grzbietowych wyrostków kostnych nie była równie jaskrawa jak u gryfa. To, że zwierzę było roślinożerne, o czym dowiedział się od Jany, przekonało go, iż miał przed sobą prawie niezmienny gatunek gigantycznego triceratopsa, który wraz z innymi dinozaurami rządził światem w okresie jurajskim.

Jana rzuciła się na ziemię i ukrywając się w trawie, ponagliła Tarzana, aby zrobił to samo. Przykucnięty i mocno pochylony, Tarzan obserwował wielkiego dinozaura sponad traw.

— Chyba wyczuł nasz zapach – powiedział. – Stoi z uniesionym łbem i rozgląda się wokoło, a teraz zaczyna truchtać w kółko. Jak na zwierzę tych rozmiarów stąpa wyjątkowo lekko. A jednak zwęszył jakąś woń, ale nie naszą, wiatr nie wieje od nas w jego stronę. Coś zbliża się z naszej lewej, ale wciąż jest jeszcze dość daleko. Słyszę to coś, cichy szelest, świadczący, że coś się porusza. Gyor patrzy teraz

w tamtą stronę. Cokolwiek się zbliża, nadciąga szybko. Mogę to stwierdzić, bo dźwięk błyskawicznie narasta, i to nie jest jeden tylko odgłos, jest ich kilka, nawet całkiem sporo. Gyor ruszył aby to sprawdzić, ale powinien minąć nas w znacznej odległości. – Tarzan obserwował Gyora i wsłuchiwał się w odgłosy zbliżających się, lecz jak dotąd niewidocznych istot. – Cokolwiek się zbliża, nadciąga wzdłuż dna parowu, który właśnie pokonaliśmy – wyszeptał. – Przejdzie tuż za nami.

Jana wciąż leżała ukryta wśród traw. Nie chciała kusić losu, wychylając choćby czubek głowy, by nie zwrócić uwagi Gyora.

— Może spróbujemy odczołgać się w bezpieczne miejsce, póki jest zaaferowany czymś innym – zaproponowała.

— Wychodzą z parowu – wyszeptał Tarzan. – Zaraz wyłonią się zza jego krawędzi – jest ich cała gromada – ale na czym ci ludzie jadą, na miły Bóg?

Jana spojrzała ponad źdźbłami traw, w stronę w którą patrzył tarzan. Wzdrygnęła się.

— To nie ludzie – powiedziała. – To Horibowie, a stworzenia których dosiadają to Gorobory. Jeśli nas spostrzegą, będziemy zgubieni. Nic na świecie nie zdoła umknąć Goroborom, bo nie ma w Pellucidarze niczego szybszego od nich. Leż i nie ruszaj się. Naszą jedyną nadzieją jest to, że nas nie zauważą.

Na widok Horibów, Gyor wydał z siebie przeraźliwy ryk, od którego aż zatrzęsała się ziemia, po czym, pochyliwszy łeb, zaszarżował na nich. Z wąwozu wyłoniła się pięćdziesiątka Horibów na przerażających wierzchowcach. Tarzan zauważył, że jeźdźcy byli uzbrojeni w długie piki – dość marną i mało skuteczną broń, jak uznał, w starciu z rozjuszonym triceratopsem. Wkrótce jednak okazało się, że Horibowie wcale nie zamierzają zmierzyć się ze stworzeniem w otwartej walce.

Wykonując zwrot w prawo, ruszyli jeden za drugim za swoim przywódcą, a potem Tarzan po raz pierwszy miał okazję ujrzeć pokaz fenomenalnej szybkości wielkich gadów, na których jechali Horibowie. Ich prędkość zaś można by tylko porównać do szybkości poruszania się małych, pustynnych jaszczurek.

Wykorzystując taktykę zbliżoną do tej, którą stosowali Indianie z równin zachodniej Ameryki, Horibowie okrążyli swoją ofiarę. Ryczący Gyor, owładnięty szałem wściekłości szarżował to w jedną, to w drugą stronę, ale Gorobory uskakiwały mu z drogi tak szybko, że nie był w stanie dopaść żadnego z nich. Wreszcie Gyor sapiąc i parskając, zatrzymał się, a wówczas Horibowie zwarli krąg jeszcze bardziej i znów zaczęli go okręzać, w niesamowitym tempie, podczas gdy Tarzan oglądający tę niezwykłą scenę, zastanawiał się w jaki sposób Horibowie zamierzali zabić tę ważącą dziesięć ton bestię, która jak uosobienie furii skakała to w jedną to w drugą stronę, próbując atakować jeżdżących wokół niej wojowników.

Wreszcie jeden z Horibów zbliżył się do Gyora, z taką szybkością, że jeździec i jego wierzchowiec wyglądali jak rozmyta plama. Gyor odwrócił się by go dosięgnąć, i pochylił łeb, zamierzając wziąć zuchwalca na rogi. Wtedy jednak dwaj inni Horibowie zaatakowali go od tyłu, z dwóch stron. Równie szybko jak rzucili się naprzód, trzej śmiałkowie wycofali się, dołączając do kręgu jeźdźców, ale w bokach Gyora pozostały dwie wbite głęboko piki. Furia rannego triceratopsa przewyższała jego dotychczasową wściekłość. Ryki stworzenia zmieniły się w ochrypłe, gardłowe wrzaski, gdy istota ponownie opuściła łeb i ruszyła do ataku. Tym razem Gyor nie odwrócił się i nie zaatakował w przeciwnym kierunku, tak jak to robił wcześniej, lecz sunął naprzód, być może w nadziei

na wyrwanie się z zabójczego kręgu Horibów, a człowiek-małpa z pewną konsternacją stwierdził, że on i Jana znajdowali się na drodze szarżującej bestii. Gdyby Horibom nie udało się jej zatrzymać, będzie po nich.

Tuzin ludzi – gadów przypadł do Gyora od tyłu. Tuzin pik wbił się głęboko w ciało stwora, który dopiero teraz zdecydował się zawrócić, by wziąć odwet na tych co zadali mu nowy ból.

Tą szarżą Gyor zbliżył się na pięćdziesiąt stóp do Tarzana i Jany. Człowiek-małpa przez chwilę czuł się nieswojo, ale tak czy owak ich sytuacja nie wyglądała najlepiej, bo Gyor ściągnął Horibów w okolice ich kryjówek.

Triceratops stał teraz z opuszczonym łbem, ciężko dysząc i krwawiąc z ponad tuzina ran. Jeden z Horibów podjechał teraz do stworzenia od przodu. Uwaga Gyora skupiła się wyłącznie na tym oponente, podczas gdy dwaj inni nadjechali po skosie, z boków, ale tak sprytnie, że stwór nie mógł ich dostrzec, bo byli zasłonięci przez wielki grzebień kostny otaczający szyję zwierzęcia i sięgający powyżej jego łba. W ten sposób trzej ludzie-węże zbliżyli się na prawie pięćdziesiąt stóp do olbrzyma, a wówczas dwaj śmiałkowie z tyłu zaatakowali równocześnie, z przerażającą szybkością, podjeżdżając na swych wierzchowcach i uderzając ostrymi pikami. Zadali naprawdę silne ciosy, zatapiając piki w obu bokach Gyora. Zbliżyli się do swojej ofiary tak bardzo, że ich wierzchowce zderzyły się z Gyorem, zawracając i wycofując się na bezpieczną odległość.

Przez moment wielkie stworzenie stało jeszcze, kołysząc się na nogach, po czym ciężko runęło do przodu i przewaliło się na bok – ostatnie piki przebiły mu serce.

Tarzan był zadowolony, że jest już po wszystkim, bo obawiał się że Horibowie mogli ich zauważyć i już zaczął cieszyć się ze sprzyjającego im losu, gdy nagle cała gromada wężoludów zawróciła swoje wierzchowce i pognała jak błyskawica w stronę ich kryjówki. Stworzenia znów uformowały krąg, ale tym razem w jego centrum byli Tarzan i Jana. Najwyraźniej Horibowie spostrzegli ich wcześniej, ale zignorowali do czasu rozprawienia się z Gyorem.

— Będziemy musieli walczyć – rzekł Tarzan i jako że ich kryjówka została wykryta, podniósł się na nogi.

— Tak – powiedziała Jana, stając obok niego. – Będziemy walczyć, lecz koniec jest oczywisty. Ich jest pięćdziesięciu, a nas tylko dwoje.

Tarzan nałożył strzałę na cięciwę. Horibowie powoli krążyli wokół nich, badając nowe ofiary. W końcu podjechali bliżej i zatrzymali wierzchowce, naprzeciwko osaczonej dwójki.

Dopiero teraz, po raz pierwszy Tarzan miał okazję dobrze przyjrzeć się wężoludom i ich równie odrażającym wierzchowcom. Horibowie wyglądem i ogólną budową ciała przypominali ludzi, jednak ich trójpalczaste dłonie i stopy wyglądały jak kończyny gadów. Głowa i twarz przywodziły na myśl gada ale spiczaste uszy i dwa krótkie rogi przydawały im groteskowego i zarazem upiornego wyglądu. Ramiona Horibów były bardziej proporcjonalne niż nogi – skądinąd dość bezkształtne. Całe ich ciało pokrywały łuski, choć te na dłoniach, stopach i twarzach były tak małe, że wyglądały prawie jak naga skóra. Wrażenie to było spotęgowane jeszcze bardziej przez fakt, że te części ich ciał miały o wiele jaśniejszą barwę, trupio białą, jak brzuch węża. Stworzenia nosiły proste odzienie wyglądające jak fartuch, wykonane z jednego kawałka



bardzo twardej skóry, najprawdopodobniej jakiegoś gigantycznego gada.

Strój ten był zarazem rodzajem pancerza, którego celem, jak dowiedział się później Tarzan była ochrona miękkiego, białego brzucha Horibów. Na tym odzieniu, na piersi widniało dziwne ustrojstwo – ośmioramienny krzyż z kołem pośrodku. Horibowie nosili też skórzane pasy, przy których zawieszane były krzemienne noże w pochwach. Na przegubach i powyżej łokci mieli opaski lub bransolety. Te ozdoby dopełniały ich wyglądu. Oprócz noża, każdy z Horibów był uzbrojony w długą pikę z kościanym grotem. Dosiadali swoich groteskowych wierzchowców goroborów, które wyglądały jak żyjące w okresie triasu anodomonty nazywane przez paleontologów periozaurami. Wiele z tych stworzeń mierzyło ponad dziesięć stóp długości, choć poruszały się w niskiej pozycji, na czterech krótkich i bardzo silnych łapach.

Gdy Tarzan spojrział z fascynacją na Horibów, w których żyłach miała płynąć zimna krew i które nie miały serca, zdał sobie sprawę, że oto może mieć przed sobą jeden z kaprysów ewolucji, albo może replikę jakiegoś stworzenia, które istniało kiedyś na zewnętrznej skorupie i które stało się podstawą dla nieznanym nam istot w świecie wewnętrznym, i przetrwało w nim od czasów prehistorycznych do współczesności. Po namyśle stwierdził, że ewolucja węzóludów z poziomu gadów nie wydawała mu się bardziej niezwykła niż rozwój ptaków, ani, jak na to wskazywały odkrycia naukowe, rozwój ssaków.

Myśli te przemknęły szybko przez jego głowę, podczas gdy Horibowie siedzieli wokół, wpatrując się w Tarzana i Janę oczami pozbawionymi powiek, przypominającymi paciorki,

jeśli jednak Władca Dżungli był zaskoczony wyglądem tych istot, emocje jakie w związku z tym odczuwał były niczym w porównaniu z szokiem, jaki przeżył, gdy jeden z Horibów przemówił, zwracając się do niego we wspólnym języku Gilaków z Pellucidaru.

— Nie uciekniecie – powiedział. – Odłóżcie broń.

### PRZEZ MROCZNĄ PUSZCZĘ

Jason Gridley wbiegł pospiesznie na wzgórze w stronę Pheliańskiej wioski, gdzie miał nadzieję, znaleźć Janę Czerwony Kwiat Zoramu, a u jego boku podążał Thoar, z włócznią i nożem w gotowości, pragnąc uratować albo pomścić siostrę, podczas gdy z gąszczu krzewów rosnących pod drzewami nad rzeką, obserwowały ich czujne oczy śniadych, brodatych mężczyzn.

Ku zdumieniu Thoara, z budynku, do którego się zbliżali nie wybiegli mający go bronić wojownicy, ze środka nie napływał też żaden dźwięk.

— Uważaj – ostrzegł Jasona – to może być pułapka.

Amerykanin, skorzystał z rady swego kompana i szedł teraz znacznie wolniej i ostrożniej. Dotarli do wejścia do budynku, lecz jak dotąd nikt ich nie próbował zatrzymać.

Jason przystanął i zajrzał przez niskie wejście, po czym, schyliwszy się, wszedł do środka, a Thoar pospieszył za nim.

— Nikogo tu nie ma – rzekł Jason. – Budynek jest opuszczony.

— Wobec tego powodzenia w następnym – powiedział Thoar, lecz w następnym budynku także nie było żywego ducha, podobnie jak w kolejnym i, jak się okazało we wszystkich innych budowlach, w całej wiosce Phelian.

— Wszyscy odeszli – powiedział.

— Tak – odrzekł Thoar – ale wróć. Wejdźmy między drzewa nad rzeką i zaczekajmy na nich w ukryciu.

Nieświadomi niebezpieczeństwa, dwaj mężczyźni zeszli ze zbocza i weszli w gąszcz krzewów rosnących pod drzewami. Poszli wzdłuż wąskiej ścieżki wydeptanej przez sandały Phelian.

Ledwie listowie zamknęło się wokół nich, gdy opadło ich tuzin mężczyzn i powaliło na ziemię. W okamgnieniu zostali rozbrojeni, skrępowano im przeguby za plecami i brutalnie dźwignięto na nogi, a kiedy Jason Gridley po raz pierwszy ujrzał napastników, aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

— A niech mnie kule biją! – zawołał. – Nauczyłem się patrzeć ze spokojem na nosorożce włochate, ale nie spodziewałem się spotkać w sercu Pellucidaru Kapitana Kidda, Jeana Lafitte’a i Sir Henry’ego Morgana.

Ku swemu zdumieniu przeszedł na ojczysty język, którego rzecz jasna nikt z tamtych nie rozumiał.

— Co to za język? – dopytywał się jeden z porywaczy.

— Kim jesteś i z jakiej krainy pochodzisz?

— To dobry, stary amerykański, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki – odparł Jason – ale kim u diabła jesteście wy i czemu nas pojмалиście? – po czym zwracając się do Thoara: – To nie są Phelianie, prawda?

— Nie – odrzekł Thoar. – To dziwni ludzie, jakich nigdy wcześniej nie widziałem.

— Wiemy kim jesteście – rzekł jeden z brodatych mężczyzn. – Znamy krainę, z której przybyliście. Nie próbuj nas oszukać.

— Dobrze, skoro tak to nas uwolnijcie, bo musicie wiedzieć, że nie prowadzimy z nikim wojny.

— Wasza kraina jest wiecznie w stanie wojny z Korsarem – odparł ten, który przemawiał. – Jesteś Sarianinem. Poznaję po broni, którą nosisz. Odkąd ją tylko zobaczyłem, wiedziałem

że jesteście z odległego Sari. Cid się ucieszy że cię złapaliśmy, Bulf również. Może... – dodał, zwracając się do jednego ze swych ziomków – to sam Tanar. Widziałeś go, kiedy był więźniem w Korsarze?

— Nie, akurat wypłynąłem w rejs – odparł tamten. – Nie widziałem go, ale jeśli to faktycznie on, zostaniemy wynagrodzeni.

— Równie dobrze możemy już wrócić na statek – powiedział pierwszy z mówiących. – Nie ma sensu czekać dłużej na tych płaskostopych tubylców, zważywszy, że jest jedna szansa na tysiąc, iż znajdzie się wśród nich naprawdę piękna kobieta.

— W dole rzeki mówili, że ci tutaj czasami porywają kobiety z Zoramu. Może powinniśmy jednak poczekać.

— Nie – odparł tamten. – Bardzo bym chciał ujrzeć jedną z tych Zoramianek, o których słyszałem przez całe moje życie, ale tubylcy nie wrócą, póki jesteśmy w pobliżu. Za długo przebywamy z dala od statku i o ile znam kapitana, będzie chciał poderżnąć parę gardeł, zanim wrócimy.

Do drzewa przy brzegu, strzeżona przez pięciu innych Korsarian, przycumowana była szalupa ze statku, ale jej wygląd przypominał Jasonowi lektury zapamiętane z dzieciństwa, pełne brodatych mężczyzn w dziwacznych strojach, z wielkimi pistoletami, kordelasami i starożytnymi arkebuzami.

Więźniów zagnano do szalupy, Korsarianie wsiedli i łódź popłynęła z prądem, a był on naprawdę wartki, jak na tak wąski strumień.

W miarę jak płynęli z prądem, Jason miał okazję przyjrzeć się porywaczom. Wyglądali jak banda zbirów wypisz – wymaluj z książki o piratach i byli bardziej krwiożerczy niż najbardziej zajadły pirat z jego lektur z dzieciństwa. Wyglądu dopełniały

złote kolczyki w uszach, a niekiedy także w nosie, oraz kolorowe chusty i pasy, którymi byli opięci, i które przynajmniej z daleka czyniły z nich barwne postacie.

Choć dzięki opowieści o Tanarze z Pellucidaru, którą Jason poznał przez radio od Perry'ego, miał okazję zaznajomić się z wyglądem i naturą Korsarian, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że traktował ich bardziej jak piratów z dawnych czasów albo z kart powieści awanturniczych, innymi słowy jako postacie fikcyjne, bądź legendarne, a nie jako ludzi z krwi i kości, których teraz miał przed sobą, klnących w żywy kamień i opowiadających sprośne żarty, ale brud i smród nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, że były to prawdziwe istoty ludzkie.

W tych dzikich Korsarianach, ich łodzi, strojach i starożytnej broni palnej, Jason zyskał ostateczny dowód, iż musieli oni wywodzić się od ludzi z zewnętrznej skorupy i być dla Davida Innesa widomym znakiem istnienia otworu na biegunie, prowadzącego z Pellucidaru do świata zewnętrznego.

Podczas gdy Thoar był załamany zrzędzeniem losu, które pchnęło ich w ręce tych dziwnych ludzi, Jason wręcz przeciwnie, uważał to za prawdziwy łut szczęścia, bo z urywków rozmów i komentarzy wychwyconych od momentu pojmania, zdołał się zorientować, że miano ich zabrać do Korsaru, miasta, w którym przebywał w niewoli David Innes i które było podstawowym celem ich ekspedycji zakładającej uwolnienie Imperatora Pellucidaru.

To, że przybędzie tam sam i jako jeniec, nie stanowiło samo w sobie powodu do radości, jednak w ogólnym rozrachunku, nie mogło być gorsze niż dalsze błąkanie się w tej krainie pełnej nieznanymi zagrożeniami, bez cienia nadziei na odnalezienie

towarzyszy podróży. Teraz przynajmniej miał pewność, że trafi do miejsca, do którego próbował dotrzeć, a tym samym szanse na ponowne spotkanie z resztą ekipy zdecydowanie rosły.

Strumień, którym płynęli wiódł przez bagienny las, po drodze mijali liczne laguny, niekiedy tak duże, że zasługiwały na miano jezior. Wszędzie była woda, a na brzegach roilo się od gadów, i, jak uznał Jason Gridley tak właśnie mógł wyglądać mezozoiczny raj w prehistorycznych czasach na powierzchni ziemi. Gady były tak liczne, a nierzadko tak wielkie i waleczne, że przeprawa rzeczna stała się ciągłą batalią, podczas której Korsarianie byli nieustannie czujni i często musieli robić użytek ze swoich arkebuzów, w obronie życia. Zwykle huk wystrzałów płoszył atakujące gady, zdarzało się jednak, że były one tak uporczywe w swoich atakach, że nie przestawały dopóki nie zostały zabite, istniała bowiem możliwość, że któryś z tych bezmózgich, zajadłych kolosów zniszczy łódź i wraz ze swymi pobratymcami, pożre załogę.

Jason i Thoar zostali usadowieni pośrodku łodzi, gdzie przykucnęli na dnie, z rękoma wciąż skrepowanymi z tyłu. Blisko Jasona był Korsarianin, do którego jego ziomkowie zwracali się imieniem Lajo. Było w nim coś, co zwróciło szczególną uwagę Jasona. Może wydawał się bardziej otwarty, albo mniej dziki i wulgarny. Nie dołączał do innych, gdy szydzili okrutnie z jeńców, i w zasadzie nie interesowało go nic, poza obroną łodzi przeciwko atakującym ją potworom.

Nic nie wskazywało, aby ktoś dowodził tą grupą, o wszystkim decydowali w drodze ogólnej dyskusji, ale jak zauważył Jason, inni słuchali z uwagą, kiedy Lajo mówił, i choć rzadko zabierał głos, zawsze wypowiadał się inteligentnie i rzeczowo. W drodze

obserwacji Gridley uznał, że to Lajo był najbardziej inteligentnym spośród Korsarian i to do niego zamierzał się zwracać we wszelkich sprawach. Przy pierwszej okazji zwrócił jego uwagę.

— Czego chcesz? – spytał Lajo.

— Kto tu dowodzi? – zapytał Jason.

— Nikt – odrzekł Korsarianin. – Nasz oficer zginął w trakcie rejsu. Czemu pytasz?

— Chcę, żeby zdjęto nam więzy – odparł Jason. – Nie możemy uciec. Jesteśmy nieuzbrojeni i macie nad nami przewagę liczebną, a co za tym idzie, nie możemy wam zrobić krzywdy, a w razie gdyby łódź została zniszczona albo wywrócona przez kogoś z tych gadów, bylibyśmy bezradni, mając ręce związane za plecami.

Lajo wyciągnął nóż.

— Co zamierzasz zrobić – spytał inny Korsarianin, który przysłuchiwał się rozmowie.

— Zamierzam rozciąć ich więzy – odparł Lajo. – Nic nie zyskamy, trzymając ich związanych.

— Kim jesteś, by decydować czy należy zdjąć im więzy? – rzucił buńczucznie inny.

— A kim ty jesteś, by mówić, że ma być inaczej? – odparował Lajo, podchodząc do jeńców.

— Pokażę ci, kim jestem! – zawołał tamten i wyszarpnąwszy nóż, zaczął iść w stronę Lajo.

Tamten się nie zawahał. Niczym pantera, Lajo rzucił się na swego przeciwnika, uderzając lewym przedramieniem w uzbrojoną w nóż dłoń oponenta, i równocześnie, po rękojeść zatapiając klingę swojego noża w jego piersi. Wydając pojedynczy, mrozący krew w żyłach krzyk, mężczyzna osunął



się bez życia na dno łodzi. Lajo wyszarpnął nóż z ciała trupa, wytarł ostrze w koszulę swego przeciwnika i bez słowa rozciął więzy krępujące przeguby Thoara i Jasona. Pozostali Korsarianie nie zaoponowali, najwyraźniej nie przejmując się śmiercią kompana, i kwitując ją co najwyżej paroma sprośnymi żarcikami, drwiąc z zabitego albo nagradzając czyn Lajo pomrukiem aprobaty.

Zabójca zabrał trupowi broń i rzucił na rufę, z dala od więźniów, po czym wskazał ręką na zwłoki.

— Wyrzucicie to za burtę – rozkazał, zwracając się do Jasona i Thoara.

— Zaczekajcie – zawołał inny członek załogi. – Chcę jego buty.

— Jego pas jest mój – zawołał inny i teraz pół tuzina załogantów zaczęło kłócić się o rzeczy należące do nieboszczyka, walcząc jak psy o kość. Lajo nie brał w tym udziału i kiedy część rzeczy trupa zostało zdartych z ciała i rozdzielonych pomiędzy Korsarian w wyniku prostego prawa – silniejszy bierze co się da, Jason i Thoar wyrzucili zabitego za burtę, gdzie jego ciało natychmiast zostało pożarte przez żarłocznych mieszkańców rzeki.

Jason miał wrażenie, że ten rejs w nieznane nie ma końca. Jedli i spali wiele razy, a rzeka wciąż płynęła meandrycznie przez bezkresne bagna. Żyzna roślinność i barwne kwiaty porastające brzegi już dawno przestały ich interesować, a niemająca kresu monotonia czyniła ich widok nieomal znienawidzonym.

Jason nie mógł się nadziwić nadludzkim wysiłkom jakie były konieczne by wiosłować w tych niebezpiecznych wodach, gdzie niemal na każdym kroku trzeba było odpierać ataki hord żarłocznych gadów.

W końcu jednak krajobraz się zmienił, rzeka się rozszerzyła a proste jak stół bagna ustąpiły miejsca pofałdowanym wzgórzom. Lasy, które porastały jej brzegi były pozbawione krzewów, co pozwalało przypuszczać, że był to teren żerowania stad roślinożernych stworzeń. Teoria ta znalazła wkrótce potwierdzenie w postaci pożywiających się stad zwierząt, wśród których Jason dostrzegł wielkie jelenie, bizona, tury i kilka innych gatunków roślinożerców. Las na prawym brzegu był otwarty i nasłoneczniony, a żerujące tam stada przydawały temu pejzażowi kolorytu, ciepła i życia, podczas gdy puszcza na lewym brzegu pozostawała ciemna i posępna. Listowie drzew, które urosły do ogromnych rozmiarów, było tak gęste, że praktycznie przesłaniało słońce, przestrzeń pomiędzy pniami przywodziła na myśl długie, ciemne przejścia, mroczne i odpychające.

W wodzie było tu zdecydowanie mniej gadów, ale Korsarianie wydawali się wyjątkowo nerwowi i czujni, gdy znaleźli się na tym odcinku rzeki.

Wcześniej płynęli z prądem, używając tylko jednego wiosła, jak tyczki flisackiej, na rufie, w celu ustawienia łodzi dziobem w dół rzeki, teraz jednak konieczne było użycie większej liczby wiosła i do pracy wraz z innymi zaprzęgnięto też Jasona i Thoara. Obok wiosłarzy leżały nabite arkebuzy, podczas gdy uzbrojeni mężczyźni na dziobie i rufie pełnili ciągłą wachtę. Nie zwracali większej uwagi na prawy brzeg, lecz kierowali niespokojne, nerwowe spojrzenia ku mrocznemu, posępnemu lewemu brzegowi. Jason zastanawiał się, czego tak się obawiali, ale nie miał okazji zapytać, a przerw w wiosłowaniu nie było – przynajmniej dla niego i Thoara, bo inni Korsarianie zmieniali się przy wiosłowaniu i wypatrywaniu zagrożeń.

Wiosła i prąd sprawiły, że płynęli naprawdę szybko, choć Jason nie był w stanie stwierdzić, czy zbliżali się do krańca niebezpiecznej strefy, tak jak nie potrafił określić natury zagrożenia, które nad nimi wisiało, jak można było wywnioskować z nastawienia Korsarian.

Dwaj więźniowie byli bliscy wyczerpania, kiedy Lajo zauważył w jakim są stanie i zwolnił ich od dalszego wiosłowania. Jason nie potrafił określić jak długo wiosłowali, choć wiedział, że musiało minąć sporo czasu odkąd znaleźli się na tym odcinku rzeki, a przecież ani razu od tej pory nie jedli ani nie spali. Dystans jaki pokonali określał na ponad sto mil, a on i Thoar przez cały czas trwali przy wiosłach, bez jedzenia i snu, ledwie jednak zdążyli ułożyć się na dnie łodzi, gdy od strony dziobu dobiegło ich przenikliwe nawoływanie.

— Tam są! – zawołał mężczyzna i w jednej chwili na łodzi zapanowała elektryzująca atmosfera.

— Do wiosła! – zawołał Lajo. – Naszą jedyną szansą jest przebicie się przez nich!

Mimo iż tak zmęczony, że nie przejmował się nawet perspektywą rychłej śmierci, Jason dźwignął się do pozycji siedzącej, dzięki czemu jego oczy znalazły się powyżej poziomu burty. W pierwszej chwili nie był w stanie określić do jakiego gatunku należały stworzenia w nurcie rzeki, z wyraźnym zamiarem ich przechwycenia, i dopiero teraz zauważył, że były to człekopodobne istoty dosiadające odrażających gadów. Miały długie piki, a ich łuskowate wierzchowce cięły wodę z nadzwyczajną szybkością. Gdy łódź zbliżyła się do nich, zwrócił uwagę, że te stworzenia, choć z wyglądu przypominały ludzi, były w rzeczywistości groteskowymi i ohydnyymi gadami,

z głowami jaszczurek, których upiornego wyglądu dopełniały spiczaste uszy i krótkie rogi.

— Boże! – wykrzyknął. – Co to za stworzenia?

Thoar, który także podniósł się do pozycji siedzącej, wzdrygnął się.

— To Horibowie – odparł. – Lepiej zginąć niż wpaść w ich łapy.

Płynąca z prądem i wspomagana pracą wiosł ciężka łódź sunęła wprost na groźną horde. Odległość od niej szybko się zmniejszała i łódź prawie zrównała się z pierwszym Horibem, gdy przemówił arkebuz na dziobie. Głośny huk rozdarł złowrogą ciszę, która jak całun zawisała nad tonią rzeki. Dokładnie przed dziobem łodzi, horda Horibów rozdzieliła się i w chwilę później zaczęła sunąć wzdłuż burt łodzi, z obu stron. Arkebuzy pluły dymem i ogniem, siejąc wśród syczących wrogów kawałkami żwiru i żelaza, którymi je nabito, ale miejsce każdego zabitego Horiba zajmowało zaraz dwóch innych.

Teraz Horibowie wycofali się na pewną odległość, ale ich wierzchowce najwyraźniej były w stanie bez wysiłku nadążać za łodzią i raz po raz któryś z jeźdźców zbliżał się do łodzi, ciskając piką, a każdy rzut okazywał się zabójczo celny. Ich celność była tak mordercza, że Korsarianie zmuszeni byli porzucić wiosłowanie i przypadli na dno łodzi, wychylając się powyżej burt tylko na moment, by oddać strzał z arkebuza, po czym znów się chowali, aby nabić broń. Ale nawet taka taktyka nie mogła ocalić ich na dłuższą metę, bo Horibowie zbliżając się do łodzi z obu stron, dźgali pikami z góry, dosięgając leżących na dnie Korsarian. Horibowie atakowali jakby w ogóle nie bali się arkebuzów i choć niektórzy z nich

stracili wskutek wystrzału głowę, a ponad dwudziestu innym ładunki wyrwały wielkie ziejące dziury w ciałach, albo pourywały dłonie, a nawet całe ramiona, kolejni wciąż nie przerywali natarcia.

W końcu jednemu z nich udało się zarzucić skórzaną pętlę na długim rzemieniu, na knagę na okrężnicy, a kilku Horibów natychmiast schwyciło za arkan i ciągnąc go, skierowało swe wierzchowce w stronę brzegu rzeki.

Kompletnie wyczerpani i nie mający broni, by móc stawić opór, Jason i Thoar wciąż leżeli na dnie łodzi, i prawie nie dbali o to jaki spotka ich los. Na wpół przykryci ciałami padłych Korsarian, leżeli w kałuży krwi. Wokół nich wciąż słychać było huk arkebuzów, przekleństwa i wrzaski, a wszystko to zagłuszało ochryple, syczące skrzeczenie, będące wojennymi okrzykami Horibów. Łódź została wywleczona na brzeg, a cuma przywiązana do pnia drzewa, choć Korsarianie trzy razy ją przecinali, a Horibowie trzykrotnie zastępowali ją nową.

Została już tylko garstka załogantów, którzy nie zginęli lub nie zostali ranni, kiedy Horibowie porzucili swe wierzchowce i przetoczyli się hurmem ponad burtami łodzi, rzucając się na swoje ofiary. Kordelasy, noże i arkebuzy dokonały zabójczego dzieła, ale węzóludy wciąż atakowały, przepelzając po ciałach zabitych, by spaść na ocalałych, aż do reszty przytłoczyli ich swoją masą.

Kiedy bitwa dobiegła końca, przy życiu zostało już tylko trzech Korsarian – wśród nich Lajo. Horibowie skrępowali im nadgarstki i wywlekli na brzeg, po czym zaczęli wyciągać z łodzi zabitych i rannych, dobijając ciężej rannych ciosami noży. Gdy w końcu natknęli się na Jasona i Thoara

i stwierdziwszy, że nie byli oni związani, skrupowali ich i umieścili wśród pozostałych jeńców na brzegu.

Po zakończonej bitwie i związaniu jeńców, Horibowie zajęli się ciałami zabitych, pożerając je wszystkie, podczas gdy Jason i reszta jeńców siedziała, skamieniała ze zgrozy, przez całą tę upiorną ucztę. Nawet Korsarianie, choć okrutni i bez serca, wzdrygnęli się na ten widok z obrzydzenia.

— Jak sądzisz, czemu nas oszczędzili? – zapytał Jason.

Lajo pokręcił głową.

— Nie wiem – odparł.

— Zapewne chcą nakarmić nami swoje kobiety i dzieci – odrzekł Thoar. – Powiadają, że zatrzymują swych ludzkich jeńców aby ich utuczyć.

— Wiesz czym są te stwory? Widziałeś ich wcześniej? – zwrócił się Lajo do Thoara.

— Tak, wiem – odparł Thoar – ale widzę je po raz pierwszy. To Horibowie – Ludzie-węże. Zamieszkują pomiędzy Rela Am a Gyor Cors.

Gdy Jason obserwował upiornie ucztujących Horibów, zwrócił uwagę na wyraźną zmianę jaka zaszła w ich wyglądzie. Kiedy ujrzał ich po raz pierwszy i przez cały czas trwania bitwy mieli sinoniebieskawą, widmową nieomal barwę, a ich dłonie, stopy i twarze wydawały się o kilka odcieni bledsze od reszty ciała, kiedy jednak zabrali się za pałaszowanie zwłok, ich ciała zaczęły nabierać czerwonego odcienia, różnego u różnych osobników, a twarze oraz kończyny niektórych z nich w miarę trwania tej ucztę stawały się prawie karmazynowe.

Jeżeli wygląd i krwiożercza zajadłość tych stworzeń wstrząsnęły nim, zdziwił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał jak rozmawiają w pospolitym języku ludów Pellucidaru.

Ogólny wygląd tych stworzeń, ich broń, na którą składały się długie piki i krzemienne noże, a także przypominające fartuchy odzienie, jakie nosili włącznie z pewnymi elementami ozdobnymi, w tym także insygniami noszonymi na ubraniu, na piersiach, zdawały się przemawiać, iż w istotach tych było coś ludzkiego, choć niewątpliwie groteskowego i przerażającego, jeśli jednak do tych wszystkich atrybutów dodać ludzką mowę, podobieństwo z istotami ludzkimi nabierało nader odrażającego charakteru.

Jason był tak zafascynowany tymi istotami, że nie mógł przestać o nich myśleć, ani oderwać od nich wzroku. Zwrócił uwagę, że choć większość z nich miała około sześciu stóp wzrostu, wielu było znacznie niższych, mierzących niespełna cztery stopy, jeden osobnik zaś musiał mieć co najmniej dziewięć stóp wzrostu, wszystkie te stworzenia miały identyczne proporcje i różnica wzrostu nie wydawała się mieć związku z różnicą wieku, poza tym, że łuski na ciele największego z Horibów były wyraźnie grubsze i bardziej szorstkie.

Później jednak dowiedział się, że różnica wzrostu mimo wszystko znamionowała różnicę wieku, bo wielkość tych istot podlegała tym samym prawom, które rządzą gadami i które rosną nieprzerwanie, przez całe swoje życie.

Kiedy już nażarli się ciałami Korsarian, Horibowie położyli się, choć nie wiadomo czy po to, by się przespać, bo ich pozbawione powiek oczy wciąż patrzyły przed siebie. Wtedy też Jason zauważył pewne ciekawe zjawisko. Z ciał Horibów stopniowo znikł czerwony odcień, i zastąpiła go brązowa szarość harmonizująca z barwą gleby, na której leżeli.

Wyczerpany długą turą wiosłowania i koszmarami, których był świadkiem, Jason powoli odpłynął w sen, gdzie nękały go przeraźliwe wizje, w których Jana wpadała w łapy Horiba. Stwór próbował pożreć Czerwony Kwiat Zoramu, podczas gdy Jason szarpał krępujące go pęta.

Obudził go ostry ból w barku i kiedy otworzył oczy zobaczył jednego z człekozaurów, jak ich w głębi duszy nazywał, stojącego nad nim i szturchającego go grotem piki.

— Nie hałasuj – powiedziało stworzenie, a Jason zdał sobie sprawę, że musiał krzyczeć przez sen.

Pozostali Horibowie wstali, wydając dziwne świszczące posykiwania, a w odpowiedzi na to wezwanie z wód rzeki i z głębi mrocznego lasu zaczęły schodzić się ich odrażające wierzchowce.

— Wstać! – rzekł Horib, który obudził Jasona. – Zdejmę ci więzy – ciągnął. – Nie możesz uciec. Jeśli spróbujesz, zginiesz. Chodź ze mną – rozkazał, usuwając rzemienie krępujące przeguby Jasona.

Gridley wszedł za węzolutem pomiędzy periozaury, które kręciły się nerwowo, posykując i kłapiąc paszczami nad brzegiem rzeki.

Choć dla Jasona wszystkie gorobory wyglądały jednakowo, nie ulegało wątpliwości, że Horibowie je rozróżniali, bo ten, co prowadził Jasona przeciskał się pomiędzy oślizgłymi cielskami dopóki nie dotarł do wybranego przez siebie wierzchowca.

— Wsiadaj – powiedział, dając Jasonowi znak, że ma wspiąć się na grzbiet stwora. – Usiądź wygodnie, z przodu, tuż za jego szyją.



Jason z nieskrywanym obrzydzeniem wspiał się na grzbiet Gorobora. Dotyk zimnej, gliniastej skóry, którą obejmował gołymi nogami sprawił, że lodowate ciarki przeszły mu po grzbiecie. Człowiek – wąż usiadł za nim i wnet cała gromada ruszyła w drogę, a za każdym z jeńców siedział uzbrojony Horib.

Dziwna kawalkada wjechała do mrocznego lasu, sunąc krętymi, mrocznymi ścieżkami, nad którymi zwieszał się gęsty baldachim roślinności, w większości trupiobladej, z uwagi na brak światła słonecznego. Wilgotny chłód, niezwykle w Pellucidarze, przenikał do szpiku kości i jeńców ogarnęła atmosfera skrajnego przygnębienia.

— Co z nami zrobicie? – zapytał Jason, gdy przejechali w milczeniu kolejny spory odcinek.

— Będziecie karmieni jajami, aż będzie można nasycić wami nasze kobiety i młode – odparł Horib. – Mają już dość ryb i mięsa Gyorów. Nieczęsto trafia się tyle mięsa gilaków co dziś.

Jason pogrążył się w milczeniu, odkrywając, że jeżeli chodziło o konwersację, Horibowie nie byli zbyt rozmowni, a groza tego co przed chwilą usłyszał jeszcze długo przepelniała jego umysł. Nie żeby bał się śmierci, ale myśl o tym, że miał być tuczony na rzeź wydała mu się szczególnie odpychająca.

Kiedy tak jechali, wśród niekończących się drzew, Jason próbował zastanawiać się nad genezą tych ohydnych stworzeń. Odniósł wrażenie, że mogły one być próbą osiągnięcia przez Naturę wyższego celu, mniej pokrętną drogą niż ta, którą obrała ewolucja na zewnętrznej skorupie, poczynawszy od epoki gadów, aż do czasów człowieka.

Po drodze Jason miał okazję dostrzec od czasu do czasu Thoara i innych więźniów, choć nie udało mu się z nimi

porozmawiać, a w końcu, zdawałoby się, całą wieczność później, kawalkada wyszła z puszczy na światło słoneczne. Jason ujrzał w oddali skrzące się w słońcu wody śródlądowego jeziora. Gdy zbliżyli się do jego brzegów, zobaczył tłumy Horibów, nurkujących i dokazujących w wodach jeziora, podczas gdy inne węzoludy leżały lub kucaly na błotnistym brzegu. Kiedy do nich dojechali, Horibowie na brzegu tylko zdawkowo zainteresowali się powracającymi wojownikami, choć kilka samic i młodych wykazało żywsze zainteresowanie więźniami.

Dorośle samice niewiele różniły się od samców. Pomijając fakt, że nie miały rogów i chodziły całkiem nago, Jason nie zauważył w ich wyglądzie znaczących różnic. Nie zauważył też żadnej wioski ani miejsc pracy rzemieślniczej poza tymi, gdzie wyrabiano prymitywną broń i przypominające fartuchy zbroje, które nosili wojownicy do ochrony swych miękkich brzuchów.

Więźniowie zostali zwleczeni z wierzchowców i zagnani przez kilku wojowników, którzy poprowadzili ich skrajem jeziora w stronę wyżej położonego brzegu.

Po drodze mijali wiele samic składających jaja, które znosiły w miękkim, ciepłym mule, tuż nad linią wody, przykrywając je lekko błotem, po tym jak wcześniej oznakowały miejsce gniazda, wbijając w grunt długi patyk. Wzdłuż brzegu w ziemię było wbite setki takich kijków, a jeszcze dalej, Jason zobaczył kilku Horibów, którzy najwyraźniej dopiero co się wykuli, wyczołgujących się z błota. Nikt nie zwracał na nich większej uwagi, gdy potykając się młode brnęły naprzód, próbując nauczyć się korzystania z kończyn, a gdy się przewracały, szły dalej na czworakach jak małe, groteskowe jaszczurki.

Dotarłszy na wyżej położony brzeg, jadący na czele wojownik pilnujący Thoara, nagle zatkał dłonią usta więźnia i mocno ścisnął nos Thoara kciukiem i palcem wskazującym, po czym bez słowa wyjaśnienia, zanurkował w wodach jeziora, zabierając ze sobą swoją ofiarę.

Jason był w szoku, ujrawszy jak jego przyjaciel i towarzysz znika w błotnistej wodzie, która po chwili wzburzenia znów się wygładziła i tylko drobne zmarszczki znaczyły miejsce w którym znikło tych dwóch. W chwilę później inny Horib zanurkował z Lajosem, a zaraz po nich dwaj inni Korsarianie podzielili ten sam los.

Jason nadludzkim wysiłkiem próbował wyrwać się z łap swego oprawcy, ale zimne, wilgotne dłonie trzymały go mocno. Wtem jedna z tych łap zacisnęła się na jego ustach i nosie, a zaraz potem poczuł zamykające się nad nim ciepłe wody jeziora.

Wciąż usiłując się wyrwać, miał świadomość, że Horib niósł szybko pod powierzchnią wody. Nagle poczuł pod sobą błotnisty muł, po którym wleczono jego ciało. Jego płuca wyły w agonii, domagając się powietrza, kręciło mu się w głowie i robiło mu się ciemno przed oczami, choć mrok w jamie, przez którą go wleczono wcale nie był gęstszy. Na szczęście w którymś momencie zdjęto łapę z jego ust i nosa i mógł odruchowo, nieomal mechanicznie napełnić złąknione powietrza płuca. I kiedy powoli odzyskiwał przytomność, Jason zdał sobie sprawę, że nie utonął, lecz leżał w lepkim błocie, chłonąc nie wodę, ale powietrze. Otaczała go nieprzenikniona ciemność, poczuł wilgotne ciała ocierające się o niego, jedno, drugie i kolejne. Słyszał tylko plusk, bulgotanie, sapanie i ciszę – grobową ciszę.



## WIĘŹNIOWIE

Stojąc na skraju wielkich równin Gyorów, otoczony uzbrojonymi stworzeniami, które udowodniły właśnie, że są w stanie unicestwić jedną z najpotężniejszych i zajadłych istot, będących wynikiem ewolucji, Tarzan z Małp miał opory, aby rzucić broń, jak mu nakazano, i bez oporu zdać się na nieznany los.

— Co zamierzacie z nami zrobić? – zwrócił się do Horiba, który rozkazał mu, aby się poddał.

— Zabierzemy was do naszej wioski, gdzie będziecie dobrze karmieni – odparło stworzenie. – Nie możecie nam uciec, nikt nie zdoła uciec Horibom.

Człowiek-małpa zawahał się. Czerwony Kwiat Zoramu podeszła i stanęła obok niego.

— Chodźmy z nimi – wyszeptała. – Nie zdołamy im uciec, jest ich zbyt wielu. Może jeśli z nimi pójdziemy, później nadarzy się dogodna okazja.

Tarzan pokiwał głową, po czym odwrócił się do Horiba.

— Jesteśmy gotowi – powiedział.

Wspiąwszy się na grzbiet gorobora, i mając ze sobą wojownika Horibów, zostali przewiezieni przez obrzeża Gyor Cors do tego samego ponurego lasu, przez który wędrowali Jason i Thoar, choć dotarli tam z innego kierunku.

Na wschodnim krańcu Gór Thipdarów, w kierunku południowo – wschodnim płynie rzeka, tocząc swe wody przez

mroczną puszcę Horibów, aż do Reli Am, Rzeki Mroku. To w okolicy zlewiska tych dwóch rzek Korsarianie zostali zaatakowani przez Horibów, i to w górnym biegu tejże rzeki, Tarzan i Jana płynęli z prądem w stronę wioski węzóludów.

Jezioro Horibów leży w znacznej odległości, około pięciuset mil od wschodniego krańca Gór Thipdarów, a tam gdzie nie istnieje czas i odległości mierzone są liczbą posiłków i spań, nie ma większego znaczenia czy miejsca oddzielone są o pięć czy pięćset mil. Jeden człowiek jest w stanie pokonać dystans tysiąca mil bez żadnych przeszkód, podczas gdy inny, próbując przejść ledwie milę, może zostać zabity, a tym samym ta jedna mila będzie znaczyć więcej niż tysiąc mil, bo będzie dla owego nieszczęśnika równie niemożliwym dystansem do pokonania.

Podczas gdy Tarzan i Jana jechali przez nieprzyjazny las, setki mil dalej, Jason Gridley podniósł się do pozycji siedzącej w ciemnościach tak gęstych, że prawie mógł ich dotknąć.

— Boże! – zawołał.

— Kto to powiedział? – dobiegł z ciemności głos, i Jason nie poznał, że był to głos Thoara.

— To ja, Jason – odparł Gridley.

— Gdzie jesteśmy? – dopytywał się inny głos. To był Lajo.

— Jest tak ciemno. Wolałbym, żeby nas zabili – poskarżył się inny głos.

— Nic się nie martw – odezwał się piąty. – Wkrótce będziemy martwi.

— Jesteśmy tu wszyscy – powiedział Jason. – Myślałem, że już po nas gdy widziałem jak jednego po drugim, wciągają was do wody.

— Gdzie my jesteśmy? – dopytywał jeden z Korsarian. – Co to za dziura, do której nas wtrącili?

— W świecie, z którego pochodzę – odparł Jason – żyją wielkie gady zwane krokodylami, które budują takie gniazda albo ostoje nad brzegami rzek, tuż nad linią wody, ale jedyne wejście do nich prowadzi pod wodą. I do takiej właśnie kryjówki nas zabrano.

— Czemu nie mielibyśmy sami stąd wypłynąć? – zapytał Thoar.

— Może moglibyśmy – odparł Jason – ale oni nas zobaczą i znów sprowadzą tutaj.

— Mamy leżeć w błocie i czekać aż nas zarzną? – spytał oschle Lajo.

— Nie – odrzekł Jason – ale musimy opracować rzetelny plan ucieczki. Nic nam nie da jeśli będziemy działać bez zastanowienia.

Przez jakiś czas siedzieli w ciszy, którą w końcu przerwał Amerykanin.

— Myślicie, że jesteśmy tu sami? – spytał półgłosem. – Nasłuchiwałem z uwagą ale usłyszałem jedynie nasze własne oddechy.

— Ja również – przyznał Thoar.

— Wobec tego zbliżcie się – powiedział Jason i pięciu nisko pochylonych mężczyzn uformowało w ciemnościach krąg, tak ciasny i zwarty, że stykali się głowami. – Mam plan – ciągnął Jason. – Kiedy tu nas sprowadzili, zauważyłem, że w tym miejscu las rośnie blisko jeziora. Gdybyśmy mogli przekopać tunel prowadzący do lasu, może zdołalibyśmy uciec.

— W którą stronę jest ten las? – spytał Lajo.

— Mogę się tego tylko domyślać – odparł Jason. – Nasze przypuszczenia mogą okazać się mylne, ale musimy zaryzykować. Myślę jednak, że możemy śmiało założyć iż las

znajduje się dokładnie w przeciwnym kierunku, niż wejście, przez które trafiliśmy do tej jamy.

— Zaczniemy natychmiast kopać – zawołał jeden z Korsarian.

— Zaczekajcie, aż zlokalizuję wejście – odparł Thoar.

Popęłznął na czworakach, macając rękoma w ciemnościach i w błocie. W końcu oznajmił, że znalazł wejście i na podstawie tego skąd dobiegał jego głos, pozostali zorientowali się, gdzie mają zacząć kopać.

Wszyscy byli pełni entuzjazmu, bo sukces wydawał się być w zasięgu ręki, stanęli jednak przed problemem co zrobić z ziemią usuniętą w trakcie powstawania tunelu. Jason polecił Lajosowi, aby pozostał w miejscu gdzie zamierzali kopać, a potem nakazał innym, aby rozpełzli się we wszystkie strony, by oszacować rozmiary jamy, w której ich uwięziono. Każdy z mężczyzn miał popęłznąć w linii prostej w wyznaczonym kierunku i liczyć ile razy jego kolana dotkną ziemi, zanim dotrze do krańca jaskini.

W ten sposób odkryli, że jaskinia była długa i wąska, a o ile ich obliczenia były trafne, biegła równolegle do brzegu jeziora. Ciągnęła się na dwadzieścia stóp w jedną i na ponad pięćdziesiąt stóp w drugą stronę.

Ostatecznie zdecydowano, że ziemię będą rozrzucać równo po całym podłożu tej komory a później, w miarę rozwoju prac, będą ją usypywać pod najdalszą ścianą, aby nie zwrócić uwagi żadnego z Horibów, gdyby się akurat zjawił. Kopanie gołymi rękami było powolną i żmudną robotą, ale wykonywali ją solidnie, zmieniając się co pewien czas, dla odpoczynku. Kopacze wygarniali ziemię za siebie a inni rozsypywali ją po podłożu, aby w wypadku pojawienia się Horibów, nie zauważyli oni świeżych stert ziemi. Horibowie faktycznie się



zjawili, przynosząc jedzenie, ale mężczyźni usłyszeli głośne plaśnięcia, gdy węzoludy wskakiwały do wody, aby dotrzeć do tunelu prowadzącego do pieczary, i tak ostrzeżeni, zebrali się w zwartą gromadę, własnymi ciałami zasłaniając otwór drążonego tunelu. Horibowie którzy ich odwiedzili w żaden sposób nie dali po sobie poznać, że coś tu było nie tak. Choć ewidentnie widzieli w ciemności, nie mieli aż tak dobrego wzroku, by dostrzegać drobne szczegóły, a tym samym największe obawy, że ich plan zostanie zdemaskowany zostały, przynajmniej częściowo zażegnane.

Po długim wysiłku udało im się wykopać tunel o średnicy trzech i długości dziesięciu stóp, kiedy Jason, który wtedy pracował, odkrył dużą muszlę i znacznie ułatwiła ona proces wybierania ziemi z tunelu. Od tej pory pracowali coraz sprawniej, choć i tak mieli wrażenie że pracują bez końca, i nie mieli pojęcia kiedy mogą zjawić się Horibowie, by zabrać ich na ucztę.

Życzeniem Jasona było dotrzeć do lasu, zanim zaczną przekopywać się pod górę, ku powierzchni, ale w tym celu musieli najpierw napotkać korzenie drzew i podążyć jeszcze dalej, co mogło oznaczać opóźnienia i konieczne obejścia, ale gdyby wyszli na powierzchnię za wcześnie, zniweczyliby swe dotychczasowe wysiłki, i nadzieje na ucieczkę.

I podczas gdy pięciu mężczyzn kopało w ziemi w ciemnej jamie, kierując się powoli w stronę posępnej puszczy Horibów, wielki statek sunął majestatycznie po niebie nad północnymi stokami Gór Thipdarów.

— Nigdy tędy nie przechodzili – powiedział Zuppner. – Nic prócz kozicy górskiej nie byłoby w stanie pokonać tego masywu.

— Zgadzą się z panem – przyznał Hines. – Równie dobrze moglibyśmy podjąć poszukiwania w innym kierunku.

— Boże! – zawołał Zuppner. – Gdybym tylko wiedział w jakim kierunku powinniśmy prowadzić poszukiwania.

Hines pokręcił głową.

— Każdy kierunek jest równie dobry jak inny, kapitanie.

— Pewnie tak – powiedział Zuppner i lekko musnąwszy ster sprawił, że dziób wielkiego sterowca powoli zaczął zwracać się w lewo. Kierując się na wschód, równoległe do Gór Thipdarów, sterowiec przepłynął nad Gyor Cors. Lekki obrót kołem sterowym i ogromna maszyna skierowała się na południowy wschód, ponad groźnym lasem, przez którego ostępy Tarzan i Jana wiezieni byli na spotkanie okrutnego losu. Jednak kapitan Zuppner o tym nie wiedział i O-220 podążał dalej na wschód, podczas gdy Władca Dżungli i Czerwony Kwiat Zoramu jechali w milczeniu, ku swojej zgubie.

Niemal od momentu gdy wjechali do puszczy, Tarzan wiedział, że mógłby uciec. W okamgnieniu mógłby zeskoczyć z grzbietu gorobora na którym jechał, i schwycić się którejś z niżej rosnących gałęzi, o które nieomal zahaczali głowami, przejeżdżając pod nimi, ale choć wiedział, że żaden gorobor czy Horib nie zdołałby go dogonić, nie mógł zostawić Jany – nie miał też okazji podzielić się z nią swymi planami, bo nie był w stanie zbliżyć się do niej na tyle, by szeptem przekazać jej te informacje. Gdyby nawet zdołał jej to przekazać, wątpił aby była w stanie dotrzeć w bezpieczne miejsce w koronach drzew, zanim zostałaby ponownie pojmana przez Horibów.

Gdyby tylko mógł się do niej zbliżyć! Był pewien, że schwyciwszy ją mógłby uciec bez większych problemów

wraz z nią, dlatego jechał w milczeniu, czekając na dogodną okazję.

Dotarli do górnego krańca jeziora i ominąwszy jego zachodni brzeg, jechali dalej. Z urywków rozmów pomiędzy Horibami, człowiek-mała wywnioskował, że zbliżali się do celu, a wciąż wyczekiwana okazja nie nadchodziła.

Tarzan, niecierpliwiąc się coraz bardziej był bliski podjęcia desperackiej próby ucieczki, wierzył bowiem, że tak nieoczekiwane zachowanie zamąciłoby węzóludom w głowach, a tyle tylko potrzebował by przerzucić sobie Janę przez ramię i wspiąć się na dolne partie drzew, których konary tak kusząco zwieszały się nad nimi.

Nerwy i mięśnie Tarzana z Mała były wyszkolone, by absolutnie podporządkować się jego woli; nigdy nie poddawały się zaskoczeniu w razie jakichś nieoczekiwanych zdarzeń, ani nie ujawniały co kryło się w umyśle człowieka-mały, kiedy był on w obecności nieznanym mu osób lub też wrogów, teraz jednak, po raz pierwszy skutek szoku był bliski okazania zdumienia jakie go przepełniło, gdy zbłąkany podmuch powietrza przyniósł do jego nozdrzy zapach, którego nie spodziewał się już nigdy poczuć.

Horibowie poruszali się niemal dokładnie pod wiatr, toteż Tarzan wiedział, że źródło znajomych woni musiało znajdować się gdzieś na wprost nich. Myślał intensywnie, ale pojawienie się tego znajomego zapachu skłoniło go do opracowania starannego planu. Musiał zadbać o bezpieczeństwo dziewczyny, lecz by móc ją chronić musiał także ochronić siebie. Czuł, że byłoby niemożliwe, aby obydwójce uciekli równocześnie, teraz jednak pojawiała się nowa sposobność, i to taka, która gwarantowała im spore szanse powodzenia.

Z tyłu za nim na grzbiecie gorobora, tak blisko, że ich ciała stykały się, siedział wielki Horib. W jednym ręku trzymał pikę, ale drugą miał wolną. Tarzan musiał zadziałać tak szybko, aby tamten nie zdołał dosięgnąć go wolną ręką, zanim nie znajdzie się poza jego zasięgiem. Wymagało to niemal nadludzkich zdolności, ale pod tym względem mało kto mógł się równać z człowiekiem-małpą. Nisko nad ich głowami zwieszały się konary posępnego lasu; Tarzan czekał, wypatrując dogodnej okazji. I wreszcie się nadarzyła – pod postacią prześwitu w baldachimie gęstego listowia. Wychylił się do przodu, opierając dłonie lekko na szyi gorobora. Byli już prawie pod upatrzonym przez niego konarem, kiedy Tarzan zwinnie zerwał się na nogi i jednym susem wspiał się na gałąź. Zrobił to tak szybko, że zniknął zanim pilnujący go Horib zorientował się co właściwie się stało. Gdy to sobie uświadomił, było już za późno, więzień zniknął. Inni także to zauważyli, więc Horib wydał głośny ostrzegawczy okrzyk, by powiadomić tych co jechali przed nim, ale żaden z nich nie zdołał dostrzec ani usłyszeć zbiega, bo Tarzan przemieszczał się już w górnych partiach drzew i listowie zasłaniało go przed oczyma wrogów.

Jana, która jechała nieco z tyłu, zobaczyła jego ucieczkę i serce nieomal zamarło jej w piersi, bo będąc wśród Horibów, bała się jak jeszcze nigdy dotąd. Obecność Tarzana dodawała jej nieco otuchy, a teraz, kiedy go zabrakło, poczuła się bardzo samotna. Nie winiła go, że uciekł gdy miał po temu okazję, ale w głębi serca była pewna, że Jason by jej nie porzucił.

Podążając za zapachem, który był jego jedynym przewodnikiem, Tarzan z Małp szybko przemieszczał się wśród drzew. Z początku wspiał się wysoko, między konary drzew, w ich wyższe partie, i tu odnalazł inny, nowy świat, świat pełen

słońca i zielonego listowia, zamieszkały przez dziwne ptaki o pięknym upierzeniu, które uganiały się we wszystkie strony. Były tu też latające gady i wielkie, barwne ćmy. Węże wylegiwały się na wielu konarach, a ponieważ należały do licznych, różnych i nieznanym mu gatunków, nie wiedział których powinien się obawiać, a których nie. Był to zarazem piękny i odpychający świat, ale najbardziej pociągała go w nim cisza, bo jego mieszkańcy wydawali się być niemi. Obecność węży i gęstego listowia sprawiała, że nie był to wymarzony świat dla tych, co pragnęli podróżować szybko, tak więc człowiek-małpa musiał zejść na niższy poziom i tu puszcza okazała się bardziej otwarta, a woń silniej wdzierała się do jego nozdrzy.

Nieraz zwątpił w źródło tego zapachu, choć wydawało się absurdalne i niewiarygodne aby mógł go odkryć akurat tu, w mrocznej puszczy w bezkresnym Pellucidarze.

Poruszał się bardzo szybko, bo o ile to możliwe, chciał dotrzeć do celu przed Horibami. Miał nadzieję że jego ucieczka opóźni węzóludy i faktycznie tak było, bo natychmiast się zatrzymały a wiele z nich wspięło się na drzewa, w poszukiwaniu Tarzana. Na ich twarzach niewiele zdradzało przepełniający ich gniew, choć rozlewający się na ich łuskach niebieskawy odcień świadczył, że ludzie-węże byli coraz bardziej rozjuszeni łatwością, z jaką gilakowi udało się uciec i kiedy w końcu przerwali dalsze poszukiwania, i podjęli przerwany marsz byli naprawdę w paskudnym nastroju.

Daleko przed nimi, Tarzan z Małp zeskoczył na niższe partie drzew. W nozdrzach czuł silny zapach, za którym podążał, mówiący mu wymowniej niż jakiegokolwiek słowa, że to czego szukał było już niedaleko i w chwilę potem zeskoczył

na mroczną ścieżkę pomiędzy drzewami, spadając jak z nieba, pomiędzy dziesięciu, kompletnie zaskoczonych, krzepkich wojowników.

Przez moment stali, patrząc na niego z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami, po czym podbiegli i rzucili się przed nim na kolana, całując jego dłonie i roniąc łzy ze szczęścia.

— Och, Bwana, Bwana – łkali – to naprawdę ty! Mulungu jest łaskawy dla swoich dzieci, bo pozwolił by ich Wielki Bwana powrócił do nich żywy.

— A teraz mam dla was zadanie, moje dzieci – rzekł Tarzan. – Nadchodzą ludzie-węże i jest z nimi dziewczyna, którą pojмали. Dziękuję Bogu, że macie ze sobą karabiny i mam nadzieję, że dysponujecie sporym zapasem amunicji.

— Oszczędzaliśmy ją, Bwana, korzystając z włóczni i strzał, kiedy tylko to było możliwe.

— Świetnie – stwierdził Tarzan – teraz się nam przyda. Jak daleko jesteście od statku?

— Nie wiem – odparł Muviro.

— Nie wiesz? – powtórzył Tarzan.

— Nie, Bwana, zgubiliśmy się. Zagubiliśmy się już jakiś czas temu – odparł wódz Wazirów.

— Co robicie sami, tak daleko od statku? – dopytywał się Tarzan.

— Posłano nas z Gridleyem i von Horstem, aby cię odszukać, Bwana.

— Gdzie oni są? – spytał Tarzan.

— Dawno temu, choć nie potrafię powiedzieć ile, rozdzieliliśmy się z Gridleyem i odtąd już go więcej nie widzieliśmy. Wtedy rozdzielili nas dzikie zwierzęta, ale nie wiemy co się stało że odłączył się od nas von Horst. Znaleźliśmy

jaskinię i weszliśmy tam, by się przespać; gdy się obudziliśmy, von Horsta już nie było i tyle go widzieliśmy.

— Oni nadchodzą – ostrzegł Tarzan.

— Słyszę ich, Bwana – odparł Muviro.

— Widzieliście tych ludzi-węży? – spytał Tarzan.

— Nie, Bwana, od dawna już nie widzieliśmy ludzi, tylko zwierzęta – przerażające bestie.

— Teraz zobaczycie naprawdę strasznych ludzi – ostrzegł ich Tarzan – ale niech was nie przerazi ich wygląd. Wasze kule ich powalą.

— Kiedy widziałeś aby Wazirowie się czegoś bali, Bwana? – spytał dumnie Muviro.

Człowiek-małpa uśmiechnął się.

— Niech jeden z was da mi karabin – powiedział – a potem rozproszmy się po lesie. Nie wiem gdzie dokładnie będą przechodzić, ale jeśli któryś z was ich napotka niech zacznie strzelać – i to tak, by zabić, pamiętajcie jednak, że dziewczynie jadącej przed jednym z nich nie może spaść włos z głowy.

Ledwie skończył mówić, gdy w ich polu widzenia pojawił się pierwszy z Horibów. Tarzan i Wazirowie nie próbowali się chować, a na ich widok, Horib aż wrzasnął z zadowolenia. Zaraz potem huknął strzał i Horib jadący na przedzie targnął konwulsyjnie całym ciałem, po czym osunął się na ziemię. Pozostali, głównie dzięki szybkości swych wierzchowców, rzucili się w stronę Wazirów i wysokiego, białego olbrzyma, który nimi dowodził, ale kule z innego świata okazały się szybsze od goroborów. Horibowie padali tak szybko jak Tarzan i Wazirowie byli w stanie oddawać kolejne strzały. Horibowie nigdy dotąd nie zaznali porażki. Byli sinoniebiescy z wściekłości, lecz ich łuskowata skóra szarzała, kiedy kule

odnajdowały ich serca i powalały martwe już węzoludy na ziemię.

Gorobory poruszały się szybko, ale Tarzan i Wazirowie prowadzili tak gwałtowny ostrzał, że potyczka dobiegła końca w parę minut odkąd się rozpoczęła, a teraz pozostali Horibowie, zrozumiałwszy, że nie zdołają pokonać i pojmać gilaków uzbrojonych w ten dziwny oręż, który raził ich szybciej niż byli w stanie miotać pikami, podali tyły i poszli w rozsypkę, w nadziei, że zdołają ominąć wrogów i podążyć dalej w swoją stronę.

Jak dotąd Tarzan nie spostrzegł jeszcze Jany, choć wiedział, że musiała być gdzieś z tyłu, wśród pozostałych przy życiu Horibów i w końcu ją zauważył, w oddali, na grzbiecie oddalającego się pędem gorobora. Teraz jedyną szansą wydawało się zastrzelenie zwierzęcia, na którym podróżowała. Tarzan uniósł karabin do ramienia i w tej samej chwili pozbawiony jeźdźca gorobor wpadł na niego z tyłu, powalając go na ziemię. Zanim zdążył wstać, Jana i jej porywacz zniknęli mu z oczu wśród potężnych pni drzew.

W pobliżu Wazirów kręciło się wiele przerażonych, nie mających jeźdźców, goroborów. To jeden z nich potrącił i przewrócił Tarzana. Bez swoich panów, zwierzęta wydawały się całkiem zagubione, ale kiedy zauważyły, że jeden z nich podążył w ślad za pierzchającymi Horibami, te dzikie bestie pospieszyły za nim, stanowiąc równie poważne zagrożenie, jak sami Horibowie.

Muviro i jego wojownicy uskakiwali zwinnie za drzewa, by zejść im z drogi, ale w umyśle człowieka – małpy zaświtała nowa nadzieja, oto bowiem nadarzała się okazja by dopaść Horiba, który uprowadził Czerwony Kwiat Zoramu, i ku



wielkiemu przerażeniu i zdumieniu Wazirów, Tarzan wskoczył na grzbiet jednego z wielkich gadów, który akurat przebiegał tuż obok niego. Opierając stopy tak jak to robili Horibowie na barkach wielkiego gada, został uniesiony przez spłoszone zwierzę, które pognało w ślad za swoimi ziomkami i panami. Nie musząc go ponaglać, nawet gdyby wiedział jak to zrobić, bo zwierzę wciąż było przerażone i podekscytowane walką, kiedy tak gnało pomiędzy pniami szarych drzew, przeganiając inne gorobory i zostawiając je w tyle.

W końcu tuż przed sobą Tarzan ujrzał Horiba, który uprowadził Janę i zrozumiał, że i jego wkrótce zdoła prześcignąć, wierzchowiec człowieka – małpy gnał bowiem tak szybko, iż istniało prawdopodobieństwo że jaszczur minie Janę a Tarzan nie będzie w stanie jej uratować i w tej sytuacji Władca Dżungli zaczął się zastanawiać jak zatrzymać wierzchowca Horiba. Miał tylko moment, aby podjąć decyzję i zadziałać, ale w tej krótkiej chwili uniósł karabin i strzelił. Może był to istny popis umiejętności strzeleckich a może zwyczajne szczęście, ale kula trafiła gorobora w kręgosłup i w chwilę potem pod zwierzęciem ugięły się tylne nogi, a ono samo przewróciło się na bok, sprawiając, że Jana i Horib zostali brutalnie zrzućeni z grzbietu stwora. W tej samej chwili wierzchowiec Tarzana minął zabitego gorobora, a człowiek-małpa, ryzykując przykry upadek, ześlizgnął się z grzbietu zwierzęcia i przekoziółkował po zabitym wierzchowcu Horiba.

Podrywając się na nogi, stanął naprzeciw człowieka-węża i w tej samej chwili ziemia usunęła mu się spod nóg i wpadł nieomal po pachy do głębokiego dołu. Gdy rozpaczliwie próbował się z niego wydostać, coś pochwyciło go za kostki

i pociągnęło w dół – zimne palce, które wpijając się bezlitośnie w ciało, ściągały go coraz głębiej w mrok podziemnego tunelu.

## UCIECZKA

O-220 sunął powoli nad Gyor Cors, czujne oczy przepatrywały ziemię poniżej, ale jedynymi żywymi istotami jakie zdołały dostrzec były olbrzymie dinozaury. Spłoszone dźwiękiem silników sterowca, wielkie bestie truchtały gniewnie wkoło, a od czasu do czasu jedno z tych stworzeń, zauważywszy powyżej statek powietrzny, gnało za nim, rycząc wściekle, lub atakowało eliptyczny cień przesuwający się po ziemi dokładnie pod O-220.

— Mają niezłe charakterki, nie ma co – zauważył porucznik Hines, który obserwował je przez iluminator w mesie.

— A jakie to som konkretnie, poruczniku? – zapytał Robert Jones.

— Triceratopsy – odparł oficer.

— Wszystkiego gotów jestem spróbować raz w życiu, ale tych to nie – odparł Robert.

Choć zdumiony nawigator o tym nie wiedział, statek wziął kurs na południowy wschód. W oddali, po lewej zamajaczyło pasmo górskie, unoszące się łukowato ku górze, oraz przecinająca równinę rzeka, spływająca z odległych gór i tą właśnie drogą podążyli, uznawszy, że ludzie zagubieni w obcej krainie będą szli wzdłuż rzeki, o ile tylko uda im się jakąś odnaleźć.

Lecieli z biegiem rzeki od jakiegoś czasu, kiedy skontaktował się z nimi porucznik Dorf, z kabiny obserwacyjnej.

— Przed nami spory akwen wodny – zaraportował do kapitana Zuppnera. – Sądząc po tym co widzę, zbliżamy się do wielkiego oceanu.

Oczy wszystkich zwrócone były teraz na wprost i wnet wszyscy na pokładzie ujrzeli wspomniany akwen wodny. Statek powietrzny powoli sunął wzdłuż brzegu najpierw w jedną, potem w drugą stronę, a ponieważ upłynęło trochę czasu odkąd nabrali słodkiej wody i świeżego mięsa, Zuppner postanowił wylądować i rozbić obóz, wybierając miejsce na północ od rzeki, wzdłuż której lecieli, niedaleko jej ujścia do morza. I kiedy wielki statek osiadł majestatycznie na pofałdowanej, trawiastej łące, Robert Jones wykonał wpis w swoim małym, czarnym dzienniku: „Przybyliśmy tu w południe”.

Podczas gdy wielki statek osiadł nad brzegiem cichego, pellucidarskiego morza, Jason Gridley i jego towarzysze setki mil na zachód, drążyli tunel pod górę, zmierzając ku poziomowi gruntu. Jason był na przedzie, z mazołem wybierając ziemię muszlą i przegarniając ją do tyłu, gdzie wygarniali ją inni. Pracowali z coraz większą desperacją, bo tunel był tak duży, że trudno by im było wrócić do jaskini na czas, usłyszawszy zbliżających się Horibów.

Kiedy Jason wybierał ziemię nad sobą, nagle do jego uszu doszedł dźwięk przypominający huk karabinowego wystrzału. Nie mógł w to uwierzyć, bo wydało mu się to nieprawdopodobne, ale czy mogło to być coś innego? Minęło tyle czasu odkąd został rozdzielony ze swymi towarzyszami, że wydawało mu się niemożliwe, aby jakimś zrzędzeniem losu trafili do tego posępnego zakątka Pellucidaru, i choć nie tracił nadziei, odegnał od siebie te myśli, dochodząc do bardziej naturalnych wniosków, że strzały pochodziły z arkebuzów

Korsarian, którzy przybyli ze statku, mającego, według Lajo kotwiczyć gdzieś poniżej, na Relu Am. Najwyraźniej kapitan wysłał ekspedycję na poszukiwanie zaginionych członków załogi, ale nawet perspektywa ponownego wpadnięcia w ręce dzikich Korsarian wydawała się rajem w porównaniu z losem, jaki szykowali dla nich Horibowie.

Jason zdwoił swe wysiłki, pracując jak szalony, by przebić się na powierzchnię. Huk wystrzałów, który trwał ledwie kilka minut, ucichł zupełnie, a potem dał się słyszeć tupot wielu stóp, jakby jakieś ciężkie stworzenia gnały w tę stronę. Usłyszał jak przebiegały tuż nad nim i wydawały się tak bliskie, że uwierzył iż do powierzchni było już niedaleko.

Kolejny wystrzał rozbrzmiał prawie tuż nad nim, Jason usłyszał łoskot upadającego ciężko ciała, aż od tego rumoru zatrzęsała się ziemia. Podniecenie Jasona osiągnęło szczyt, gdy nagle ziemia nad nim rozstąpiła się i coś wpadło do tunelu, zwalając mu się na głowę.

Ogarnął go strach, że ich plan ucieczki został wykryty przez Horibów. Jason zareagował instynktownie, kierowany instynktem samozachowawczym, uznając, że najlepiej zrobi jeśli wciągnie tego, kto odkrył ich tunel, możliwie jak najszybciej pod ziemię, i w tym celu pociągnął intruza z całych sił w głąb otworu, i do pewnego momentu było to całkiem proste, jednak Tarzan miał ze sobą karabin. Broń spadła na ziemię i zatrzymała się poziomo w poprzek krawędzi otworu, i kiedy człowiek-małpa został pociągnięty w dół, lufa i kolba strzelby zahaczyły i ugrzęzły w otworze. Jason ciągnął z całych sił za kostki intruza, ale Władca Dżungli powoli naprężył stalowe mięśnie i jął podciągać się w górę, wlokąc za sobą Gridleya. Mimo iż szarpał się i miotał jak szalony,

Amerykanin nie był w stanie przemóc siły tych stalowych ścięgien. Powoli, nieubłagane był wyciągany pod górę, ku powierzchni gruntu.

Tym razem jednak Amerykanin wiedział, że istotą którą trzymał za nogi nie był Horib, bo palce miał zaciśnięte na gładkiej skórze istoty ludzkiej, a nie na łuskowatym ciele węzoluda, czuł jednak, że nie może pozwolić tamtemu uciec.

Horib który spodziewał się ataku Tarzana zdziwił się, widząc że ten w tajemniczy sposób zapadł się w głąb ziemi i nie czekał, by zbadać lub wyjaśnić to zjawisko, lecz pochwyciwszy Janę za przeguby, pospieszył ze swymi ziomkami, ciągnąc za sobą stawiającą opór dziewczynę.

Tych dwoje zniknęło właśnie wśród drzew posępnej puszczy, kiedy Tarzan, wyczołgując się z otworu, dostrzegł przez mgnienie oka ich umykające sylwetki. Z jego ust nieomal dobył się zwierzęcy ryk wściekłości, gdy uświadomił sobie, że to ostatnie feralne zdarzenie mogło uniemożliwić mu uratowanie dziewczyny. Szamocząc się z palcami intruza, kurczowo wczepionymi w jego kostki stóp, wierzgnął mocno raz i drugi, by się od nich uwolnić i te kopnięcia sprawiły, że Jason zleciał na powrót do tunelu, podczas gdy człowiek-małpa wyskoczył na twardy grunt i już uwolniony rzucił się w pościg za Horibem i Czerwonym Kwiatem Zoramu.

Przywołując do siebie towarzyszy, Jason szybko wyczołgał się z tunelu, by ujrzeć półnagiego olbrzyma o zbrązowiałej od słońca skórze, nim ten zniknął za pniem wielkiego drzewa, ale ten jeden rzut oka wystarczył, by natchnąć go nadzieją. Ale jak to możliwe? Czyż Thoar nie widział, że Władca Dżungli został porwany, na pewną zgubę? Czy to był Tarzan czy nie, ważniejszą sprawą było czemu tak się spieszył. Czy uciekał, czy

kogoś gonił? Tak czy owak, coś mówiło Jasonowi Gridleyowi, że nie powinien tracić tamtego z oczu; przynajmniej nie był to Horib, a skoro tak, to musiał to być wróg węzóludów. Wydarzenia rozgrywały się tak szybko, że Jason pogubił się i nie wiedział, w którą stronę ma pójść, coś jednak mówiło mu, aby nie tracił z oczu nieznajomego i powodowany tym niewyjaśnionym impulsem, Amerykanin pobiegł co sił w nogach.

Tarzan z Małp pędził przez ciemny las, prowadzony jedynie przez delikatny i subtelny aromat jakim był zapach Czerwonego Kwiatu Zoramu i który nie byłby wyczuwalny dla nikogo nie mającego tak czułego powonienia jak Władca Dżungli. W nozdrzach czuł równie mocno odrażającą woń Horibów i niepokojąc się, że mógłby spotkać ich większą liczbę wskoczył rażno na drzewo, po czym nie zwalniając tempa, kontynuował pościg. I tak już wkrótce ujrzał ich poniżej, pojedynczego Horiba ciągnącego wciąż opierającą się Janę.

Bez wahania i ani trochę nie zwalniając, Władca Dżungli jak wystrzelony pocisk rzucił się na szpetny grzbiet Horiba. Uderzył w stworza z taką siłą, że nieco go oszołomił i powalił na ziemię. Muskularne ramię opasywało szyję stworza, gdy Tarzan ponownie się podniósł, wlokąc ze sobą Horiba. Robiąc szybki obrót i wychylając się w przód, Tarzan przerzucił ciało węzóluda nad sobą i z impetem uderzył nim o ziemię, wciąż obejmując go za szyję. Raz po raz miotał mocarnym ciałem, przerzucając je nad głową i ciskając nim o szarą ziemię, podczas gdy dziewczyna, wytrzeszczając oczy ze zdumienia, oszołomiona tym popisem herkulesowej siły tylko patrzyła w milczeniu.

Wreszcie, upewniwszy się, że stwór nie żyje lub jest co najmniej nieprzytomny, Tarzan puścił go. Czym prędzej zabrał należący do Horiba krzemienny nóż i upuszczoną przezeń pikę, po czym odwrócił się do Jany.

— Chodź – powiedział – jest dla nas tylko jedno bezpieczne miejsce – po czym zarzucając ją sobie na ramię wskoczył na nisko zwieszającą się gałąź pobliskiego drzewa.

— Przynajmniej tutaj – ciągnął – będziesz bezpieczna przed Horibami, wątpię bowiem, aby jakiś gorobor był w stanie wspiąć się tu za nami.

— Zawsze myślałam, że nie ma wojowników takich jak w Zoramie – powiedziała Jana – ale to było zanim poznałam ciebie i Jasona.

Tarzan wiedział, że nie mogłaby bardziej go pochwalić za to co dla niej zrobił, bo dla prymitywnej kobiety nie było mężczyzn lepszych niż ci z jej plemienia.

— Chciałabym – ciągnęła ze smutkiem po krótkiej przerwie – żeby Jason żył. Był wspaniałym człowiekiem i mężnym wojownikiem, ale przede wszystkim dobrym i życzliwym mężczyzną. Mężczyźni z Zoramu nigdy nie są okrutni dla swoich kobiet, choć nie zawsze są rozważni i troskliwi. Jason zawsze myślał o moich potrzebach, i dbał przede wszystkim o moje bezpieczeństwo.

— Bardzo go lubiłaś, prawda? – spytał Tarzan.

Czerwony Kwiat Zoramu nie odpowiedziała: miała łzy w oczach i ściśnięte gardło i mogła jedynie pokiwać głową.

Znalazwszy się na drzewie, Tarzan postawił Janę na jednym z konarów i odkrył, że potrafiła przemieszczać się po drzewach bez jego pomocy, jak mogło się być tego spodziewać po kimś, kto przeskakiwał ze skały na skałę, na stromych stokach Gór



Thipdarów. Bez pośpiechu wrócili do miejsca, gdzie ostatni raz widzieli Muviro i jego Wazirów, ale jako że szli teraz z wiatrem i Tarzan nie mógł zwęszyć swoich wojowników, czujnie nasłuchiwał każdego dźwięku, który mógł ujawnić, gdzie się obecnie znajdowali. W końcu usłyszał tupot kroków zmierzających pospiesznie przez puszcę, w ich stronę. Człowiek-małpa ukrył dziewczynę za pnem wielkiego drzewa i czekał w milczeniu i bezruchu, bo nie wszystkie odgłosy kroków były zwiastunami nadejścia jego przyjaciół. Czekali tylko przez chwilę, gdy na ziemi poniżej pojawił się prawie nagi mężczyzna przyodziany w brudną kozłą skórę, która była prawie niewidoczna pod warstwą błota. Muł nie pozwolił też rozpoznać barwy jego skóry. Gęste czarne włosy mężczyzny były pozlepiane błockiem. Była to najbrudniejsza istota, jaką Tarzan miał okazję widzieć, ale na pewno nie był to Horib, i nie był uzbrojony. Człowiek-małpa nie potrafił odgadnąć co ten nieszczęśnik robił w tym posępnym lesie, więc nie zwlekając zeskoczył na ziemię przed zaskoczonym wędrowcem.

Na widok człowieka-małpy, tamten przystanął, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia i niedowierzania.

— Tarzan! – wykrzyknął. – Na Boga, to naprawdę ty! A więc nie zginąłeś! Bogu dzięki, że żyjesz!

Na ustach Władcy Dżungli pojawił się rozszerzający się z wolna uśmiech.

— Gridley! – zawołał. – Jason Gridley! Jana mówiła, że nie żyjesz.

— Jana? – zawołał Jason. – Znasz ją? Widziałeś ją? Gdzie ona jest?

— Jest tutaj, ze mną – odparł Tarzan.

Czerwony Kwiat Zoramu ześlizgnęła się na ziemię po drugiej stronie drzewa i wyszła zza ogromnego pnia.

— Jano! – zakrzyknął Jason i ruszył dziarsko w jej stronę.

Dziewczyna wyprostowała się dumnie i odwróciła się do niego bokiem.

— Jaloku! – parsknęła pogardliwie. – Ile razy mam ci powtórzyć, byś trzymał się z daleka od Czerwonego Kwiatu Zoramu?

Jason stanął jak wryty, opuszczając ręce do boków, kompletnie zdruzgotany. Tarzan patrzył w milczeniu, marszcząc brwi w wyrazie konsternacji, ale nie miał w zwyczaju mieszać się w obce sprawy.

— Chodźcie – rzekł – musimy znaleźć Wazirów.

Wtem w oddali rozległy się donośne głosy, a po ich tonie Tarzan zorientował się, że to Wazirowie. Cała trójka pośpieszyła naprzód, by natknąć się na scenę, która mogła się wydawać zabawna, lecz skończyłaby się tragedią, gdyby nie zjawili się w porę.

Dziesięciu wojowników Waziri uzbrojonych w karabiny, otoczyło Thoara i trzech Korsarian, a członkowie każdej z trzech grup jazgotali, każdy w swoim, niezrozumiałym dla pozostałych języku.

Pellucidarczy, którzy nie widzieli dotąd prawdziwych czarnoskórych, takich jak Wazirowie, i zakładali, że wszyscy obcy są ich wrogami, spodziewali się najgorszego i zamierzali podjąć próbę ucieczki, podczas gdy Muviro, wierząc, iż ludzie ci mogą mieć jakiś związek ze zniknięciem jego pana, postanowił ich za wszelką cenę zatrzymać i przesłuchać, a gdyby próbowali stawiać opór, nie zawahałby się ich zabić. Obie strony odetchnęły z ulgą, gdy pojawili się Tarzan, Jason

i Jana, a Wazirowie zobaczyli jak ich Wielki Bwana wita się z jednym z ich jeńców, okazując wobec niego przyjazne nastawienie.

Thoar zdumiał się jeszcze bardziej niż Jason, gdy ujrzał Tarzana żywego, a kiedy zobaczył Janę, chłodna rezerwa i powściągliwość jakie go zwykle cechowały, ustąpiły na rzecz radości i ulgi, jaką poczuł widząc ją zdrową i całą. Nie mniej zaskoczona i szczęśliwa była Jana, podbiegając i rzucając się bratu w ramiona.

Przepełniony emocjami, jakich nigdy dotąd nie doświadczył, Jason Gridley stał z boku, obserwując w milczeniu to ponowne, czułe spotkanie, i właśnie wtedy chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że tym co czuł względem owej małej barbarzynki była ni mniej ni więcej, tylko miłość.

Nie chciał jednak się do tego przyznać, nawet przed sobą, i poczuł niepohamowaną zazdrość wobec Thoara, nie tylko dlatego, że Thoar był jego przyjacielem, ale że był prymitywnym dzikusem podczas gdy on, Jason Gridley stanowił efekt stuleci kultury i cywilizacji.

Thoar, Lajo i dwaj inni Korsarianie również się ucieszyli, że ci dziwni wojownicy, których postrzegali jako wrogów zmienili się nagle w sojuszników i przyjaciół, a kiedy usłyszeli opowieść o bitwie z Horibami, zrozumieli, że największe zagrożenie przed którym stali, zostało zminimalizowane, bo obecność tych wojowników uzbrojonych w zabójczą broń, w porównaniu z którą ich własne arkebuzy były warte tyle co proca, gwarantowała im niemal pewną ucieczkę z tej przeraźliwej krainy.

Odпочąwszy po wysiłku, każda z grup pokrótce zrelacjonowała swe ostatnie przygody i podjęto próby

opracowania planów na przyszłość – tu wszelako pojawiły się trudności. Thoar chciał wrócić z Janą do Zoramu. Tarzan, Jason i Wazirowie pragnęli jedynie odnaleźć pozostałych członków ich ekspedycji, podczas gdy Lajo i jego dwaj kamracy myśleli przede wszystkim o powrocie na swój statek.

Tarzan i Jason, zdając sobie sprawę, że niewskazane byłoby zdradzenie Korsarianom prawdziwego powodu ich obecności w Pellucidarze i przekonawszy się, że ludzie ci znali historię Tanara, pozwolili im uwierzyć, że po prostu szukali Sari, aby złożyć przyjacielską wizytę Tanarowi i jego ludziom.

— Sari leży daleko stąd – rzekł Lajo. – Ten kto wybiera się do Sari po drodze będzie musiał spać sto razy, pokonując Korsar Az i dziwne krainy, w których roi się od wrogów, a także przebyć Krainę Straszliwego Cienia. Możliwe, że nigdy nie dotrze do celu.

— Nie ma sposobu, aby dotrzeć tam lądem? – zapytał Tarzan.

— Jest – odparł Lajo – i gdybyśmy byli w Korsarze, mógłbym wskazać wam drogę, ale to też byłaby straszliwa wyprawa, bo nikt nie wie jakie dzikie plemiona i bestie zamieszkują niezmiernie ziemie pomiędzy Korsarem a Sari.

— A gdybyśmy udali się do Korsaru – rzekł Jason – nie moglibyśmy liczyć, że zostaniemy przyjęci jako przyjaciele, prawda Lajo?

Korsarianin pokiwał głową.

— Nie – odparł. – Nie przyjęto by was jak przyjaciół.

— Mimo to – rzekł do Jasona Tarzan – wierzę, że jeśli mamy jeszcze kiedykolwiek odnaleźć O-220, powinniśmy szukać go w pobliżu Korsaru.

Jason pokiwał głową.

— Ale to nie będzie korelowało z planami Thoara – powiedział – bo jak rozumiem, jesteście teraz bliżej Zoramu niż Korsaru i gdybyśmy postanowili udać się do Korsaru, oddalilibyśmy się od Zoramu. O ile jednak nie przydzielimy im eskorty Wazirów, wątpię aby Thoar i Jana dotarli do Zoramu żywi, gdyby mieli wracać tą samą drogą, którą podążaliśmy on i ja odkąd opuściliśmy Góry Thipdarów.

Tarzan odwrócił się od Thoara.

— Jeśli pójdziecie z nami, będziemy mogli szybko odwieźć was do Zoramu, kiedy tylko odnajdziemy nasz statek. Jeśli nie znajdziemy go w stosunkowo krótkim czasie, odprowadzimy was do Zoramu. Tak czy owak macie większe szanse na dotarcie do waszej krainy niż mielibyście, gdybyście ty i Jana udali się tam sami.

— Wobec tego będziemy wam towarzyszyć – rzekł Thoar, i nagle jego oblicze spochmurniało, jakby nagle w jego głowie pojawiła się jakaś niepokojąca myśl. Przez chwilę patrzył na Jasona, po czym odwrócił się do Jany. – Prawie zapomniałem – powiedział. – Zanim pójdziemy z tymi ludźmi jako ich przyjaciele, muszę wiedzieć, czy ten mężczyzna skrzywdził cię, lub może zranił, kiedy z nim byłaś. Jeżeli tak, to muszę go zabić.

Jana nie spojrzała nawet na Jasona, gdy odpowiedziała.

— Nie musisz go zabijać – odparła. – Gdyby to było konieczne, Czerwony Kwiat Zoramu zrobiłaby to sama.

— Doskonale – rzekł Thoar. – Cieszę się, bo to mój przyjaciel. Teraz możemy pójść wszyscy razem.

— Nasza łódź prawdopodobnie jest nad rzeką tam gdzie zostawili ją Horibowie, po tym jak nas schwytali – rzucił Lajo.

— Jeżeli tak to będziemy mogli niedługo dotrzeć nią do naszego statku, który kotwiczony w dolnych wodach Reli Am.

— Aby twoi ludzie wzięli nas do niewoli? – rzekł Jason. – Nie, Lajo, sytuacja się odwróciła i jeśli pojedziecie z nami, to wy będziecie naszymi jeńcami.

Korsarianin wzruszył ramionami.

— Nie dbam o to – odparł. Ani chybi każdy z nas dostanie po sto batów, kiedy kapitan dowie się o naszej porażce, i że wracamy z pustymi rękami, a w dodatku stracił oficera oraz wielu członków załogi.

Ostatecznie podjęto decyzję o powrocie na Rela Am i poszukaniu łodzi Korsarian. Gdyby udało się ją odnaleźć, popłyną na poszukiwanie statku, a następnie spróbują przekonać kapitana, by przyjął ich jako przyjaciół i przewiózł w okolice Korsaru.

W drodze powrotnej do Rela Am, nie byli już nękani przez Horibów, którzy najwyraźniej zrozumieli, że nie poradzą sobie z Wazirami. Po drodze Jason trzymał się możliwie jak najdalej od Jany. Sam jej widok przypominał mu o swym beznadziejnym i upokarzającym zauroczeniu, a jej bliskość była dlań niewysłowionym cierpieniem, którego nie był w stanie znieść. Jej pogarda, której nawet nie próbowała ukrywać, raniła go do żywego, nie bardziej jednak niż jego własne odczucia, choć zdawał sobie sprawę, że nie powinien żywić względem niej cieplejszych uczuć, nadal ją kochał i to nawet bardziej niż dotychczas. Nie wierzył, że można kochać jakąkolwiek kobietę równie mocno.

Amerykanin ucieszył się, kiedy widok rozległych wód Rela Am przed nimi wyznaczył kres tego etapu ich podróży, którą jego własne, posępne myśli w połączeniu z przygnębiającym wpływem mrocznego lasu zmieniły w jeden z najsmutniejszych okresów w jego życiu.

Wszystkim ulżyło, gdy okazało się, że łódź wciąż jest zacumowana tam, gdzie zostawili ją Horibowie, nie trwało też długo nim ją odcumowali, wsiedli i zepchnęli na wody Rzeki Ciemności.

Rzeka rozszerzała się, gdy płynęli w stronę morza, a kiedy zerwał się wiatr i mogli postawić żagiel, ich podróż jeszcze bardziej nabrała tempa. Choć po drodze często musieli mierzyć się z zagrożeniami w postaci groźnych i żarłocznych gadów, karabiny Wazirów okazały się odpowiednią ochroną, kiedy inne środki obronne zawiodły.

Rzeka stała się tak szeroka, że gdyby nie prąd, mogliby pomyśleć, iż znaleźli się na morzu i, na polecenie Lajo, trzymali się blisko lewego brzegu, gdzie jak twierdził, zakotwiczony był statek. W oddali jak przez mgłę widać było drugi brzeg, ale tylko dlatego że powierzchnia Pellucidaru unosiła się łukowato ku górze. W tej samej odległości, na zewnętrznej skorupie nie byłby on widoczny, bo przesłoniłaby go krzywizna ziemi.

Gdy zbliżyli się do morza, stało się oczywiste, że Lajo i dwaj inni Korsarianie mocno się zaniepokoiли, kiedy nie zobaczyli swego statku.

— Minęliśmy już miejsce kotwicowiska – rzekł w końcu Lajo. – Naprzeciw niego było zalesione wzgórze, obok którego właśnie przepłynęliśmy. Nie mogę się mylić, bo zwróciłem na nie uwagę i zapamiętałem jako punkt orientacyjny na okoliczność powrotu z naszej wyprawy w górę rzeki.

— Odpłynęli i zostawili nas – warknął jeden z Korsarian, posyłając paskudny epitet pod adresem kapitana statku, który odpłynął.

Płynąc dalej, na ocean, spostrzegli dużą wyspę, u ujścia rzeki, gdzie jak powiedział Lajo mogli liczyć na udane łowy i zdobyć

wodę pitną, a ponieważ potrzebowali mięsa, przybili tam i rozbili obóz. Było to idealne miejsce, bo ta część wyspy okazała się być pozbawiona co bardziej niebezpiecznych gatunków mięsożernych ssaków i gadów, nie dostrzegli też żadnych oznak obecności człowieka. Zwierzyny nie brakowało.

Dyskutując o planach na przyszłość, ostatecznie postanowili, że popłyną łodzią na Korsar, Lajo zapewniał ich bowiem, że leżało ono na wybrzeżu tego samego lądu, który majaczył w oddali, widoczny z ich wyspiarskiej enklawy.

— Co leży w tamtym kierunku, tego nie wiem – rzekł wskazując na południe – ale tam jest Korsar, na tym samym wybrzeżu – to rzekłszy wskazał na północny wschód. – Poza tym nie znam za dobrze tych wód, ani tej części Pellucidaru, gdyż nigdy dotąd nie wyprawiałem się dalej niż do Rela Am.

W przygotowaniu na długi rejs na Korsar, pocięto na paski ogromną ilość mięsa, które potem uwędzono nad ogniskiem albo wysuszono na słońcu, aby potem popakować je do pęcherzy, które starannie oczyszczono i wysuszono. Umieszczono je w łodzi wraz z innymi pęcherzami, wypełnionymi słodką wodą, bo choć w drodze na Korsar zamierzali trzymać się blisko brzegu, możliwe że nie zawsze będą mogli przybić do niego z poszukiwaniu wody pitnej albo jedzenia, a zawsze istniała możliwość, że jeśli zerwie się sztorm, wiatr zepchnie ich na morze.

W końcu przygotowania dobiegły końca i ta dziwna ekipa wyruszyła w niebezpieczną podróż ku odległemu Korsarowi. Jana pracowała wraz z innymi, szykując prowiant i pojemniki, i choć kilka razy zdarzyło się jej pracować obok Jasona, nie czuła się przy nim swobodnie ani nawet nie dawała mu odczuć że wiedziała o jego obecności.



— Czy nie moglibyśmy pozostać przyjaciółmi, Jano? – zapytał w którymś momencie. – Myślę, że wówczas obydwójce bylibyśmy znacznie szczęśliwsi.

— Mnie niczego do szczęścia nie brakuje – odparowała dumnie – choć naprawdę szczęśliwa będę, kiedy Thoar zabierze mnie z powrotem do Zoramu.

## ZNOWU RAZEM

Sprzyjające wiatry niosły łódź i jej załogę po rozświetlonym morzu. O-220 podążał tą samą drogą, od czasu do czasu zataczając szerokie kręgi nad sporymi połaciami lądu, gdzie Zuppner niemal całkiem już straciwszy nadzieję, kontynuował poszukiwanie zaginionych członków ekspedycji i martwiło go nie tylko to. Obawiał się także, czy ekipa zdoła kiedykolwiek odnaleźć otwór polarny i powrócić do zewnętrznego świata. Podobnie jak reszta zespołu wiedział, że nawet ich ogromne rezerwy paliwa i oleju, nie wystarczą im w nieskończoność, i gdyby nie udało im się odnaleźć otworu na biegunie, póki wciąż jeszcze dysponowali dostatecznymi rezerwami, pozwalającymi im dotrzeć z powrotem do cywilizacji, musieliby chcąc nie chcąc pozostać w Pellucidarze już do końca życia.

To porucznik Hines poruszył ostatecznie ten temat i dwaj oficerowie, zawezwawszy na konferencję porucznika Dorfa zdecydowali, że zanim wyczerpie się paliwo w sterowcu, spróbują znaleźć jakiś obszar, gdzie nie byłiby stale narażeni na ataki dzikich plemion czy jeszcze groźniejszych, pellucidarskich drapieżników.

Podczas gdy pozostali oficerowie O-220 debatowali nad poważnymi problemami, z którymi przyszło im się zmierzyć, wielki statek powietrzny sunął majestatycznie

po pellucidarskim niebie, a członkowie załogi, bez szemrania i efektywnie wypełniali swe rozmaite obowiązki.

Robert Jones z Alabamy był jednak mocno zaniepokojony. Nigdy nie przystosował się do panujących w Pellucidarze, odmiennych warunków. Często mamrotał do siebie i kręcił energicznie głową, nakręcał też regularnie podniszczony zegar z budzikiem albo zdejmował go z haczyka, na którym wisiał budzik i przykładał do ucha.

Poniżej sterowca rozciągała się przepiękna panorama morskiego wybrzeża usianego licznymi urokliwymi zatokami i wysepkami. Były tam łagodne wzgórza, równiny, lasy i wijące się kręto, turkusowe rzeki. Taki pejzaż był w stanie tchnąć najcudowniejsze doznania w najbardziej zatwardziałe spośród ludzkich serc, i członkowie załogi także nie pozostali obojętni na ten widok. Było wśród nich wielu awanturników i poszukiwaczy przygód, zuchwałe dusze, które nie przejęłyby się zbytnio, gdyby przyszło im już na zawsze pozostać w tej czarownej krainie. Byli wszelako inni, którzy zostawili w swoich domach ukochane osoby i to właśnie oni zaczęli debatować o możliwościach i perspektywach na przyszłość. Z paroma wyjątkami, byli to bystrzy i inteligentni mężczyźni, którzy zdawali sobie sprawę z trudnego położenia O-220, podobnie jak dowódca jednostki, ale dobrano ich nader starannie i żaden ani przez chwilę nie zawahał się w swej lojalności wobec Zuppnera, gdyż wszyscy wiedzieli doskonale, że niezależnie jaki czekał ich los, spotka on także kapitana, i wierzyli, że jeśli ktokolwiek był w stanie ich z tego wyciągnąć, to właśnie on. I kiedy tak wielki statek sunął majestatycznie pomiędzy ziemią a słońcem, wszystkie jego elementy, zarówno mechaniczne jak i ludzkie, funkcjonowały idealnie.

Kapitan i porucznik dyskutowali o przyszłości, kiedy Robert Jones z mozołem wspiął się po drabinie na kładkę na rufie statku, sto pięćdziesiąt stóp ponad kambuzem. Nie wyszedł na kładkę, ale wyrzwał z otworu, popatrując na błękitne niebo, a kiedy jego spojrzenie zatoczyło pełen krąg, zawahał się przez chwilę, po czym popatrzył w górę, gdzie, dokładnie nad nimi wisiało w wiecznym zenicie, pellucidarskie słońce.

Robert Jones zamrugał i wrócił do szybu drabinki, zamykając za sobą właz. Następnie, mamrocząc pod nosem, zszedł powoli do kambuza, przeszedł przez kuchnię, zdjął zegar z haczyka, podniósł do otwartego iluminatora i wyrzucił budzik za burtę.

Załodze łodzi tańczącej na błękitnych falach, i nie mogącej w żaden sposób określić upływu czasu ani pokonanej odległości, monotonię rejsu urozmaicało ciągle wyczekiwanie na zakończenie podróży oraz częste ataki przerażających mieszkańców mezozoicznego morza. Dla cywilizowanego Amerykanina skrajna beczasowość Pellucidarskiej egzystencji wywoływała bardziej nerwowe reakcje niż u innych. Tarzan odczuwał to w znacznie mniejszym stopniu, podczas gdy Wazirowie byli tylko nieznacznie świadomi tych nietypowych warunków. Na Pellucidarczykach, nienawykłych do innego stanu, nie wywierał on żadnego wrażenia. Nie ulegało wątpliwości, że nie rozumieli pojęcia czasu ani jego znaczenia, co mogli wywnioskować Tarzan i Jason, gdy próbowali z nimi o tym rozmawiać.

A jednak czas mijał, mile oceanu pozostały w tyle za nimi, a warunki się zmieniły.

Gdy płynęli wzdłuż wybrzeża, ich kurs się zmienił, choć bez instrumentów nawigacyjnych ani ciał niebieskich, które mogłyby ich prowadzić nie byli tego świadomi. Przez jakiś czas

płynęli na północny wschód, a potem, znacznie dłużej, na wschód, ale że wybrzeże stopniowo zakrzywiło się, ostatecznie płynęli teraz na północ. Instykt podpowiadał Korsarianom, że pokonali trzy czwarte dystansu jaki dzielił ich od wyspy, która była ich punktem docelowym. Wiała silna bryza, dzięki czemu płynęli z naprawdę sporą prędkością.

Lajo stał wyprostowany na dziobie, wciągając powietrze nosem i węsząc jak pies myśliwski szukający tropu. W którymś momencie zwrócił się do Tarzana.

— Lepiej przybijmy do brzegu – powiedział. – Bo będzie mocno wiało.

Ale już było za późno, zerwał się silny wiatr a morze się wzburzyło do tego stopnia, że musieli przerwać rejs i poszukać schronienia przed sztormem. Nie było deszczu, ani błyskawic, bo nie było chmur, tylko ten przerażający wichur, który osiągnął siłę huraganu i wzburzone morze, które przez moment nieomal ich pochłonęło.

Wazirowie byli nielecho wystraszeni, morze bowiem nie było ich żywiołem. Dziewczyna z gór i jej brat wyglądali na strwożonych, ale jeżeli nawet odczuwali strach, nie dawali tego po sobie poznać. Tarzan i Jason byli przekonani, że łódź nie wytrzyma i ten drugi podszedł do miejsca, gdzie Jana siedziała na niewielkiej ławeczce. Zawodzenie wiatru sprawiało, że rozmowa była niemożliwa, ale on nachylił się, nieomal przykładając usta do jej ucha.

— Jano – powiedział – nie ma mowy, aby tak mała łódź przetrwała ten sztorm. Zginiemy, ale nim to się stanie, niezależnie czy mnie nienawidzisz, czy nie, zamierzam wyznać, że cię kocham. – Po czym, zanim zdążyła odpowiedzieć, nim

mogła jeszcze bardziej go upokorzyć, odwrócił się i odszedł na poprzednie miejsce.

Wiedział, że źle postąpił, wiedział, że nie miał prawa wyznawać miłości ukochanej Thoara. To był akt nielojalności, lecz do wypowiedzenia tych słów skłoniła go siła potężniejsza niż lojalność, i większa niż duma – nie mógł umrzeć, nie wypowiedziawszy ich wcześniej. Może było mu nieco łatwiej, bo chcąc nie chcąc zauważył wydawałoby się, platoniczną relację pomiędzy Thoarem a Janą i nie był w stanie wyobrazić sobie Jany jako kochającej mężczyznę platonicznie, uznał wszelako, że najwyraźniej Thoar nie doceniał jej uczuć. Był wobec niej miły i zawsze uprzejmy, ale nigdy nie dbał o nią tak jak na to zasługiwała, zdaniem Jasona. Uważał, że mogło to być wynikiem dziwnych spaczeń pellucidarskiego charakteru, choć trudno mu było w to uwierzyć, znając Janę i Thoara, którzy byli wszak normalnymi ludźmi, podobnie jak on i choć cechowała ich naturalna, prymitywna rezerwa i godność, których człowiek cywilizowany prawie już nie okazuje, wydawało mu się nieprawdopodobne, aby tych dwoje, tak sobie bliskich mogło przez tak długi czas nie okazywać sobie nawzajem miłości, która ich łączyła.

To niemożliwe – dumiał Jason – oni się zachowują jakby byli rodzeństwem.

Jakimś cudownym zrządzeniem losu, łódź przetrwała sztorm, ale gdy wiatr osłabł, a morze się uspokoiło, wszędzie jak okiem sięgnąć nie było widać lądu, a jedynie bezmiar bezkresnych wód.

— Teraz, kiedy zgubiliśmy wybrzeże, jak mamy obrać kurs na Korsar, Lajo? – zapytał Tarzan.

— To nie będzie proste – odparł Lajo. – Jedynym przewodnikiem jaki nam pozostał, jest wiatr. Wypłynęliśmy daleko na wody Korsar Az, a ja wiem, z której strony zwykle wieje wiatr. Płynąc stałym kursem powinniśmy w końcu dotrzeć do lądu, przypuszczalnie niedaleko od Korsaru.

— Co to takiego? – spytała Jana, wskazując ręką, a oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę.

— To żagiel – odparł Lajo. – Jesteśmy uratowani.

— A jeśli to wrogi statek? – zapytał Jason.

— Niemożliwe – odparł Lajo. – Jego załogę stanowią Korsarianie, bo żadne inne statki nie pływają po Korsar Az.

— Są kolejne – zawołała Jana. – Jest ich wiele.

— Zawróćmy i spróbujmy uciec – podpowiedział Tarzan. – Może nas jeszcze nie zauważyli.

— Czemu mielibyśmy próbować uciec? – spytał Lajo.

— Bo jest nas za mało, byśmy mogli z nimi walczyć – odparł Tarzan. – Może nie są twoimi wrogami, ale będą naszymi.

Lajo wykonał polecenie, bo nie miał wyboru, gdyż trzech Korsarianie na pokładzie byli nieuzbrojeni, a dziesięciu Wazirów miało karabiny. Wszyscy obserwowali żagle w oddali i wkrótce stało się jasne, że obce jednostki się zbliżają, bo nieduża łódź z małym żaglem nie była zbyt szybka. Stopniowo odległość pomiędzy nią a innymi statkami zmniejszała się aż stało się jasne, że byli ścigani przez całkiem pokaźną flotę.

— To nie są Korsarianie – rzekł Lajo. – Nigdy nie widziałem takich statków.

Długa łódź cięła fale, ale choć bardzo się starała, idące jej śladem statki z całkiem pokaźnej armady, nieubłaganie ją doganiały. Statek płynący na czele zbliżał się do nich tak

szybko, że załoga łodzi mogła mu się wyraźnie przyjrzeć. Był niski, z szerokim śródokręciem i wysokim dziobem. Miał dwa żagle, a na dodatek był też napędzany siłą wiosła, które wystawały przez otwory burtowe po obu stronach i było ich w sumie około pięćdziesięciu. Ponad linią wiosła, na burtach statku wisiały tarcze wojowników.

— Boże! – wykrzyknął do Tarzana Jason. – Pellucidar może się poszczycić nie tylko własnymi hiszpańskimi piratami, lecz również wikingami, bo jeśli to nie są drakkary wikingów, to z pewnością jakaś ich odmiana.

— Aczkolwiek nieco zmodyfikowana – zauważył Władca Dżungli. – Na niewielkim pokładzie zbudowanym na dziobie zamontowano działo.

— To prawda – zawołał Jason – i myślę, że powinniśmy się zatrzymać. Na dziobie jest kanonier, który właśnie mierzy do nas z tego działa.

Na dziobowym pokładzie działowym pojawił się jeszcze jeden mężczyzna.

— Zatrzymajcie łódź – zawołał – albo rozbijemy ją w drzazgi.

— Kim jesteś? – zapytał Jason.

— Jestem Ja z Anoroc – odparł tamten. – A to flota Davida I, Imperatora Pellucidaru.

— Zatrzymaj łódź i zawróć – rzekł Tarzan do Lajo.

— Ktoś w tej łodzi musi być w czepku urodzony – rzekł Jason – bo nigdy dotąd nie spotkało mnie tyle szczęścia naraz.

— Kim jesteście? – dopytywał się Ja, gdy łódź powoli zaczęła zawracać.

— Jesteśmy przyjaciółmi – odparł Tarzan.

— Imperator Pellucidaru nie może mieć przyjaciół na wodach Korsar Az – odrzekł Ja.



— Jeśli jest z tobą Abner Perry, możemy udowodnić, że się mylisz – odparował Jason.

— Abnera Perry’ego nie ma z nami – rzekł Ja – ale co o nim wiesz?

Do tego czasu dwie łodzie zrównały się burtami i brązowoskórzy wojownicy Mezopów stanowiący załogę Ja patrzyli z zaciekawieniem na dziwną gromadę w łodzi.

— To Jason Gridley – rzekł Tarzan do Ja, wskazując Amerykanina. – Może słyszałeś jak Abner Perry o nim wspominał. To on zorganizował ekspedycję w świecie zewnętrznym, aby przybyć tutaj i uwolnić Davida Innesa z lochów Korsaru.

Widok trzech Korsarian w łodzi wzbudził podejrzenia Ja, ale gdy udzielono mu pełniejszych wyjaśnień, a zwłaszcza gdy pokazano mu karabiny Wazirów, uwierzył w prawdziwość ich słów i serdecznie powitał ich na pokładzie swego statku, wokół którego zgromadziła się już całkiem spora armada. Kiedy rozeszły się słuchy, że dwóch nieznanomych to przyjaciele z zewnętrznego świata, którzy przybyli tu pomóc w uratowaniu Davida Innesa, wielu kapitanów innych jednostek weszło na pokład statku flagowego Ja, by powitać Tarzana i Jasona. Wśród nich byli Daoor Silny, brat Dian Pięknej, Imperatorowej Pellucidaru; Kolk, syn Goorka, który jest wodzem Thurian i Tanar, syn Ghaka Włochatego, króla Sari.

To od nich Tarzan i Jason dowiedzieli się, że flota płynęła uwolnić Davida. Budowa statków trochę trwała, do tego stopnia, że wszyscy zapomnieli już ile razy jedli i spali od położenia pierwszej stępki, a później musieli jeszcze znaleźć drogę z Lural Az do Korsar Az, statki bowiem budowano na wyspie Anoroc.

— Daleko w dolnej części Sojar Az, poniżej Krainy Straszliwego Cienia znaleźliśmy przejście prowadzące do Korsar Az. Thurianie słyszeli o nim i posłali wojowników, aby sprawdzili czy to prawda, a ci odnaleźli przejście i wkrótce wszyscy znajdziemy się w pobliżu Korsaru.

— Jak spodziewałeś się ocalić Davida mając tylko tuzin ludzi? – zapytał Tanar.

— Nie wszyscy tu jesteśmy – odrzekł Tarzan. – Rozdzieliliśmy się z naszymi przyjaciółmi i nie byliśmy ich w stanie odnaleźć, choć nasza ekspedycja nie była zbyt liczna. Stawialiśmy na inne atuty niż liczba ludzi przy uwolnieniu waszego Imperatora.

W tej samej chwili z jednego ze statków dobiegł głośny okrzyk. Podniecenie rosło w siłę i rozprzestrzeniało się. Wszyscy wojownicy patrzyli w niebo i pokazywali palcami. Niektórzy z nich unosili już lufy dział, i wszyscy szykowali swoje strzelby, a kiedy Tarzan i Jason unieśli wzrok, zobaczyli wysoko w górze sylwetkę O-220.

Sterowiec najwyraźniej wypatrzył flotę i zaczął obniżać lot po szerokiej spirali.

— Teraz to już na pewno ktoś tu jest w czepku urodzony – rzekł Jason. – To nasz sterowiec. I nasi przyjaciele – dodał, zwracając się do Ja.

Wszystko co rozgrywało się na pokładzie okrętu flagowego było błyskawicznie przekazywane od jednego statku do drugiego, aż cała załoga armady dowiedziała się, iż wielki obiekt unoszący się w powietrzu to nie gigantyczny latający gad, lecz statek powietrzny, na pokładzie którego znajdowali się przyjaciele Abnera Perry’ego i ich umiłowanego Imperatora, Davida I.

Ogromny sterowiec osiadł powoli nad powierzchnią morza, a wówczas Jason Gridley pożyczyl włócznie od jednego z wojowników i przywiązał do niej chustkę, którą Lajo nosił na głowie. Z pomocą tej prowizorycznej flagi nadał wiadomość:

— O-220, ahoy! To flotyła wojenna Davida I, Imperatora Pellucidaru, pod wodzą Ja z Anoroc; na pokładzie są Lord Greystoke, dziesięciu Wazirów i Jason Gridley.

W chwilę potem, z rufowej wieżyczki O-220 huknął strzał znacząc początek pierwszego międzynarodowego salutu z dział, jaki kiedykolwiek rozbrzmiał pod słońcem wiecznego południa w Pellucidarze, a kiedy wyjaśniono Ja znaczenie tego ceremoniału, oddał salut z działła dziobowego na okręcie flagowym.

Sterowiec przybliżył się jeszcze bardziej do okrętu flagowego, i teraz załogi obu jednostek mogły ze sobą swobodnie rozmawiać.

— Czy na pokładzie wszystko w porządku? – zapytał Tarzan.

— Tak – rozległa się uspokajająca odpowiedź, w postaci gromkiego głosu Zuppnera.

— Czy jest z wami von Horst? – spytał Jason.

— Nie – odrzekł Zuppner.

— Wobec tego tylko on jeden wciąż pozostaje zaginiony – stwierdził ze smutkiem Jason.

— Możecie opuścić uprzęż do wciągania ludzi i zabrać nas na pokład? – zapytał Tarzan.

Zuppner manewrując maszyną zatrzymał ją w powietrzu o pięćdziesiąt stóp nad pokładem okrętu flagowego Ja, a potem, jeden po drugim, kolejni członkowie ekspedycji zostali zabrani na pokład O-220, najpierw Wazirowie, następnie Jana i Thoar

a potem Jason i Tarzan. Trzej Korsarianie pozostali więźniami Ja, z zastrzeżeniem że mają być traktowani humanitarnie.

Zanim Tarzan opuścił pokład okrętu flagowego powiedział Ja, że jeśli ten będzie dalej podążał kursem na Korsar, sterowiec pozostanie z nim w kontakcie, a przez dalszą część rejsu opracują szczegółowy plan ocalenia Davida Innesa.

Kiedy Thoar i Jana zostali wciągnięci na pokład O-220, zdumieni się niepomiernie. Dla nich coś tak wspaniałego jak ten ogromny sterowiec było rzeczą wprost niepojętą. Tak jak później wyraziła to Jana: wiedziałam, że śnię, a z drugiej strony wiedziałam, że nie mogę śnić o czymś takim, bo takich rzeczy po prostu nie ma.

Jason przedstawił Janę i Thoara Zuppnerowi i Hinesowi, ale porucznik Dorf nie przyszedł do kabiny dopóki na pokładzie nie znalazł się Tarzan i to właśnie ten ostatni przedstawił ich Dorfowi. Przedstawił porucznika Dorfa Janie, po czym wskazawszy na Thoara, rzucił:

— A to jest Thoar, brat Jany, Czerwonego Kwiatu Zoramu.

Kiedy te słowa dotarły do uszu Jasona Gridleya, ten poczuł się jakby ktoś zdzielił go obuchem w głowę. Cieszył się, że nikt nie zauważył jego reakcji, i w jednej chwili odzyskał rezon, choć w głębi duszy czuł się mocno zraniony. Oni wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt mu tego nie raczył powiedzieć. Był na nich zły, ale zdał sobie sprawę, że wszyscy zapewne podejrzewali, iż on także to wiedział, ale choć bardzo się starał nie potrafił wybaczyć tego Janie. Tyle tylko, jakie to miało znaczenie, czy była siostrą czy wybranką Thoara lub kogokolwiek innego, skoro teraz już wiedział, że Czerwony Kwiat Zoramu nie była dla niego. Dała mu to wyraźnie odczuć poprzez swoje

nastawienie względem niego i to, jak go traktowała, co przekonało go o wiele bardziej niż jej gorzkie słowa.

Po ponownym spotkaniu, oficerowie wchodzący w skład ekspedycji mieli sporo do przedyskutowania i opowiedzenia, podczas gdy O-220 sunął niespiesznie nad płynącą flotyllą. To było szczęśliwe ponowne spotkanie, na którym cieniem kładła się tylko nieobecność von Horsta.

Gdy sterowiec płynął powoli nad wodami Korsar Az, Zuppner od czasu do czasu obniżał lot maszyny, by móc pomówić z Ja z Anorocu, a kiedy w zasięgu wzroku pojawiło się wybrzeże Korsaru, opuszczono uprząż i Ja został wciągnięty na pokład O-220, gdzie przedyskutowano plany uratowania Davida, a kiedy opracowano je w najdrobniejszych szczegółach, Ja wrócił na swój statek, a Lajo i dwóch innych Korsarian przeniesiono na pokład sterowca.

Trzej jeńcy byli przerażeni i skonsternowani, kiedy Jason i Tarzan osobiście przeprowadzili ich przez wielki statek. Pokazano im uzbrojenie, pieczołowicie wyjaśniając zasady jego działania, kładąc szczególny nacisk na opis destrukcyjnej mocy bomb znajdujących się na pokładzie O-220.

— Jedna taka – rzekł Jason do Lajo – wystarczyła, aby wyrzucić pałac Cida na tysiąc stóp w powietrze, a jak widzisz, mamy ich wiele. Moglibyśmy zniszczyć całe Korsar ze wszystkimi statkami Korsarian.

Podczas gdy flota Ja wciąż znajdowała się w sporej odległości od wybrzeża, O-220 z pełną prędkością podążył w stronę Korsaru, bo zgodnie z opracowanym przez nich planem, gdyby faktycznie się powiódł, David zostałby uwolniony bez rozlewu krwi – wszyscy liczyli na powodzenie tego planu, gdyby bowiem Korsar zostało zaatakowane, z morza czy z powietrza,

zagrożone byłoby życie Imperatora, który także mógłby ucierpieć, a nawet zginąć w wyniku eksplozji bomb albo pocisków z dział okrętowych, oraz, co równie prawdopodobne wskutek działań odwetowych, Cida, znanego z brutalnej i mściwej natury.

Kiedy sterowiec przemknął prawie bezgłośnie nad miastem Korsar, ulice i place wypełniły się ludźmi, którzy patrzyli w niebo w niemym osłupieniu. Trzy tysiące stóp nad miastem, statek powietrzny zatrzymał się, a Tarzan posłał po trzech Korsariańskich więźniów.

— Jak już wiecie – rzekł do nich – jesteśmy w stanie unicestwić Korsar. Widzieliście wielką flotę płynącą uratować Imperatora Pellucidaru. Wiecie, że każdy wojownik na każdym z tych statków posiada broń skuteczniejszą od tej, którą wy dysponujecie; zresztą nawet bez karabinów mogliby zająć Korsar, uzbrojeni tylko w noże, włócznie, łuki i strzały, ale mają karabiny i lepszą amunicję niż wy, a na dodatek na każdej z tych jednostek zamontowano działa. Sama tylko flota mogłaby obrócić Korsar w perzynę, ale my prócz okrętów mamy jeszcze ten statek powietrzny. Wasze strzały nigdy go nie dosięgną, gdy będzie przelatywał nad Korsarem w tę i z powrotem, zrzucając bomby na miasto. Myślisz, Lajo, że moglibyśmy zająć Korsar?

— Ja to wiem – odpowiedział Korsarianin.

— Dobrze więc – rzekł Tarzan. – Poślę cię z wiadomością dla Cida. Powiesz mu prawdę?

— Powiem – zapewnił Lajo.

— Wiadomość jest prosta – ciągnął Tarzan. – Możesz mu przekazać, że przybyliśmy uwolnić Imperatora Pellucidaru. Możesz mu wyjaśnić, jakimi dysponujemy środkami na poparcie naszych żądań i możesz także powiedzieć, że jeśli

pozwoli Imperatorowi wsiąść na pokład statku, który dowiezie go do naszej floty i przekaże go całego i zdrowego w ręce Ja z Anorocu, wrócimy do Sari bez jednego wystrzału. Czy to zrozumiałeś?

— Tak – odparł Lajo.

— No to dobrze – rzekł Tarzan. Odwrócił się do Dorfa. – Poruczniku, zajmie się pan nim? – zapytał.

Dorf podszedł do niego z pękatym zawiniątkiem w ręku.

— Załóż to – powiedział.

— Co to takiego? – spytał Lajo?

— Spadochron – odparł Dorf.

— A co to jest?

— Masz – rzekł Dorf – przełóż tu rękę. – W chwilę potem założył i dopiął uprząż spadochronu na ciele Korsarianina.

— Teraz – rzekł Jason – czeka cię wielki zaszczyt, bo oddasz pierwszy skok ze spadochronem w Pellucidarze.

— Nie wiem o czym mówisz – rzekł Lajo.

— Zrozumiesz – zapewnił Jason. – Zaniesiesz Cidowi wiadomość od Lorda Greystoke’a.

— Ale zanim to zrobię, musicie sprowadzić ten statek na ziemię – zaproponował Lajo.

— Wręcz przeciwnie, zostaniemy tu gdzie jesteśmy obecnie – odparł Jason. – Za to ty wyskoczysz za burtę.

— Co? – zawołał Lajo. – Zamierzacie mnie zabić?

— Nie – odparł ze śmiechem Jason. – Słuchaj uważnie tego co powiem, a wylądujesz bezpiecznie. Widziałeś na pokładzie tego statku wiele cudowności, więc musisz już mieć pewne pojęcie, do czego jesteśmy zdolni my, ludzie z zewnętrznego świata. Teraz będziesz miał okazję zapoznać się z jeszcze jednym wspaniałym wynalazkiem i uwierz mi na słowo, że nie

stanie ci się nic złego, jeśli tylko mnie wysłuchasz i wykonasz wszystkie moje polecenia. Spójrz na ten żelazny pierścień – to rzekłszy dotknął pierścienia przy uprząży na lewej piersi Lajo – schwyć go mocno prawą ręką. Gdy wyskoczysz ze statku, pociągnij z całej siły za pierścień. Poczujesz szarpnięcie, a potem lekko jak piórko spłyniesz na ziemię.

— Zginę – zaoponował Lajo.

— Jeżeli jesteś tchórzem – ciągnął Jason – to może któryś z twoich ziomków jest odważniejszy od ciebie. Ja ze swej strony gwarantuję, że nie stanie ci się nic złego.

— Nie boję się – rzekł Lajo. – Skoczę.

— Powiedz Cidowi – rzekł Tarzan – że jeśli nie zobaczymy zaraz statku, wypływającego na spotkanie z naszą flotą, zaczniemy zrzucać bomby na miasto.

Dorf podprowadził Lajo do drzwi w kabinie i otworzył je na oścież. Mężczyzna zawahał się.

— Nie zapomnij pociągnąć za ten pierścień – rzekł Dorf, i równocześnie pchnął mocno Lajo, a ten zatoczył się w stronę drzwi i w chwilę potem obserwatorzy w kabinie ujrzeli białe płótno spadochronu otwierającego się w powietrzu i wiedzieli że Cid otrzyma wiadomość od Tarzana.

Nie mogli za to wiedzieć, co wydarzyło się w mieście poniżej, ale niedługo potem zobaczyli wielkie tłumy zmierzające od strony pałacu, ku rzece, gdzie kotwiczyły statki i niewiele później jeden ze statków podniósł kotwicę, a kiedy dryfował powoli z prądem, postawiono żagle i jednostka skierowała się na otwarte morze, zmierzając na spotkanie z flotyllą z Sari.

O-220 podążył w ślad za nią, na stosownej wysokości, a okręt flagowy Ja wypłynął spotkać się ze statkiem Korsarian i w ten



właśnie sposób, David Innes, Imperator Pellucidaru powrócił do swego ludu.

Kiedy statek Korsarian zawrócił do portu, sterowiec obniżył pułap, zawisając nad okrętem flagowym floty Sarian i wymieniono pozdrowienia pomiędzy Davidem i jego oswobodzicielami, ludźmi z innego świata, których nigdy dotąd nie spotkał.

Imperator był na wpół żywy z głodu, bardzo wychudzony i osłabiony po długim pobycie w lochu, ale poza tym nic mu się nie stało, i na pokładzie Sariańskich okrętów zapanowała olbrzymia radość, gdy flotylla zawróciła by udać się do swej odległej krainy.

Tarzan miał wątpliwości czy powinni towarzyszyć flocie w drodze do Sari, obawiał się bowiem, że ich szybko zmniejszające się zapasy paliwa nie wystarczą do dokończenia podróży i przeniesienia ich na powrót do zewnętrznego świata. Ostatecznie towarzyszyli flocie tylko tak długo, by uzyskać od Davida dokładne wskazówki jak dotrzeć od miasta Korsar do otworu podbiegunowego.

— Najpierw musimy załatwić jeszcze jedną sprawę – rzekł do Tarzana Jason. – Musimy odwiedzić Thoara i Janę do Zoramu.

— Tak – powiedział człowiek-małpa – i zrzucić tych dwóch Korsarian gdzieś w pobliżu ich miasta. Przemyślałem sobie to wszystko i na to paliwa na pewno nam wystarczy.

— Ja z wami nie wracam – oznajmił Jason. – Chcę, żeby przeniesiono mnie na pokład okrętu flagowego Ja.

— Co takiego? – zakrzyknął Tarzan. – Chcesz tutaj zostać?

— Ekspedycję zorganizowano za moją namową. Czuję się odpowiedzialny za życie i bezpieczeństwo każdego z jej

członków i nie wrócę do świata zewnętrznego, póki los porucznika von Horsta pozostaje tajemnicą.

— Ale jak miałbyś znaleźć von Horsta, skoro zamierzasz wrócić z całą flotą do Sari? – zapytał Tarzan.

— Poproszę Davida Innesa, by zorganizował ekspedycję poszukiwawczą – odparł Jason – a kiedy jej członkami będą rodowici Pellucidarczy, będziemy mieć o wiele większe szanse na jego odnalezienie, niż przy użyciu O-220.

— W pełni się z tobą zgadzam – przyznał Tarzan – i jeśli faktycznie jesteś zdecydowany zrealizować to zamierzenie, niezwłocznie opuścimy cię na pokład okrętu Ja.

Kiedy O-220 obniżył pułap, zawisając nad okrętem flagowym Ja, i dał mu sygnał do zatrzymania jednostki, Jason zabrał niezbędne rzeczy, które, jak uznał, mogą mu się przydać, w tym parę karabinów, rewolwerów i spory zapas amunicji. Rzeczy te opuszczono na pokład statku Ja jako pierwsze, podczas gdy Jason pożegnał się z towarzyszami wyprawy.

— Żegnaj, Jano – powiedział, kiedy już uścisnął ręce pozostałym. Dziewczyna nie odpowiedziała, lecz odwróciła się do swego brata.

— Żegnaj, Thoarze – powiedziała.

— Żegnaj? – zapytał. – Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że wyruszam do Sari z mężczyzną, którego kocham – odparła Czerwony Kwiat Zoramu.